

Agatha Christie

Śledztwo na cztery ręce

Tłumaczyła Alicja Pożarowszczyk

Tytuł oryginału: Partners in crime

Rozdział pierwszy

Wróżka na kominku

Pani Beresford usadowiła się wygodniej na kanapie i znudzona wyjrzała przez okno. Widok nie był szczególnie interesujący: w zasięgu jej wzroku znajdował się jedynie mały blok mieszkalny po przeciwnej stronie ulicy. Pani Beresford westchnęła, a potem ziewnęła.

— Chciałabym, żeby coś się wydarzyło — powiedziała.

Mąż podniósł głowę znad gazety i spojrzał na nią karcąco.

— Uważaj, co mówisz, Tuppence. Niepokoi mnie ta twoja tęsknota za tanią sensacją.

Tuppence westchnęła i w rozmarzeniu przymknęła oczy.

— A więc Tommy i Tuppence wzięli ślub — zaczęła melancholijnie — i żyli szczęśliwie. Sześć lat później nadal żyli szczęśliwie razem i tak do końca swoich dni. To nadzwyczajne, że wszystko zawsze okazuje się inne, niż się sobie wcześniej wyobrażało.

— Niezmiernie głęboka myśl, Tuppence, tyle że niezbyt oryginalna. To sarno powiedzieli już przed tobą wybitni poeci i jeszcze bardziej wybitni filozofowie, i, jeśli wybaczysz mi tę uwagę, zrobili to lepiej od ciebie.

— Sześć lat temu — ciągnęła Tuppence — dałabym sobie rękę uciąć, że gdy się ma wystarczającą ilość pieniędzy i ciebie za męża, życie musi być nieustającą słodką pieśnią, jak to ujął jeden z poetów, których podobno znasz tak dobrze.

— Czy to ja ci się znudziłem, czy też pieniądze? — zapytał Tommy chłodno.

— ”Znudziło” nie jest najlepszym słowem — odparła Tuppence uprzejmie. — Po prostu jeszcze nie przywykłam do mojego błogiego trybu życia. Dopóki się nie przeziębisz, nigdy nie zdajesz sobie sprawy, jakim szczęściem jest móc oddychać przez nos. To tak samo.

— Może powinienem zacząć nieco cię zaniedbywać? — podsunął Tommy. — Mógłbym wychodzić do nocnych klubów z innymi kobietami albo coś w tym rodzaju.

— Bez sensu. Tyle by ci z tego przyszło, że spotkałbyś tam mnie w towarzystwie innych mężczyzn. Ja wiem dobrze, że ciebie nie obchodzą inne kobiety, tymczasem ty nigdy nie miałabyś pewności, czy mnie nie obchodzą inni mężczyźni. Kobiety są o wiele bardziej przenikliwe.

— Mężczyźni są niepokonani jedynie w skromności — mruknął jej mąż. — Ale co się z tobą dzieje, Tuppence? Skąd te nostalgiczne nastroje?

— Nie wiem. Chciałabym, żeby coś się zaczęło dziać. Jakies podniecające rzeczy. Słuchaj, czy nie miałbyś ochoty znów tropić niemieckich szpiegów? Przypomnij sobie, przez jakie wspaniałe niebezpieczeństwa przechodziliśmy kiedyś razem. Wiem, oczywiście, że w zasadzie teraz też jesteś w Służbach Specjalnych, ale masz pracę czysto biurową.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że pragniesz, by wysłano mnie w najdziksze zakątki Rosji w przebraniu bolszewickiego przemytnika albo kogoś takiego?

— Nic by mi z tego nie przyszło. Nie pozwoliliby mi pojechać z tobą, a to przecież właśnie ja strasznie chcę coś robić. Przez cały czas powtarzam, że potrzebuję jakiegoś zajęcia.

— Może coś z kobiecych robótek? — zaproponował Tommy, wykonując nieokreślony ruch ręką.

— Dwadzieścia minut pracy codziennie po śniadaniu wystarcza, żeby w domu wszystko funkcjonowało jak w zegarku. Nie masz chyba powodów do narzekania, prawda?

— Prowadzisz dom tak znakomicie, Tuppence, że zaczyna to być wręcz nużące.

— Ogromnie sobie cenię twoje uznanie. Ty oczywiście masz swoją pracę, ale powiedz mi, Tommy, czy w głębi duszy nie tęsknisz od czasu do czasu za przygodami, czy nie pragniesz, żeby coś się działo?

— Nie, a w każdym razie wydaje mi się, że nie. Wszystko wygląda pięknie w marzeniach, ale gdy rzeczywiście coś się zdarza, przeważnie okazuje się, że nie jest to takie przyjemne.

— Mężczyźni są tacy rozsądni — westchnęła Tuppence. — Czy naprawdę nigdy nie ogarnia cię tęsknota za nowymi wrażeniami, przygodą, życiem?

— Coś ty ostatnio czytała, Tuppence?

— Pomyśl tylko, jakie by to było ekscytujące — ciągnęła nie zrażona — gdyby teraz ktoś załomotał do drzwi i do środka chwiejnym krokiem wtoczył się trup.

— Trup nie mógłby wtoczyć się nigdzie, nawet chwiejnym krokiem — zauważył Tommy sarkastycznie.

Tuppence machnęła tylko ręką.

— Wszystko jedno, wiesz przecież, o co mi chodzi. Oni zawsze wtaczają się chwiejnym krokiem na chwilę przed śmiercią i upadają ci prosto pod nogi, ostatnim tchem wypowiadając kilka niezrozumiałych słów. „Cętkowany lampart” albo coś w tym rodzaju.

— Doradzałbym ci lekturę Schopenhauera albo Immanuela Kanta. Ale Tuppence nie dawała się zbić z tropu.

— Coś takiego dobrze by ci zrobiło. Tyjesz i robisz się leniwy.

— To nieprawda — odrzekł Tommy z urazą. — A poza tym to ty wykonujesz ćwiczenia odchudzające.

— Wszyscy je robią. Gdy mówiłam, że tyjesz, użyłam metafory. Chodziło mi o to, że stajesz się zamożny, zadbany i wygodny.

— Nie wiem, co cię dzisiaj napadło — mruknął zniecierpliwiony mąż.

— Duch przygody — wymamrotała Tuppence. — To i tak lepsze, niż tęsknota za romanssem. Choć też mi się przytrafia. Wyobrażam sobie czasem, że spotykam mężczyznę, naprawdę przystojnego...

— Spotkałaś mnie — wtrącił Tommy. — Czy to ci nie wystarcza? — ...dobrze zbudowanego mężczyznę o ciemnej cerze, takiego, który potrafi jeździć na wszystkim i chwyta na łąso dzikie konie...

— Chodzi w skórzanych spodniach i kowbojskim kapeluszu — uzupełnił Tommy uszczypliwie.

— ...i spędził wiele lat w zupełnej głąszy — Tuppence udała, że nie słyszy. — Najlepiej byłoby, gdyby od pierwszego wejrzenia zakochał się we mnie na śmierć i życie. Ja, oczywiście, jako cnotliwa żona odtrąciłabym jego zaloty i pozostałabym wierna przysiędze małżeńskiej, ale w tajemnicy oddałabym mu serce.

— No cóż — odrzekł Tommy. — Często mi się zdarza, że pragnę spotkać naprawdę piękną dziewczynę o pszenicznych włosach, która zakochałaby się we mnie do szaleństwa. Tylko nie jestem przekonany, czy odrzuciłbym jej zaloty. W gruncie rzeczy wiem na pewno, że nie.

— To świadczy tylko o twoim złym charakterze — oznajmiła Tuppence.

— Co się właściwie z tobą dzieje, kochanie? Nigdy jeszcze nie mówiłaś takich rzeczy.

— Nie, ale już od dłuższego czasu gotowałam się w środku. Widzisz, bardzo niebezpiecznie jest posiadać wszystko, czego się pragnie, a do tego jeszcze wystarczająco dużo pieniędzy, by móc sobie wszystko kupić. Oczywiście, zawsze pozostają kapelusze.

— Masz już chyba ze czterdzieści kapeluszy i wszystkie wyglądają tak samo.

— Tak już jest z kapeluszami. Ale one wcale nie wyglądają tak samo. Różnią się niuansami. Dziś rano widziałam ładny kapelusz w sklepie Violette.

— Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, niż kupować kapelusze, to nie potrzebujesz...

— No właśnie — przerwała mu Tuppence — właśnie o to chodzi. Gdybym tylko miała coś lepszego do roboty! Chyba powinnam się zająć dobroczynnością. Och, Tommy, jakże bym chciała, żeby zdarzyło się coś ekscytującego. Wydaje mi się, nie, naprawdę myślę, że dobrze by nam to zrobiło. Gdyby udało się znaleźć dobrą wróżkę...

— Ach! — zawołał Tommy. — Dziwne, że to mówisz.

Wstał i przeszedł przez pokój. Wyjął z szuflady stolika niewielką fotografię i podał ją Tuppence.

— Och, więc wywołałeś te zdjęcia! — zawołała. — Czy to jest to, które ja zrobiłam, czy ty?

— To moje. Twoje nie wyszło, nie doświetliłaś go. Zawsze tak robisz.

— Cieszę się, że sądzisz, iż przynajmniej jedną rzecz potrafisz robić lepiej ode mnie — odparowała żona.

Idiotyczna uwaga, ale w tej chwili nie będę na nią reagował. Tu jest to, co chciałem ci pokazać. Wskazał palcem małą, białą plamkę na fotografii.

— Zadrapanie na filmie — orzekła Tuppence.

— Właśnie, że nie. To jest dobra wróżka.

— Tommy, ty idioto...

— Zobacz sama — odparł, podając jej szkło powiększające.

Tuppence uważnie przyjrzała się odbitce. Przy pewnej dozie wyobraźni oglądane w powiększeniu zadrapanie na filmie rzeczywiście przypominało trochę niewielką, uskrzydloną istotę siedzącą na kracie kominka.

— To coś ma skrzydła — wykrzyknęła w podnieceniu.

— Jakie to zabawne, prawdziwy dobry duszek w naszym mieszkaniu. Może napiszemy o tym do Conan Doyle'a? Czy myślisz, że to jest wróżka, która spełnia życzenia?

— Wkrótce się przekonasz — odpowiedział Tommy.

— Przez całe popołudnie życzyłaś sobie czegoś bardzo mocno.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i wkroczył przez nie z godnością wysoki, piętnastoletni wyrostek, który najwyraźniej nie potrafił rozstrzygnąć, czy jest lokajem, czy też chłopcem na posyłki.

— Czy jest pani w domu? — zapytał. — Ktoś właśnie zadzwonił do drzwi.

— Wolałabym, żeby Albert nie chodził tyle do kina — westchnęła Tuppence, gdy chłopak przyjął do wiadomości jej obecność i wycofał się z salonu. — Teraz naśladuje lokaja z Long Island. Dzięki Bogu, wyleczyłam go już ze zwyczaju proszenia gości o wizytówki i przynoszenia mi ich na tacy.

Drzwi znów się otworzyły.

— Pan Carter — obwieścił Albert takim tonem, jakby anonsował przybycie królowej.

— Szef — mruknął Tommy ze zdumieniem.

Tuppence z radosnym okrzykiem poderwała się z miejsca i powitała wysokiego mężczyznę o siwych skroniach, przenikliwych oczach i znużonym uśmiechu.

— Panie Carter, niezmiernie mi miło pana widzieć!

— Cieszy mnie to, pani Beresford. Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie: jak się pani żyje?

— Dobrze, ale nudno — mruknęła Tuppence.

— Coraz lepiej — powiedział pan Carter. — Widzę, że zastałem was w odpowiednim nastroju.

— To brzmi podniecająco — ucieszyła się. Albert wniósł herbatę, nadal naśladując lokaja z Long Island. Gdy udało mu się szczęśliwie doprowadzić tę operację do końca i zamknął za sobą drzwi, Tuppence wybuchnęła:

— Pan ma coś szczególnego na myśli, prawda? Czy zamierza pan wysłać nas z tajną misją w najdziksze zakamarki Rosji?

— Niezupełnie — odrzekł pan Carter.

— Ale coś się za tym kryje!

— Tak, coś się za tym kryje. Wydaje mi się, pani Beresford, że nie boi się pani ryzyka, prawda?

Oczy Tuppence rozbłyły podnieceniem.

— Jest pewna praca do wykonania dla naszego departamentu i pomyślałem sobie — tak mi tylko przyszło do głowy — że może wam by odpowiadała.

— Proszę mówić dalej — poprosiła Tuppence.

— Widzę, że prenumerujecie „Daily Leadera” — pan Carter podniósł gazetę ze stołu. Odnalazł kolumnę ogłoszeń i wskazując jedno z nich palcem, przesunął dziennik w stronę Tommy’ego.

— Przeczytaj to.

— ”Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna, Theodore Blunt, menadżer. Prywatne dochodzenia. Duży zespół zaufanych i wysoko wyszkolonych agentów śledczych. Absolutna dyskrecja. Bezpłatne porady. 118 Haleham St., W.C.”

Tom spojrział pytająco na pana Cartera, a ten skinął głową:

— Ta agencja już od dłuższego czasu ciągnęła resztką sił. Jeden z moich przyjaciół kupił ją za bezcen. Myślmy o tym, żeby rozkręcić ją na nowo, powiedzmy, na sześciomiesięczny okres próbny. Przez ten czas, oczywiście, ktoś musi ją prowadzić.

— A co z Theodorem Bluntem? — zapytała Tuppence.

— Pan Blunt okazał, niestety, godny pożałowania brak dyskrecji. Doszło do tego, że musiał się nim zająć Scotland Yard. Pan Blunt żyje teraz na koszt Jej Wysokości Królowej Wielkiej Brytanii i nie ma zamiaru zdradzić nam nawet połowy tego, co chcielibyśmy wiedzieć.

— Rozumiem, sir — rzekł Tommy. — A w każdym razie wydaje mi się, że rozumiem.

— Proponuję, żebyś wziął sześciomiesięczny urlop w biurze z powodu złego stanu zdrowia. I, oczywiście, gdybyś chciał prowadzić agencję używając nazwiska Theodora Blunta, ja nie mam z tym nic wspólnego.

Tommy spojrział uważnie na szefa:

— Jakież instrukcje, proszę pana?

— Zdaje się, że pan Blunt prowadził działalność na skalę międzynarodową. Uważaj na listy w niebieskich kopertach z rosyjskim znaczkiem. Powinny pochodzić od hurtownika szynki, poszukującego swojej żony, która przybyła do naszego kraju kilka lat temu na statusie uchodźcy. Jeśli zwilżysz znaczek, pod spodem zobaczysz liczbę 16. Zrób kopie tych listów, a oryginały prześlij do Yardu. Powiadom mnie także natychmiast, jeśli ktoś przyjdzie do biura i użyje w rozmowie słowa „szesnaście”.

— Rozumiem, proszę pana — powtórzył Tommy. — A oprócz tego?

Pan Carter podniósł ze stołu rękawiczki, przygotowując się do wyjścia.

— Oprócz tego możecie prowadzić agencję, jak wam się będzie podobało. Sądziłem — mrugnął lekko — że odrobina pracy detektywistycznej może zabawić panią Beresford.

Rozdział drugi

Filizanka herbaty

Kilka dni później państwo Beresford objęli we władanie biuro Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej, które mieściło się na drugim piętrze nieco zaniedbanego budynku w Bloomsbury. Albert wyrzekł się pozycji lokaja z Long Island i siedział teraz w pierwszym, mniejszym pokoju, opanowując do perfekcji rolę gońca biurowego. Miał potargane włosy, dłonie poplamione atramentem i obok torbę pełną słodyczy.

Z pokoju tego dwoje drzwi prowadziło do dalszych pomieszczeń. Na jednych namalowany był napis „Personel”, na drugich „Gabinet prywatny”. Za tymi drzwiami znajdował się niewielki, wygodnie urządzonej pokój. Stało tu ogromne biurko, puste szafy na kartoteki i kilka solidnych, wyściełanych skórą krzeseł. Za biurkiem siedział pan pseudo-Blunt i usiłował sprawiać wrażenie, że prowadzi agencję detektywistyczną od urodzenia. Przy jego łokciu stał oczywiście telefon. Obydwoje z Tuppence przećwiczyli wcześniej kilka efektów telefonicznych oraz wydali stosowne instrukcje Albertowi.

W sąsiednim pokoju znajdowała się maszyna do pisania, kilka stolików i krzeseł gatunku o wiele późniejszego od tych z pokoju wielkiego szefa, oraz jednopalnikowa kuchenka gazowa i czajnik do herbaty.

Niczego nie brakowało, to znaczy, niczego oprócz klientów.

W początkowym uniesieniu Tuppence była pełna wielkich nadziei.

— To będzie cudowne — obwieściła. — Będziemy łapać morderców, odnajdować skradzione klejnoty rodowe, zaginione osoby i wykrywać małwersantów.

W tym momencie Tommy uznał, że jego obowiązkiem jest sprowadzić żonę na ziemię:

— Uspokój się, Tuppence, i spróbuj zapomnieć o tych wszystkich tandetnych powieściach, które tak lubisz czytać. Nasza klientela — jeżeli w ogóle będziemy „mili jakąś klientelę” — będzie się składała wyłącznie z mężów, którzy życzą sobie śledzenia swoich żon oraz z żon, które życzą sobie śledzenia swoich mężów. Głównym źródłem utrzymania prywatnych detektywów jest dostarczanie dowodów w sprawach rozwodowych.

— Uff! — prychnęła Tuppence, marszcząc nos. — Nie będziemy nawet dotykać spraw rozwodowych. Musimy podnieść poprzeczkę w naszym nowym zawodzie.

— Ta-ak — odrzekł Tommy niepewnie.

W dość ponurym nastroju podsumowywali pierwszy tydzień swojej działalności.

— Wszystkie te idiotki, których mężowie wyjeżdżają na weekend — westchnął Tommy. — Czy ktoś tu może był, gdy ja wyszedłem na lunch?

Teraz z kolei Tuppence westchnęła ze smutkiem.

— Owszem, stary grubas, który ma żonę latawicę. Od lat czytałam w gazetach, że plaga rozwodów staje się coraz powszechniejsza, ale aż do ostatniego tygodnia nigdy sobie właściwie tego nie uświadamiałam. Jestem już chora od powtarzania: „Nie zajmujemy się sprawami rozwodowymi”.

— Umieściliśmy to już w ogłoszeniach — przypomniał jej Tommy. — Może nie będzie tak źle.

— Jestem pewna, że reklamujemy się w bardzo kuszący sposób — westchnęła Tuppence melancholijnie. — Ale mimo wszystko nie mam zamiaru się poddawać. Jeśli będzie trzeba, to sama popełnię zbrodnię, a ty zajmiesz się dochodzeniem.

— I jaki byłby z tego pożytek? Pomyśl tylko, jak ja bym się czuł, żegnając cię czule na Bow Street, czy też Vine Street?

— Myślisz o swoich kawalerskich czasach — powiedziała Tuppence znacząco.

— Chodziło mi o więzienie Old Bailey — wyjaśnił Tommy.

— No cóż — podsumowała Tuppence — coś trzeba z tym zrobić. Siedzimy tu, kipiąc talentem, i nie mamy okazji go wykorzystać.

— Zawsze lubiłem w tobie tę radosną pewność siebie, Tuppence. Zdaje się, że ty absolutnie nie wątpisz w to, że masz jakiś talent do wykorzystania.

Tuppence otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

— Oczywiście, że tak.

— Przecież nie masz zupełnie żadnej wiedzy fachowej.

— Ale przeczytałam wszystkie książki detektywistyczne, jakie ukazały się w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

— Ja też — odrzekł Tommy — ale jakoś nie wydaje mi się, żeby to nam miało wiele pomóc.

— Zawsze byłeś pesymistą, Tommy. Najważniejsza jest odrobina wiary w siebie.

— Tobie jej na pewno nic brakuje — przyznał mąż.

— Oczywiście, w powieściach detektywistycznych wszystko jest proste — powiedziała Tuppence w zamyśleniu — bo tam działa się od końca. To znaczy, znając rozwiązanie, łatwo jest odpowiednio ułożyć przesłanki. Zastanawiam się tylko... — urwała, marszcząc brwi.

— Nad czym? — zapytał Tommy.

— Mam pewien pomysł. Jeszcze dobrze nie wiem jaki, ale coś mi świta. — Zdecydowanym ruchem podniosła się z miejsca. — Chyba pójdę kupić ten kapelusz, o którym ci mówiłam.

— O Boże, następny kapelusz! — jęknął Tommy.

— Jest bardzo ładny — odrzekła Tuppence z godnością i wyszła z biura z malującą się na twarzy determinacją.

W ciągu następnych dni Tommy kilkakrotnie pytał o ten pomysł z zaciekawieniem, Tuppence jednak potrząsała tylko głową i prosiła, żeby dał jej trochę czasu. A potem, pewnego pamiętnego poranka, w biurze pojawił się pierwszy klient i wszystko inne poszło w zapomnienie.

Rozległo się pukanie do drzwi i Albert, który właśnie włożył do ust dropsa, niewyraźnie wrzasnął — proszę!, po czym, zdumiony i zachwycony, połknął dropsa w całości. Wyglądało bowiem na to, że wreszcie Coś Zaczyna Się Dziać.

W drzwiach stanął wysoki młody człowiek, ubrany niezwykle elegancko.

Arystokrata jak nic — pomyślał Albert, który w takich sprawach miewał zwykle prawidłowy osąd.

„Arystokrata” miał około dwudziestu czterech lat, pięknie ulizane czarne włosy, różowe obwódki dokoła oczu, i praktycznie rzecz biorąc, pozbawiony był podbródka.

Albert w ekstazie przycisnął brzęczyk pod blatem biurka i natychmiast od strony „Personelu” rozległa się kanonada maszynopisania. Tuppence zajęła swoją pozycję. Atmosfera wytężonej pracy jeszcze bardziej onieśmieliła młodego człowieka.

— Eee, tego — powiedział. — Czy to jest ten... agencja detektywistyczna Błyskotliwi Detektywi Blunta? No wiesz, te rzeczy? Co?

— Czy chciałby się pan zobaczyć z samym panem Bluntem? — zapytał Albert z odcieniem wątpliwości w głosie, jakby nie był pewien, czy uda się to osiągnąć.

— No... tak, chłopcze, właśnie sobie myślałem, że tak zrobię. Dałoby się to urządzić?

— Czy był pan umówiony?

Zachowanie klienta stawało się coraz bardziej przeprasające.

— Obawiam się, że nie.

— Zawsze jest lepiej najpierw zatelefonować, sir. Pan Blunt jest ogromnie zajęтым człowiekiem. W tej chwili rozmawia przez telefon. Scotland Yard poprosił go o konsultację.

Wiadomość wywarła na młodym człowieku zamierzone wrażenie. Albert w przyjazny sposób

udzielał dalszych informacji ściszym głosem:

— W biurze rządowym zdarzyła się bardzo poważna kradzież dokumentów. Proszono pana Blunta, żeby się tym zajął.

— Och, rzeczywiście, coś takiego! To musi być jakiś bardzo ważny spec!

— Szef, proszę pana — oznajmił Albert — jest najlepszy.

Mężczyzna usiadł na twardym krześle, zupełnie nieświadomy faktu, że przez sprytnie wywiercone otworki w ścianie przyglądają mu się dwie pary oczu — Tuppence patrzyła na niego w przerwach między kolejnymi seriami maszynowej kanonady, a Tommy czekał na stosowny moment.

Dzwonek na biurku Alberta zabrzączał ostro.

— Szef jest już wolny. Zobaczą, czy będzie mógł pana przyjąć — powiedział Albert i zniknął za drzwiami z napisem „Gabinet prywatny”. Po chwili znów się pojawił.

— Proszę wejść — powiedział i wprowadził gościa do środka. Zza biurka podniósł się młody, rudowłosy mężczyzna o sympatycznej twarzy, roztaczający wokół siebie atmosferę rzeczowości i kompetencji.

— Proszę usiąść. Chciał pan zasięgnąć porady? Moje nazwisko Blunt.

— Och, doprawdy! Zdaje się, że jest pan bardzo młody.

— Czasy starców minęły — machnął ręką Tommy. — Kto doprowadził do wojny? Starcy. Kto spowodował obecny poziom bezrobocia? Starcy. Kto jest odpowiedzialny za całe zło na świecie? Także oni.

— Chyba ma pan rację — odrzekł klient. — Znam pewnego poetę — w każdym razie on sam twierdzi, że jest poetą — który też tak mówi.

— Niech mi pan wierzy, że ani jedna osoba spośród mojego wysoko wykwalifikowanego personelu nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat. Zapewniam pana, że to prawda.

Ponieważ ów wysoko wykwalifikowany personel składał się z Tuppence i Alberta, oświadczenie Tommy'ego w istocie nie miało się z prawdą.

— A; więc proszę mi podać fakty — powiedział pan Blunt.

— Chcę, żeby znalazł pan kogoś, kto zaginął — wyrzucił z siebie młody człowiek.

— Rozumiem. Czy może mi pan podać szczegóły?

— No cóż... widzi pan, to dosyć trudne. To znaczy, sprawa jest bardzo delikatna i tak dalej. Ona może wszystkiego się wyprzeć. To znaczy... no, bardzo trudno mi wyjaśnić... — zakończył

bezradnie.

Tommy poczuł rozdrażnienie. Miał właśnie zamiar wyjść na lunch, a podejrzewał, że wydobywanie faktów z tego klienta może się okazać żmudnym i męczącym przedsięwzięciem.

— Czy zniknęła z własnej woli, czy też podejrzewa pan porwanie? — zapytał rzeczowo.

— Nic wiem — odrzekł młodzieniec. — Nic nie wiem.

Tommy sięgnął po ołówek i notatnik.

— Po pierwsze czy może mi pan podać swoje nazwisko? Mój pomocnik nigdy nic pyta o nazwiska. Dzięki temu klienci mają zagwarantowaną pełną anonimowość.

— Och, jasne! — rzekł mężczyzna. — Bardzo dobry pomysł. Nazywam się... eee... nazywam się Smith.

— No nie — Tommy lekko się uśmiechnął. — Proszę o prawdziwe nazwisko.

Gość spojrzał na niego z podziwem.

— Eee... St Vincent — odrzekł. — Lawrence St Vincent.

— To zadziwiające, jak niewielu ludzi naprawdę nazywa się Smith — zauważył Tommy. — Osobiście nie znam nikogo o tym nazwisku. A jednak, jeśli ktoś chce zataić swoje personalia, w dziewięciu wypadkach na dziesięć mówi, że nazywa się Smith. Piszę właśnie monografię na ten temat.

W tym momencie na jego biurku odezwał się dyskretny brzęczyk. Oznaczało to, że Tuppence pragnie wkroczyć do akcji. Tommy, który miał wielką ochotę wyjść wreszcie na lunch i nie potrafił wykrzesać z siebie ani odrobiny zainteresowania dla pana St Vincenta, z przyjemnością przekazał jej ster.

— Przepraszam — powiedział, podnosząc słuchawkę telefonu.

Na jego twarzy odbiło się kolejno zdziwienie, konsternacja i lekka euforia.

— Niemożliwe — powiedział do słuchawki. — Sam pan premier? Oczywiście, w takim razie za chwilę tam będę.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do swego klienta.

— Drogi panie, niestety muszę się z panem pożegnać. Mam nadzieję, że pan wybaczy. Zajmie się panem moja zaufana sekretarka. Zechce jej pan przekazać wszystkie fakty.

— Panno Robinson — zawołał, podchodząc do bocznych drzwi.

Tuppence wsunęła się do gabinetu. Ubrana była w sukienkę z koronkowym kołnierzykiem i mankietami, a czarne włosy miała gładko zaczesane. Wyglądała niezmiernie schludnie i poważnie. Tommy przedstawił ich sobie, po czym wyszedł.

— Jeśli dobrze rozumiem, zniknęła pewna dama, którą jest pan zainteresowany — powiedziała Tuppence łagodnie. Usiadła i teraz ona wzięła do ręki ołówek i notatnik. — Czy to młoda kobieta?

— Och, jasne — odrzekł St Vincent. — Młoda i... i... bardzo ładna i...

Tuppence spoważniała.

— O mój Boże — mruknęła. — Mam nadzieję, że...

— Chyba pani nic myśli, że coś jej się stało? — zapytał mężczyzna z nagłym ożywieniem.

— Nigdy nie należy tracić nadziei — odrzekła Tuppence sztucznie beztroskim tonem, który do reszty przygnębił pana St Vincenta.

— Niech pani posłucha, panno Robinson. Musi pani coś zrobić. Koszty nie mają znaczenia. Za nic w świecie nie chciałbym, żeby coś jej się stało. Widzę, że pani rozumie sytuację i powiem pani w zaufaniu, że dla mnie nawet ślady jej stóp są święte. Ona jest niezwykła, absolutnie niezwykła.

— Proszę mi powiedzieć, jak się nazywa ta osoba i coś więcej o niej.

— Ma na imię Jeanette, nazwiska nie znam. Pracuje u modystki, madame Violette na Brook Street, ale to najporządniejsza dziewczyna na świecie. Nawet nie potrafię zliczyć, ile razy dostałem od niej kosza. Byłem tam wczoraj i czekałem, aż skończy pracę. Wszystkie inne dziewczęta wyszły, ale jej nie było. Potem dowiedziałem się, że w ogóle nie przyszła tego dnia do pracy ani nie dała znać, i stara madame była na nią wściekła. Zdobyłem adres Jeanette i poszedłem tam. Nie wróciła do domu poprzedniego wieczoru i nikt nie wiedział, co się z nią dzieje. Myślałem, że zwariuję. Chciałem już iść na policję, ale wiedziałem, że Jeanette nic darowałaby mi tego, gdyby się okazało, że wszystko jest w porządku i po prostu gdzieś wyjechała. Potem przypomniało mi się, że któregoś dnia ona sama pokazywała mi wasze ogłoszenie w gazecie i mówiła, że jakaś kobieta, która kupuje u nich kapelusze, wychwalała pod niebiosa wasze umiejętności i dyskrecję, i takie różne rzeczy. Więc od razu przyszedłem tutaj.

— Rozumiem — powiedziała Tuppence. — Jaki jest jej adres?

Młody człowiek podał nazwę ulicy i numer domu.

— Wydaje mi się, że to wszystko — powiedziała Tuppence z namysłem. — Jeśli dobrze rozumiem, jest pan zaręczony z tą damą?

Pan St Vincent zaczerwienił się jak burak.

— Właściwie nie... niezupełnie. Nigdy jej niczego nie powiedziałem. Ale mogę panią zapewnić, że gdy tylko znów ją zobaczę, poproszę, żeby za mnie wyszła — to znaczy, jeśli ją jeszcze w ogóle

zobaczę...

Tuppence odłożyła notatnik na bok.

— Czy chciałby pan skorzystać z naszego specjalnego dwudziestoczerogodzinnego serwisu? — zapytała rzeczowo.

— A co to jest?

— Opłata jest podwójna, ale wówczas sprawą zajmuje się cały nasz personel. Panie St Vincent, jeżeli ta dama jeszcze żyje, jutro o tej porze będę mogła podać panu miejsce jej pobytu.

— Co takiego? To świetnie!

— Zatrudniamy wyłącznie specjalistów i gwarantujemy rezultaty — dodała Tuppence lakonicznie.

— No tak, wie pani. Musicie mieć naprawdę personel pierwsza klasa.

— Oczywiście — odrzekła Tuppence. — Ale nie powiedział mi pan jeszcze, jak ta kobieta wygląda.

— Ma najpiękniejsze na świecie włosy. Coś jak złoto, ale bardzo ciemne, prawie jak zachód słońca — znaczy, taki prawdziwy zachód słońca. Wie pani, nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi na zachody słońca. I na wiersze też nie. Nigdy nie myślałem, że wiersze są takie ciekawe,

— Rude włosy — powtórzyła Tuppence bez emocji, zapisując tę informację. — Jakiego mniej więcej jest wzrostu?

— Och, dosyć wysoka, i ma niesamowite oczy, ciemnoniebieskie, zdaje się. I raczej zdecydowany sposób bycia. Potrafi człowieka potraktować z góry.

Tuppence dopisała jeszcze kilka słów, zamknęła notatnik i podniosła się.

— Proszę zadzwonić jutro około drugiej. Powinniśmy już mieć jakieś wiadomości — powiedziała. — Do widzenia panu.

Gdy Tommy wrócił, zastał ją pochyloną nad Debrettem.

— Znam już wszystkie szczegóły — oznajmiła zwięźle. — Lawrence St Vincent jest siostrzeńcem i dziedzicem lorda Cheritona. Ta sprawa zapewni nam reklamę w najwyższych sferach.

Tommy przeczytał zapiski w notatniku. — Jak myślisz, co naprawdę stało się z tą dziewczyną?

— Myślę — odrzekła Tuppence — że uciekła przed głosem serca, gdy zrozumiała, że miłość do tego młodego człowieka nie pozwoli jej zachować rozwagi.

Tommy spojrzał na nią z powątpiewaniem.

— Wiem, że to się zdarza w książkach, ale w rzeczywistości nigdy nie spotkałem dziewczyny, która zrobiłaby coś takiego.

— Nie? Może masz rację. Ale jestem pewna, że Lawrence St Vincent gładko przełknie taką bzdurę. Głowę ma teraz nabitą romantycznymi wyobrażeniami. Aha, zaoferowałam mu nasz specjalny serwis — gwarantowane rezultaty w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— Tuppence, ty nieuleczalna idiotko, dlaczego to zrobiłaś?!

— Po prostu przyszło mi do głowy, że to będzie dobrze brzmiało. Nie martw się. Mama się tym zajmie. Mama wie najlepiej.

Wyszła, zostawiając Tommy'ego w stanie głębokiego niezadowolenia. Podniósł się, westchnął, przeklął wybujałą wyobraźnię żony i także wyszedł, by zrobić to, co było do zrobienia.

Gdy wrócił o wpół do piątej, wyczerpany i znużony, Tuppence właśnie wyciągała torbę herbatników z tajnego schowka w szafie na kartoteki.

— Jesteś zgrzany i zmęczony — zauważyła. — Co robiłeś?

Tommy jęknął.

— Obszedłem wszystkie szpitale, szukając tej dziewczyny.

— Mówiłam ci przecież, żebyś zostawił to mnie — zdziwiła się Tuppence.

— Nie znajdziesz tej dziewczyny sama do jutrzejszego popołudnia.

— Znajdę. Co więcej, już znalazłam!

— Jak to: znalazłaś?

— To prosty problem, Watsonie, w gruncie rzeczy niezwykle prosty.

— Gdzie ona teraz jest?

Tuppence spojrzała ponad jego ramieniem.

— Tam za drzwiami, w moim pokoju.

— Co ona tam robi?

Tuppence zaczęła się śmiać.

— No cóż, odpowiednie przeszkolenie robi swoje. Myślę, że nietrudno odgadnąć, co tam robi, mając pod ręką czajnik, kuchenkę gazową i pół funta herbaty. Widzisz — ciągnęła łagodnym tonem — kupuję kapelusze u Madame Violette i któregoś dnia spotkałam lam dawną przyjaciółkę z czasów,

gdy pracowałam w szpitalu. Po wojnie porzuciła zawód pielęgniarki i otworzyła pracownię kapeluszy, ale nie powiodło jej się i zaczęła pracować u Madame Violette. Ustaliłyśmy wszystko między sobą. Ona miała utrwalić nasze ogłoszenie w pamięci młodego St Vincenta, a potem zniknąć. Niezwykła sprawność Błyskotliwych Detektywów Blunla. Reklama dla nas i niezbędny bodziec dla St Vincenta, by wreszcie zdecydował się na oświadczyzny. Janet była już w rozpacz.

— Tuppence — głos Tommy'ego brzmiał surowo. — Zapiera mi dech z wrażenia! Wszystko to razem jest najbardziej niemoralną sprawą, o jakiej słyszałem. Skłaniasz tego młodego człowieka, by poślubił kogoś, kto nic należy do jego sfery...

— Bzdury — odparła Tuppence. — Janet to wspaniała dziewczyna, a co dziwne, ten mięczak naprawdę jej się podoba. Na pierwszy rzut oka widać, czego jego rodzina potrzebuje najbardziej. Trochę dobrej, świeżej, czerwonej krwi. Janet wyprowadzi go na ludzi. Będzie o niego dbała jak matka, ukróci koktajle, nocne kluby i sprawi, że St Vincent zacznie prowadzić rozsądny, zdrowy tryb życia wiejskiego dżentelmena. Chodź, poznasz ją.

Otworzyła drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Tommy poszedł za nią. Wysoka dziewczyna o pięknych, rudawych włosach i miłej twarzy odstawiła parujący czajnik i odwróciła się w ich stronę z uśmiechem, odsłaniając rząd równych, białych zębów.

— Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, siostrzyczko Cowley, to znaczy, pani Beresford. Pomyślałam, że pewnie będziecie mieli ochotę na filiżankę herbaty. Pamiętam, ile razy pani robiła mi herbatę o trzeciej nad ranem w szpitalu.

— Tommy — powiedziała Tuppence — pozwól, że przedstawię cię mojej starej znajomej, siostrzyczko Smith.

— Powiedziałaś: Smith? Jakie to dziwne! — zawołał Tommy, ściskając dłoń dziewczyny. — Hm? Nie, nic takiego — po prostu myślałem o napisaniu niewielkiej monografii.

— Weź się w garść, Tommy — poradziła Tuppence, nalewając mu filiżankę herbaty.

— W takim razie wypijmy razem. Za sukces Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej. Błyskotliwi Detektywi Blunla! Oby nigdy nie zaznali porażki!

Rozdział trzeci

Różowa perła

— Cóż ty, do licha, robisz? — zawołała Tuppence'. Wkroczyła właśnie do świętego przybytku szefa Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej (hasło reklamowe: Błyskotliwi Detektywi Blunta) i ujrzała swego pana i władcę na podłodze, wśród zwałów książek.

Tommy podniósł się z wysiłkiem.

— Próbowałem ułożyć te książki na górnej półce w szafie, ale to przeklęte krzesło nie wytrzymało — poskarżył się.

— A co to za książki? — zaciekała się Tuppence i podniosła jedną z podłogi. — *Pies Baskervillów*. Chętnie przeczytałabym to jeszcze raz.

— Rozumiesz, o co mi chodzi? — zapytał Tommy, otrzepując się ostrożnie z kurzu. — Pół godziny z Wielkimi Mistrzami — coś w tym stylu. Widzisz, Tuppence, przez cały czas mam wrażenie, że jesteśmy amatorami w tej działalności. Z jednej strony nic oczywiście nie możemy na to poradzić, ale z drugiej, nie zaszkodziłoby nam, gdybyśmy, że tak powiem, opanowali technikę. Te książki to powieści detektywistyczne najwybitniejszych mistrzów gatunku. Mam zamiar wypróbować różne metody i porównać rezultaty.

— Hm — pokiwała głową Tuppence. — Często się zastanawiam, jak ci detektywi radziliby sobie w prawdziwym życiu. — Podniosła następną książkę. — Trudno ci będzie zostać drugim Thorndyke'em. Nie masz meetycznego doświadczenia, że już nie wspomnę o prawniczym, i nigdy nie słyszałam o tym, żeby nauki ścisłe były twoją mocną stroną.

— Możliwe — zgodził się Tommy. — W każdym razie kupiłem sobie bardzo dobry aparat fotograficzny. Będę fotografował ślady stóp, powiększał negatywy i tak dalej. A teraz, *mon ami*, użyj swoich małych szarych komórek. Z czym ci się to kojarzy?

Wskazał na dolną półkę w szafie. Leżał tam szlafrok w odrobinę futurystyczny deseń, turecki bambosz i skrzypce.

— Oczywiście, mój drogi Watsonie — odrzekła Tuppence.

— Zgadza się — powiedział Tommy. — Coś z Sherlocka Holmesa.

Podniósł skrzypce i przesunął smyczkiem po strunach. Tuppence jęknęła z rozpaczą.

W tym momencie w pokoju odezwał się brzęczyk, znak, że w biurze pojawił się klient i Albert właśnie usiłuje go przetrzymać. Tommy pośpiesznie odłożył skrzypce na półkę i kopnął książki za

biurko.

— Chociaż właściwie nie ma pośpiechu — zauważył. — Albert będzie mu opowiadał te bzdury o telefonie ze Scotland Yardu. Idź do swojego pokoju, Tuppence, i zacznij pisać na maszynie. Sprawia to wrażenie, że praca w biurze wre. Nie, właściwie lepiej będzie, jeśli zostaniesz i będziesz stenografować to, co ci podyktuję. Obejrzyjmy najpierw naszą ofiarę, zanim Albert ją tu wpuści.

Podeszli do otworków w ścianie, które wykonano z dużą dozą pomysłowości: umożliwiały podglądanie tego, co się działo w sąsiednim pomieszczeniu.

Znajdowała się tam dziewczyna w wieku Tuppence, wysoka i ciemnowłosa, o dosyć ostrych rysach i wyniosłym spojrzeniu.

— Ubrana tanio i wyzywająco — zauważyła Tuppence. — Każ jej wejść, Tommy.

Po chwili dziewczyna wymieniła uścisk dłoni z szacownym panem Bluntem, Tuppence zaś ze skromnie spuszczonej oczami usiadła przy biurku, trzymając ołówek w gotowości nad papierem.

— Moja zaufana sekretarka, panna, Robinson — powiedział Tommy, wskazując ją mchem ręki. — Może pani mówić przy niej bez obaw. — Oparł się wygodnie i przez chwilę przyglądał się dziewczynie spod wpół przymkniętych powiek, po czym zauważył zmęczonym głosem:

— O tej porze, w autobusach na pewno jest straszny tłok.

— Przyjechałam taksówką — odrzekła dziewczyna.

— Och! — speszył się Tommy i spojrzał z wyrzutem na niebieski bilet autobusowy, który wystawał z jej rękawiczki. Dziewczyna powiodła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem, uśmiechnęła się i wyciągnęła bilet.

— Chodzi panu o to? Podniosłam go z chodnika. Synek sąsiadów je zbiera.

Tuppence zakaszłała. Tommy spojrzał na nią z urazą.

— Przejdźmy do rzeczy — zaproponował krótko. — Potrzebuje pani naszych usług, panno...

— Moje nazwisko Kingston Bruce — odrzekła dziewczyna. — Mieszkamy w Wimbledon. Wczoraj wieczorem pewna dama, która u nas przebywa, zgubiła cenną różową perłę. Na kolacji był także pan St Vincent i wspomniał o waszej firmie. Dziś rano matka wysłała mnie, żebym zapytała, czy mógłby pan się tym zająć.

Ton, jakim mówiła, brzmiał niemile i zaczepnie. Było oczywiste, że nie zgadzała się z matką i chciała zaznaczyć własne zdanie w tej sprawie.

— Rozumiem — odrzekł Tommy z lekkim zakłopotaniem. — Nic zadzwonili państwo na policję?

— Nie — odpowiedziała klientka. — Głupio by było, gdybyśmy zadzwonili po policję, a potem by

się okazało, że ta idiotyczna perła leży gdzieś pod kominikiem albo coś w tym rodzaju.

— Och! — zawołał Tommy. — To znaczy, że perła mogła się po prostu gdzieś zgubić?

Panna Kingston Bruce wzruszyła ramionami.

— Ludzie zawsze robią tyle zamieszania — mruknęła.

Tommy odchrząknął.

— Rzecz jasna — powiedział z wahaniem — akurat teraz jestem bardzo zajęty...

— Rozumiem — przerwała mu dziewczyna, podnosząc się z krzesła. Uwagi Tuppence nie uszedł błysk satysfakcji w jej oczach.

— Mimo to — ciągnął Tommy — myślę, że uda mi się pojechać do Wimbledon. Czy może mi pani podać adres?

— Laurels, Edgeworlh Road.

— Proszę to zanotować, panno Robinson.

Panna Kingston Bruce zawahała się i powiedziała bez cienia wdzięczności:

— W takim razie będziemy na pana czekać. Do widzenia.

— Dziwna dziewczyna — mruknął Tommy, gdy już wyszła. — Nie bardzo rozumiem, o co jej chodzi.

— Zastanawiam się, czy to ona sama ukradła perłę — powiedziała zamyślona Tuppence. — Zostaw te książki, Tommy, weźmy samochód i jedźmy tam. Aha, kim masz zamiar być, czy nadal Sherlockiem Holmesem?

— Chyba muszę to jeszcze przeciwżyć — przyznał Tommy. — Trochę się wygłupiłem z tym biletem, prawda?

— Owszem — zgodziła się Tuppence. — Na twoim miejscu nie próbowałabym niczego więcej na tej dziewczynie. Ona jest na to za bystra. Jest też nieszczęśliwa, biedaczka.

— Zdaje się, że dowiedziałas się o niej wszystkiego, patrząc po prostu na kształt jej nosa — zauważył Tommy sarkastycznie.

— Mogę ci powiedzieć, co, moim zdaniem, zastaniemy w Laurels — odparła niewzruszona Tuppence. — Dom pełen snobów, którym bardzo zależy na tym, żeby się obracać w najlepszych kręgach; ojciec, jeśli jest jakiś ojciec, na pewno ma stopień wojskowy. Dziewczynie odpowiada ich styl życia, a jednocześnie ma to sobie za złe.

Tommy po raz ostatni spojrział na książki, które już spoczywały ułożone równo na półce.

— Myślę, że dzisiaj będę Thorndyke'em — powiedział z namysłem.

— Nic sędzę, żeby ta sprawa miała charakter medyczno-prawniczy — zauważyła Tuppence.

— Może nie, ale już nie mogę się doczekać, żeby użyć tego nowego aparatu fotograficznego! Podobno jest w nim najlepszy obiektyw, jaki kiedykolwiek wynaleziono.

— Znam ten rodzaj obiektywów — powiedziała Tuppence. — Zanim ustawisz przysłonę, ustalisz czas naświetlania i sprawdzisz poziom spirytusu, odechciewa ci się wszystkiego i zaczynasz tęsknić za prostym brownie.

— Tylko ktoś zupełnie pozbawiony ambicji może się zadowolić prostym brownie.

— Założę się, że osiągnę nim lepsze wyniki niż ty. Tommy puścił tę prowokację mimo uszu.

— Powinienem mieć upychacz do fajki — powiedział z żalem. — Ciekawe, gdzie się je kupuje?

— Masz przecież ten patentowy korkociąg, który ciotka Araminta dała ci w zeszłym roku na gwiazdkę — próbowała mu pomóc Tuppence.

— Rzeczywiście. Na początku myślałem, że to jakieś przedziwne narzędzie zagłady. Dostyc zabawny prezent jak na ciotkę, która jest zupełną abstynentką.

— Ja będę Poltonem — zdecydowała Tuppence.

Tommy spojrział na nią krytycznie.

— Akurat nadajesz się na Poltona. Nie umiesz robić ani jednej rzeczy z tych, które on potrafi.

— Umiem — zaprotestowała Tuppence. — Mogę zacierać ręce, gdy będę w dobrym humorze. To zupełnie wystarczy. Mam nadzieję, że będziesz robił gipsowe odlewy śladów stóp?

Tommy zachowywał pełne godności milczenie. Znaleźli korkociąg, wyprowadzili samochód z garażu i ruszyli do Wimbledon.

Laurels okazało się wielką, eklektyczną budowlą z wieżyczkami i mansardami. Dom wyglądał na świeżo pomalowany, a otaczały go schludne grządki szkarłatnego geranium. Zanim jeszcze Tommy zadzwonił, drzwi otworzył im wysoki mężczyzna o postawie wojskowego i krótko przyciętych, siwych wąsach.

— Czekałem na was — wyjaśnił. Był zmieszany.

— Pan Blunt, prawda? Jestem pułkownik Kingston Bruce. Proszę do mojego gabinetu.

Poprowadził ich do małego pokoju w tylnej części domu.

— Młody St Vincent opowiadał niezwykle rzeczy o waszej firmie. Ja sam też zauważyłem, że ogłaszacie się w gazetach. Ten gwarantowany dwudziestoczworogodzinny serwis to znakomity pomysł. Właśnie tego mi potrzeba.

— Oczywiście, pułkowniku — odpowiedział Tommy, w duchu przeklinając Tuppence za brak odpowiedzialności, jaki wykazała wymyślając ów błyskotliwy szczegół.

— Proszę pana, cała ta sprawa jest niezmiernie irytująca, niezmiernie irytująca.

— Może zechciałby pan podać mi szczegóły — wtrącił Tommy z ledwo słyszalnym zniecierpliwieniem.

— Oczywiście, już to robię. Obecnie przebywa z nami pewna dawna przyjaciółka tego domu, bardzo nam wszystkim droga lady Laura Barton, córka świętej pamięci lorda Carrowway. Jej brat, obecny lord, niedawno wygłosił w Izbie błyskotliwe przemówienie. Jak powiedziałem, jest ona naszą drogą przyjaciółką od wielu lat i moi znajomi Amerykanie, którzy właśnie przybyli do Anglii, państwo Hamilton Betts, bardzo chcieli ją poznać. „Nic łatwiejszego” — powiedziałem. „Teraz właśnie jest moim gościem. Przyjedźcie na weekend”. Wie pan, panie Blunt, że Amerykanie są zupełnie zwariowani na punkcie tytułów.

— Zdarza się to nic tylko Amerykanom, pułkowniku.

— Niestety, drogi panie, ma pan rację. Nic nie napelnia mnie większą odrazą niż snobizm. No cóż, państwo Betts przyjechali do nas na weekend: Wczoraj wieczorem graliśmy akurat w brydża, gdy zepsuło się zapięcie naszyjnika pani Hamilton Betts. Zdjęła go więc i położyła na stoliku obok. Muszę panu wyjaśnić, że klejnot ten składał się z dwóch brylantowych skrzydełek, między którymi wisiała duża różowa perła. Naszyjnik znaleziono dziś rano tam, gdzie pani Betts go zostawiła, ale perła ogromnej wartości została z niego wyrwana.

— Kto znalazł wisiołek?

— Pokojówka, Gladys Hill.

— Czy są jakieś powody, by ją podejrzewać?

— Pracuje u nas od kilku lat i nigdy nie było powodu, by wątpić w jej uczciwość. Ale, nigdy nic wiadomo...

— Oczywiście. Czy może mi pan opisać służbę i wszystkich, którzy byli obecni wczoraj na kolacji?

— Jest kucharka — pracuje u nas dopiero od dwóch miesięcy, ale nie miała okazji wchodzić do bawialni, podobnie jak pomoc kuchenna. Dalej jest służąca, Alice Cummings. Ona też pracuje u nas już od kilku lat. I pokojówka lady Laury, oczywiście. To Francuzka.

Pułkownik Kingston Bruce najwyraźniej chciał tą informacją wyrzucić wrażenie na swych gościach.

— Dobrze. A uczestnicy kolacji? — zapytał Tommy, zupełnie nie poruszony ujawnieniem narodowości pokojówki.

— Pan i pani Betts, my — to znaczy moja żona, córka i ja — oraz lady Laura. Był jeszcze młody St Vincent, a. po kolacji zajrzał na chwilę pan Rennie.

— Kim jest pan Rennie?

— Okropna zaraza — gorliwy socjalista. Jest przystojny, oczywiście, i ma pewien szczególny dar przekonywania. Ale powiem panu, że to człowiek, któremu nie ufałbym za grosz. Niebezpieczny typ.

— W gruncie rzeczy to właśnie jego pan podejrzewa? — zapytał sucho Tommy.

— Tak, panie Blunt. Jestem przekonany, że człowiek o takich poglądach musi być pozbawiony wszelkich zasad. Cóż mogłoby być dla niego łatwiejszego, niż wyjęcie perły w chwili, gdy wszyscy byliśmy skupieni na grze. Było kilka absorbujących momentów — szłem bez atu z rekontrą, pamiętam, i pewna dosyć przykra kłótnia, gdy mojej żonie przydarzyło się zagrać nie do koloru.

— Rozumiem — odrzekł Tommy. — Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno: jakie jest stanowisko pani Betts w tej sprawie?

— Chciała, żebym zadzwonił po policję — odrzekł niechętnie pułkownik Kingston Bruce. — To znaczy, gdy już przeszukaliśmy cały dom w nadziei, że perła po prostu gdzieś się zgubiła.

— Ale pan jej to wyperswadował?

— Nie chciałem rozgłosu, a żona i córka mnie poparły. A potem moja żona przypomniała sobie, co młody St Vincent mówił przy kolacji o waszej firmie i o specjalnym dwudziestoczwierogodzinnym serwisie.

— Tak — odrzekł Tommy z ciężkim sercem.

— Widzi pan, ostatecznie nie stanie się nic złego, jeżeli zadzwonimy na policję jutro i wyjaśnimy, że myśleliśmy, iż perła po prostu gdzieś się zgubiła i próbowaliśmy ją znaleźć. Poza tym, dzisiaj rano wszyscy mieli zakaz opuszczania domu.

Tuppence odezwała się po raz pierwszy.

— Oprócz pańskiej córki, oczywiście — powiedziała.

— Oprócz mojej córki — zgodził się pułkownik. — Od razu zgłosiła się na ochotnika, że do was pojedzie.

Tommy podniósł się z miejsca.

— Zrobimy, co w naszej mocy, by był pan z nas zadowolony, pułkowniku — powiedział. — Chciałbym obejrzeć bawialnię i stół, na którym leżał wisiołek. Chciałbym także, zadać kilka pytań

pani Betts. Potem porozmawiam ze służbą, a raczej zrobi to moja asystentka, panna Robinson — dodał pośpiesznie, czując rosnącą irytację na myśl o przesłuchiowaniu służących.

Gdy wyszli z gabinetu do hallu, zza pół otwartych drzwi innego pokoju dotarł do ich uszu głos dziewczyny, która rano odwiedziła biuro.

— Ależ mam, wiesz przecież doskonale, że ona naprawdę przyniosła do domu łyżeczkę ukrytą w mufce.

Pułkownik przedstawił ich pani Kingston Bruce, zasmuconej kobiecie o powolnych ruchach. Panna Kingston Bruce, z twarzą jeszcze bardziej ponurą niż rankiem, krótko skinęła im głową.

Pani Kingston Bruce była gadatliwa.

— ...ale sądzę, że wiem, kto to zrobił — zakończyła dłuższą wypowiedź. — Ten okropny młody socjalista. On kocha Rosjan i Niemców, a nienawidzi Anglików — czego więc można się po nim spodziewać?

— On tego nawet nie dotknął — wykrzyknęła zapalczywie panna Kingston Bruce. — Przez cały czas patrzyłam na niego. Gdyby to zrobił, musiałabym zauważyć.

Podniosła głowę i spojrzała na rodziców wyzywająco.

Tommy podzielił grupę, prosząc o rozmowę z panią Betts. Gdy pani Kingston Bruce odeszła w towarzystwie męża i córki, by poszukać gościa, Tommy gwizdnął przeciągle.

— Zastanawiam się — powiedział cicho — kto to przyniósł łyżeczkę w mufce?

— Ja też o tym myślałam — odrzekła Tuppence. Do pokoju wpadła pani Betts, a za nią jej mąż. Pani Betts była dużą kobietą o stanowczym głosie. Pan Hamilton Betts sprawiał wrażenie człowieka zupełnie podporządkowanego swojej żonie, który w dodatku cierpi na niestrawność.

— Zdaje się, panie Blunt, że jest pan prywatnym agentem śledczym z gatunku tych, co to powodują dużo zamieszania za jeszcze większe pieniądze?

— Zamieszanie to moje drugie imię — odrzekł Tommy. — Pani Betts, czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

Wydarzenia potoczyły się szybko. Tommy obejrzał uszkodzony naszyjnik i stolik, na którym leżał poprzedniego wieczoru, a pan Betts zrezygnował z biernego oporu i podał wartość skradzionej perły w dolarach. Tommy jednak wciąż miał wrażenie, że nie posunął się ani o krok w rozwiązaniu problemu.

— Myślę, że to wystarczy — powiedział w końcu.

— Panno Robinson, czy mogłaby pani przynieść z hallu mój specjalny aparat fotograficzny?

Panna Robinson posłusznie wyszła do hallu.

— To taki mój mały wynalazek — wyjaśnił Tommy.

— Wygląda jak zwykły aparat fotograficzny.

Pewną satysfakcję sprawiło mu, że informacja wywarła odpowiednie wrażenie na Beltsach.

Sfotografował wisiorek, stół i zrobił kilka ujęć całego pokoju. Następnie „panna Robinson” została wysłana, by przesłuchać służbę, a Tommy, w obliczu nadziei wyraźnie malującej się na twarzach pułkownika i pani Betts, czuł się w obowiązku wygłosić kilka autorytatywnych słów.

— Można to tak podsumować — powiedział. — Albo perła jest jeszcze w domu, albo też już jej tu nie ma.

— To prawda — potwierdził pułkownik z nieco większym szacunkiem, niż usprawiedliwiałyby to natura owej uwagi.

— Jeśli nic ma jej już w domu, to może być wszędzie, ale jeśli jest w domu, na pewno leży gdzieś schowana.

— I trzeba przeszukać dom — przerwał mu pułkownik. — Zgadza się. Daję panu wolną rękę, panie Blunt. Może pan przeszukać dom od strychu do piwnic.

— Och, Charles — mruknęła pani Kingston Bruce płaczliwym głosem — czy uważasz, że to rozsądne? Służbie z pewnością się to nie spodoba. Jestem pewna, że wszyscy wymówią pracę.

— Pokoje służby przeszukamy na końcu — łagodził Tommy. — Złodziej na pewno schował perłę w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu.

— Chyba gdzieś coś takiego czytałem — zgodził się pułkownik.

— Owszem — potwierdził Tommy. — Zapewne pamięta pan sprawę Rex kontra Bailey, która stworzyła precedens...

— Och... hm... tak — mruknął pułkownik niepewnie.

— Najbardziej nieprawdopodobnym miejscem jest pokój pani Betts — ciągnął Tommy.

— O mój Boże! Czyż to nie byłoby sprytne? — zawołała pani Betts z podziwem i bez oporu zaprowadziła go do swojego pokoju, gdzie Tommy jeszcze raz zrobił użytek ze specjalnego aparatu fotograficznego.

Tuppence dołączyła do niego po chwili.

— Mam nadzieję, pani Betts, że nie ma pani nic przeciwko temu, by moja asystentka przejrzała pani szafę?

— Ależ nie, oczywiście. Czy jestem tu jeszcze potrzebna?

Tommy zapewnił, że nie ma potrzeby dłużej jej zatrzymywać, i pani Betts wyszła.

— Możemy dalej blefować — powiedział Tommy. — Ale osobiście nie wierzę, byśmy mieli choćby cień szansy na znalezienie tej perły. Niech diabli wezmą tę twoją dwudziestoczęterogodzinną usługę, Tuppence.

— Posłuchaj — odrzekła spokojnie żona. — Jestem przekonana, że służba jest niewinna, ale udało mi się wydobyć coś z tej francuskiej pokojówki. Zdaje się, że gdy lady Laura przebywała tu z wizytą rok temu, poszła z przyjaciółmi państwa Kingston Bruce do kogoś na herbatę i gdy wróciła do domu, z jej mufki wypadła łyżeczka. Wszyscy uważali, że musiała się tam znaleźć przypadkiem. Ale dowiedziałam się też o wiele więcej. Lady Laura zawsze u kogoś mieszka. Zdaje się, że sama nie ma ani grosza i żyje sobie wygodnie u ludzi, dla których tytuł wciąż ma jakieś znaczenie. To może być zbieg okoliczności albo też coś więcej, ale pięć różnych kradzieży zdarzyło się w czasie, gdy przebywała u rozmaitych osób. Czasem były to drobiazgi, a czasem cenne klejnoty.

— Oho! — zawołał Tommy i gwizdnął przeciągle.

— Czy wiesz, gdzie jest jej pokój?

— Po drugiej stronie korytarza.

— W takim razie wydaje mi się, że po prostu zakradniemy się tam i poszukamy.

Drzwi do pokoju naprzeciwko były uchylone. Sam pokój był duży, z białą lakierowanymi meblami i różowymi zasłonami. Gdy tam weszli, w drzwiach prowadzących do łazienki pojawiła się szczupła, ciemnowłosa dziewczyna, bardzo schludnie ubrana. Tuppence zauważyła jej zaskoczenie.

— Panie Blunt, to jest Elise, pokojówka lady Laury — powiedziała sztywno.

Tommy wszedł do łazienki i w duchu podziwiał jej kosztowne i nowoczesne wyposażenie. Szybko zabrał się do pracy, żeby rozproszyć wyraz podejrzliwości na twarzy Francuzki. — Pani zapewne jest zajęta obowiązkami, mademoiselle Elise?

— Tak, monsieur. Czyściłam właśnie wannę.

— Może na razie mogłaby mi pani pomóc przy fotografowaniu. Mam tu specjalny aparat fotograficzny i robię zdjęcia wszystkich pokoi w tym domu.

Naraz drzwi do sypialni, znajdujące się za jego plecami, trzasnęły głośno. Elise aż podskoczyła z wrażenia.

— Kto to zamknął?

— Chyba przeciąg — odpowiedziała Tuppence.

— Przejdźmy do tamtego pokoju — zaproponował Tommy.

Elise podeszła do drzwi i spróbowała je otworzyć, ale nie mogła przekręcić gałki.

— Co się dzieje? — zapytał Tommy ostro.

— Ach, monsieur, ktoś musiał zamknąć drzwi po tamtej stronie.

Pochwyciła ręcznik i spróbowała jeszcze raz. Tym razem drzwi otworzyły się z łatwością.

— *Voilà ce qui est curieux*. Musiały się zaciąć — powiedziała Elise.

W sypialni nie było nikogo.

Tommy przyniósł aparat. Tuppence i Elise wykonywały jego polecenia, on jednak nadal nie przestawał rzucać zaciekawionych spojrzeń na drzwi.

— Zastanawiam się — mruknął przez zęby — zastanawiam się, dlaczego te drzwi się zacięły?

Przyjrzał im się uważnie, po czym otworzył i zamknął kilka razy. Zamek działał bez zarzutu.

— Jeszcze jedno zdjęcie — westchnął. — Czy mogłaby pani odsunąć tę zasłonę, mademoiselle Elise? Dziękuję. Proszę ją tak przez chwilę potrzymać.

Rozległ się znajomy trzask migawki. Tommy podał pokojówce do potrzymania szklaną płytkę, wręczył statyw Tuppence i ostrożnie złożył i zamknął aparat. Odesłał dziewczynę pod jakimś pretekstem, a gdy wyszła z pokoju, szybko zaczął mówić do Tuppence:

— Posłuchaj, mam pewien pomysł. Czy możesz tu zostać? Przeszukaj pokoje, to ci zajmie trochę czasu. Spróbuj porozmawiać z tą starą sową, lady Laurą, ale nie alarmuj jej. Powiedz, że podejrzewasz pokojówkę. W żadnym razie jednak nie opuszczaj domu. Wychodzę i zabieram samochód. Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł.

— Dobrze — zgodziła się Tuppence. — Ale nic bądź taki pewny siebie. Wydaje mi się, że o czymś zapomniałeś. Ta dziewczyna. Jest w niej coś dziwnego. Posłuchaj, odkryłam, o której wyszła z domu dziś rano. Minęły dwie godziny, zanim dotarła do naszego biura. Coś się tu nie zgadza. Ciekawe, gdzie była, zanim do nas przyszła?

— Tak, coś w tym jest — przyznał jej mąż. — No cóż, zbadaj każdy ślad, jaki tylko przyjdzie ci do głowy, ale nie pozwól lady Laurze opuszczać domu. Co to jest?

Jego czuły słuch pochwycił jakiś dźwięk na podeście schodów. Podeszedł szybko do drzwi, ale nic zobaczył nikogo.

— A więc do zobaczenia — powiedział. — Wrócę tak szybko, jak tylko się da.

Rozdział czwarty

Różowa perła (dokończenie)

Tuppence patrzyła na odjeżdżającego męża z lekką obawą. W przeciwieństwie do Tommy'ego zupełnie nie czuła się pewna siebie. Było kilka rzeczy, których nie potrafiła zrozumieć. Stojąc w oknie i patrząc na drogę ujrzała niespodziewanie, że jakiś mężczyzna wyszedł z bramy naprzeciwko, przeszedł przez ulicę i zadzwonił do drzwi.

Błyskawicznie wypadła z pokoju i zbiegła po schodach. Z tylnej części domu wyłoniła się pokojówka Gladys Hill, ale Tuppence zdecydowanym gestem nakazała jej zniknąć. Podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je.

Na schodach stał chudy młody człowiek o wyrazistych czarnych oczach. Miał na sobie źle skrojone ubranie. Po krótkim wahaniu zapytał:

— Czy zastałem pannę Kingston Bruce?

— Proszę wejść — odrzekła Tuppence, odsuwając się na bok, by go wpuścić.

— Pan Rennie, tak? — zapytała słodko.

Mężczyzna rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Eee... tak.

— Zechce pan tu wejść?

Otworzyła drzwi do pustego gabinetu, weszła za nim i zamknęła drzwi. Mężczyzna odwrócił się do niej ze zmarszczonymi brwiami.

— Chciałbym się zobaczyć z panną Kingston Bruce.

— Nie jestem pewna, czy to możliwe — odrzekła Tuppence spokojnie.

— Zaraz, a kim właściwie pani jest? — zapytał pan Rennie nieuprzejmie.

— Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna — wyjaśniła zwięźle Tuppence i dostrzegła cień popłochu na twarzy mężczyzny. — Proszę usiąść, porozmawiamy. Po pierwsze, wiemy, że panna Kingston Bruce odwiedziła pana dziś rano.

Strzał był śmiały, ale celny. Tuppence zauważyła konsternację na twarzy mężczyzny i podjęła szybko:

— Odzyskanie perły jest bardzo ważną sprawą, panie Rennie. Nikt w tym domu nie ma ochoty na rozgłos. Czy nie moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia?

Młody człowiek spojrział na nią przenikliwie.

— Ciekaw jestem, ile pani wie — rzekł z namysłem.

— Zaraz, niech się chwilę zastanowię.

Zakrył twarz rękami i zadał zaskakujące pytanie:

— Czy to prawda, że młody St Vincent zaręczył się i ma zamiar się ożenić?

— Absolutna prawda — potwierdziła Tuppence.

— Znam tę dziewczynę.

Pan Rennie nagle postanowił obdarzyć ją zaufaniem.

— To było piekło — wyznał. — Pytali ją o to po pięć razy dziennie, a jemu na siłę wbijali Beatrice do głowy. Wszystko dlatego, że on kiedyś odziedziczył tytuł. Gdyby to ode mnie zależało...

— Nic rozmawiajmy o polityce — powiedziała Tuppence pospiesznie. — Czy mógłby mi pan wyjaśnić, panie Rennie, dlaczego pan sądzi, że to panna Kingston Bruce wzięła perłę?

— Ja... wcale tak nie myślę.

— Myśli pan tak — odrzekła Tuppence spokojnie.

— Poczekaj pan, aż detektyw odjedzie i teren będzie czysty, a potem przyszedł pan tu i zapytał o nią. Wszystko jest oczywiste. Nie byłby pan nawet w połowie tak zdenerwowany, gdyby sam pan to zrobił.

— Zachowywała się tak dziwnie — westchnął młody człowiek. — Przyszła do mnie dzisiaj rano i powiedziała mi o kradzieży i o tym, że właśnie idzie do prywatnej firmy detektywistycznej. Wydawało mi się, że chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogło jej to przejść przez gardło.

— No cóż — mruknęła Tuppence. — Ja tylko chcę odzyskać perłę. Lepiej niech pan tam idzie i z nią porozmawia,

W tej chwili jednak w drzwiach pojawił się pułkownik Kingston Bruce.

— Panno Robinson, lunch jest gotowy. Mam nadzieję, że zje pani z nami. Ten... — urwał na widok gościa.

— Widzę, że nie ma pan ochoty zaprosić mnie na lunch — powiedział pan Rennie., — Dobrze, pójdę sobie.

— Niech pan wróci później — szepnęła Tuppence, gdy przechodził obok niej.

Poszła za pułkownikiem, który wciąż mruczał coś pod wąsem na temat niesłychanej bezczelności niektórych osób. Weszli do wielkiej jadalni, gdzie przy stole siedziała już cała rodzina. Tuppence nie знаła tylko jednej osoby spośród zgromadzonych.

— Lady Lauro, to jest panna Robinson, która zechciała nam pomóc.

Lady Laura skinęła głową i przyjrzała się Tuppence uważnie przez pince-nez. Była to dama wysoka i szczupła: smutny uśmiech i łagodny głos wyraźnie szły w parze z bystrym, przenikliwym spojrzeniem. Tuppence wytrzymała je spokojnie; lady Laura pierwsza odwróciła wzrok.

Po lunchu lady Laura z nieukrywanym zaciekawieniem włączyła się do rozmowy. Jak postępuje dochodzenie? Tuppence położyła odpowiedni nacisk mówiąc o podejrzeniach skierowanych na pokojówkę. Co do lady Laury, nie miała żadnych wątpliwości, że mogła chować w mufce łyżeczki i temu podobne przedmioty, ale z pewnością nie zabrała perły.

Po lunchu „asystentka” wróciła do przeszukiwania domu. Czas płynął. Tommy nic dawał znaku życia, a jeszcze bardziej martwiło ją, że pan Rennie także się nie pokazywał. Wychodząc z sypialni zderzyła się z Beatrice Kingston Bruce, która właśnie schodziła po schodach, ubrana do wyjścia.

— Obawiam się, że nie może pani teraz opuścić domu — powiedziała Tuppence.

Dziewczyna spojrzała na nią wyniośle:

— To nie pani sprawa, czy wychodzę, czy nie.

— Ale to moja sprawa, czy skontaktuję się z policją, czy nie — odparowała Tuppence.

Twarz, dziewczyny przybrała barwę popiołu, a wyniosły ton zmienił się na błagalny:

— Nie może pani... nie może pani... nigdzie nie pójdę, ale niech pani tego nie robi!

— Droga panno Kingston Bruce — uśmiechnęła się Tuppence — od samego początku ta sprawa była dla mnie zupełnie jasna. Ja...

Nic udało jej się jednak dokończyć zdania. Zaaferowana spotkaniem z dziewczyną nic usłyszała dzwonek U drzwi wejściowych i ku jej zdumieniu w tej właśnie chwili na schody wpadł Tommy, a w hallu poniżej zobaczyła wysokiego, potężnego mężczyznę, który właśnie zdejmował melonik.

— Inspektor Marnot ze Scotland Yardu — przedstawił się z uśmiechem.

Beatrice Kingston Bruce z okrzykiem oderwała się od Tuppence i zbiegła po schodach. W tej samej chwili drzwi znów się otworzyły i stanął w nich pan Rennie.

— Teraz wszystko popsuleś — powiedziała Tuppence z goryczą.

— Co? — zdziwił się Tommy, wpadając do pokoju lady Laury. Wszedł do łazienki i wrócił z dużą kostką mydła. Inspektor właśnie wchodził na schody.

— Nie stawiała oporu — oznajmił. — To weteranka. Wie, kiedy zabawa jest skończona. A co z perłą?

— Sądzę, że znajdzie ją pan tutaj — Tommy podał mu mydło.

Oczy inspektora błysnęły uznaniem.

— Stara, dobra sztuczka. Wystarczy przeciąć kostkę mydła na pół, wydrążyć w środku miejsce na klejnot, złożyć połówki z powrotem i usunąć ślad połączenia pod strumieniem gorącej wody. Bardzo dobrze się pan spisał.

Tommy przyjął komplement z wdzięcznością. Oboje z Tuppence zeszli na dół. Pułkownik Kingston Bruce podbiegł do nich i gorąco uścisnął dłoń Tommy'ego.

— Drogi panie, nie wiem, jak mam dziękować. Lady Laura także pragnie wyrazić swoją wdzięczność...

— Cieszę się, że nie zawiedliśmy pana — odrzekł Tommy. — Proszę nas nie zatrzymywać, muszę już iść. Mam niezwykle pilne spotkanie. Jeden z członków rządu...

Wybiegł na podjazd i wskoczył do samochodu. Tuppence natychmiast znalazła się obok niego.

— Ależ, Tommy — zawołała. — Czy oni nie zaaresztowali w końcu lady Laury?

— Och! — odrzekł Tommy. — Nie mówiłem ci? Nie zaaresztowali lady Laury. Zabrali Elise.

Tuppence siedziała w milczeniu, zupełnie ogłuszona.

— Widzisz — wyjaśnił Tommy — ja sam często próbowałem otworzyć drzwi namydlonymi rękami. Nie da się tego zrobić, bo dłonie ślizgają się po klamce. Zastanawiałem się więc, co Elise robiła z mydłem, że ręce jej były aż tak śliskie. Pamiętasz, pochwyciła ręcznik, więc później na klamce nie było już śladów mydła. Przyszło mi jednak do głowy, że dla profesjonalnej złodziejki to byłby bardzo dobry pomysł, żeby zatrudnić się jako pokojówka u podejrzewanej o kleptomanię damy, która dużo czasu spędza w różnych domach. Udało mi się sfotografować ją i pokój oraz skłonić, by potrzyzymała szklaną płytkę, a potem pojechałem do Scotland Yardu. Błyskawiczne wywołanie negatywu, zwieńczona powodzeniem identyfikacja odcisków palców — i fotografia. Dawno już tam tęsknili za Elise. Scotland Yard to pożyteczne miejsce. Tuppence wreszcie odzyskała głos.

— Pomyśleć tylko, że tych dwoje młodych idiotów podejrzewało siebie nawzajem, zupełnie jak w wiejskich ksiązkach! Ale dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, zanim wyszedłeś?

— Przede wszystkim podejrzewałem, że Elise podsłuchuje na schodach, a poza tym...

— Co?

— Moja uczona żona zapomina, że Thorndyke nigdy niczego nie wyjaśnia aż do ostatniej chwili. I jeszcze jedno, Tuppence. Poprzednim razem ty i twoja przyjaciółka Janet zrobiłyście mnie w konia. Teraz rachunek jest wyrównany.

Rozdział piąty

Złowrogi interesant

— Co za piekielnie nudny dzień — powiedział Tommy, ziewając szeroko.

— Czas na herbatę — zauważyła Tuppence i również ziewnęła.

Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna nie kipiała życiem. Oczekiwany list od hurtownika szynki nie nadchodził, a i inne sprawy wymagające wyjaśnienia także jakoś się nie pojawiały.

Do pokoju wszedł Albert i położył na biurku paczkę.

— Tajemnica Zapieczętowanej Paczki — mruknął Tommy. — Czy są w niej wspaniałe perły wielkiej księżny rosyjskiej? A może piekielne urządzenie, które ma roznieść Błyskotliwych Detektywów Blunta na strzępy?

— Nic z tego — odrzekła Tuppence, otwierając paczkę. — To, jest mój prezent ślubny dla Francisa Havilanda. Ładne, prawda?

Tommy wziął z jej wyciągniętej ręki wąską srebrną papierośnicę z wygrawerowaną charakterem pisma Tuppence dedykacją Dla Francisa od Tuppence. Otworzył i zamknął papierośnicę, skinąwszy głową z aprobatą.

— Szstasz pieniędzmi, Tuppence — zauważył. — Poproszę taką samą, tylko złotą, na moje urodziny — w przyszłym miesiącu. To przesada, żeby marnować coś takiego dla Francisa Havilanda, który na wieki pozostanie jednym z największych kretynów, jakich Bóg kiedykolwiek stworzył!

— Nie zapominaj, że prowadziłam jego samochód podczas wojny, gdy był generałem. To były piękne czasy!

— Owszem — zgodził się Tommy. — Pamiętam, że piękne kobiety przychodziły do szpitala, żeby uściskać mi dłoń. Ale nie wysyłam im wszystkim prezentów ślubnych. Nie sądzę, żeby panu młodemu bardzo zależało na prezencie od ciebie, Tuppence.

— Jest ładna i dobrze leży w kieszeni, prawda? — zapytała Tuppence, ignorując te uwagi.

Tommy wsunął papierośnicę do kieszeni.

— Jest w sam raz — stwierdził. — Halo, oto nadchodzi Albert z popołudniową pocztą. Najprawdopodobniej księżna Pertshire zleca nam odnalezienie swego pekińczyka—medalisty.

Obydwoje zajęli się przeglądaniem poczty. Nagle Tommy gwizdnął przeciągle i pokazał żonie

kopertę.

— Niebieski list z rosyjskim znaczkiem. Pamiętasz, co powiedział szef? Mieliśmy uważać na takie listy.

— Podniecające — odrzekła Tuppence. — Coś się wreszcie zdarzyło. Otwórz go i sprawdź, czy zawartość jest zgodna z przypuszczeniami. To miał być hurtownik szynki, tak? Zaraz, chwileczkę. Będzie nam potrzebne mleko do herbaty. Zapomnieli nam rano zostawić butelkę. Wyślę Alberta.

Kiedy Albert poszedł po sprawunki, wróciła do pokoju. Tommy trzymał w ręku arkusz niebieskiego papieru.

— Tak, jak się spodziewaliśmy, Tuppence — powiedział. — Prawie dosłownie to, o czym mówił szef.

Tuppence wyjęła list z jego ręki i czytała. Napisany był staranną, oficjalną angielszczyzną i rzekomo pochodził od niejakiego Gregora Fiodorskiego, spragnionego wiadomości o żonie. Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna miała nie szczędzić kosztów, by ją odnaleźć. Sam Fiodorski w tej chwili nie mógł opuścić Rosji ze względu na kryzys w handlu wieprzowiną.

— Zastanawiam się, co to naprawdę oznacza — powiedziała Tuppence z namysłem, wygładzając list na stole.

— Przypuszczam, że jakiś szyfr. Ale to nie nasza sprawa. My musimy tylko jak najszybciej przekazać to szefowi. Może od razu zmoczymy znaczek i zobaczymy, czy pod spodem jest liczba 16.

— Dobrze — zgodziła się Tuppence. — Ale wydaje mi się...

Urwała nagle, a Tommy, zaskoczony jej niespodziewanym zamilknięciem, podniósł wzrok i ujrzał w drzwiach sylwetkę mocno zbudowanego mężczyzny z bardzo okrągłą głową i potężną szczęką. Mógł mieć około czterdziestu pięciu lat.

— Bardzo przepraszam — odezwał się, wchodząc do pokoju z kapeluszem w dłoni. — Tamten pokój był pusty, a drzwi otwarte, więc pozwoliłem sobie przeszkodzić. To jest Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna Blunta, prawda?

— Oczywiście.

— A pan, być może, jest właścicielem? Theodorem Bluntem?

— Tak, to ja. Chciał pan zasięgnąć porady? To jest moja sekretarka, panna Robinson.

Tuppence z wdziękiem skłoniła głowę, uważnie przyglądając się przybyszowi spod spuszczonej powiek. Zastanawiała się, jak długo stał w drzwiach i ile zdołał usłyszeć i zobaczyć. Nie umknęło jej uwagi, że rozmawiając z Tommym, co chwilę rzucał szybkie spojrzenia na arkusz błękitnego papieru, który trzymała w dłoni.

Ostry głos Tommy'ego zabrzmiał jak ostrzeżenie.

— Panno Robinson, proszę notować. A teraz, czy mógłby pan przedstawić sprawę, w której pragnie pan zasięgnąć mojej porady?

Tuppence sięgnęła po ołówek i notatnik.

— Nazywam się Bower, doktor Charles Bower — powiedział mężczyzna chropawym głosem. — Mieszkam i praktykuję w Hampstead. Przyszedłem do pana, panie Blunt, gdyż ostatnio przydarzyło mi się kilka dziwnych rzeczy.

— Mianowicie?

— W ciągu ostatniego tygodnia dwukrotnie wezwano mnie telefonicznie w pilnej sprawie i oba wezwania okazały się fałszywe. Za pierwszym razem myślałem, że ktoś zrobił mi głupi kawał, ale gdy wróciłem do domu po drugim wezwaniu, odkryłem, że moje prywatne papiery były poprzekładane, i myślę, że to samo zdarzyło się także przy pierwszej okazji. Przejrzałem wszystko i doszedłem do wniosku, że ktoś przeszukał całe moje biurko, a potem w pośpiechu i niedokładnie powkładał wszystko z powrotem.

Doktor Bower urwał i spojrzał na Tommy'ego.

— No i cóż, panie Blunt?

— No cóż, panie Bower — odrzekł Tommy z uśmiechem.

— Co pan o tym myśli?

— Najpierw chciałbym poznać fakty. Co ma pan w biurku?

— Moje prywatne papiery.

— Dobrze. Jaka jest treść tych papierów? Jaką wartość przedstawiają one dla zwykłego złodzieja lub też dla jakiejś konkretnej osoby?

— Myślę, że dla zwykłego złodzieja nie mają zupełnie żadnej wartości, natomiast moje notatki na temat pewnych niezbyt znanych alkaloidów mogłyby zainteresować kogoś, kto posiada techniczną wiedzę na ten temat. Studiowałem to zagadnienie przez kilka ostatnich lat. Te alkaloidy to śmiertelne trucizny, działające bardzo szybko, a ponadto niemal niewykrywalne. Nie wywołują żadnych znanych reakcji.

— Wiedza o nich byłaby więc warta pieniądze?

— Dla kogoś pozbawionego skrupułów, tak.

— Kogo pan podejrzewa?

Doktor wzruszył potężnymi ramionami.

— Wydaje mi się, że nikt się do domu nie włamał. To wskazywałoby na kogoś z domowników, ale nie mogę uwierzyć... — przerwał gwałtownie, po czym podjął bardzo poważnym tonem:

— Panie Blunt, muszę się zdać na pana pomoc. Nie mam odwagi iść z tą sprawą na policję. Do moich trojga służących mam niemal absolutne zaufanie. Są u mnie od wielu lat. Ale nigdy nie wiadomo. Mieszka ze mną także dwóch bratanków, Bertram i Henry. Henry to dobry chłopiec, bardzo dobry chłopiec. Nigdy nie przyczyniał mi żadnych zmartwień. Pracowity, wspaniały chłopak. Natomiast Bertram, przykro mi to mówić, ma zupełnie inny charakter — jest nieposkromiony, ekstrawagancki i przez cały czas uparcie bezczynny.

— Rozumiem — powiedział Tommy z namysłem. — Podejrzewa pan, że pański bratanek Bertram jest zamieszany w tę sprawę. Ale ja się z panem nie zgadzam. Nie podoba mi się ten dobry chłopiec — Henry.

— Ależ dlaczego?

— Tradycja. Precedens. — Tommy pomachał ręką w powietrzu. — Z mojego doświadczenia wynika, drogi panie, że podejrzane charaktery zawsze okazują się niewinne i odwrotnie. Tak, zdecydowanie podejrzewam Henry'ego.

— Przepraszam bardzo, panie Blunt — wtrąciła nieśmiało Tuppence. — Czy dobrze zrozumiałam słowa pana Bowera, że notatki na temat tych... hm... nieznanых alkaloidów leżą w biurku razem z innymi papierami?

— Leżą w biurku, młoda damo, lecz w sekretnej szufladzie, której położenie znam tylko ja. Dlatego też do tej pory pozostały nienaruszone.

— Czego właściwie pan ode mnie oczekuje, panie Bower? — zapytał Tommy. — Czy sądzi pan, że te poszukiwania będą się powtarzać?

— Tak, panie Blunt, mam wszelkie powody, by tak przypuszczać. Dziś po południu otrzymałem telegram od mojego pacjenta, któremu kilka tygodni temu zaleciłem wyjazd do Bournemouth. I dziś depeszuje stamtąd, że jest w krytycznym stanie i błaga, bym natychmiast przyjechał. Ponieważ jednak wypadki, o których panu opowiedziałem, obudziły moją podejrzliwość, sam wysłałem telegram do owego pacjenta i otrzymałem odpowiedź, że znajduje się w znakomitym zdrowiu i nie wysyłał mi żadnego wezwania. Pomyślałem, że jeśli będę udawał, iż dałem się nabrać i posłusznie wyjechałem do Bournemouth, będziemy mieli duże szansę schwytać złoczyńców na gorącym uczynku. Oni, czy też on, bez wątpienia poczekają, aż wszyscy w domu usną, zanim podejmą jakieś działania. Proponuję, żeby spotkał się pan ze mną przed moim domem o jedenastej wieczorem i razem przeprowadzimy dochodzenie.

— Z nadzieją, że przyłapiemy ich na gorącym uczynku. — Tommy w zadumie postukał w stół nożem do papieru. — Wydaje mi się, doktorze Bower, że to znakomity plan. Nie powinno być żadnych komplikacji. Gdzie pan mieszka?

— Larches, Hangman's Lane. Obawiam się, że to dosyć odludna okolica. Ale za to mamy wspaniały widok na wrzosowiska.

— Ach tak — skwitował informację Tommy. Gość podniósł się.

— W takim razie, panie Blunt, oczekuję pana przed Larches powiedzmy, na wszelki wypadek, za pięć jedenasta?

— Oczywiście. Za pięć jedenasta. Do widzenia, doktorze Bower.

Tommy wstał i nacisnął przycisk na biurku. Albert pojawił się w drzwiach i wyprowadził gościa. Doktor utykał lekko, ale mimo tego był niewątpliwym siłaczem.

— Brzydka sprawa — mruknął Tommy do siebie.

— Tuppence, staruszeko, co o tym myślisz?

— Mogę ci to powiedzieć jednym słowem. To plewy!

— Co takiego?

— Powiedziałam: plewy! Moje studia nad klasykami nie poszły na marne. Tommy, to pułapka. Nieznane alkaloidy, rzeczywiście! Nigdy nie słyszałam większej bzdury.

— Nawet mnie to za bardzo nie przekonało — przyznał Tommy.

— Zauważyłeś, jak patrzył na list? Tommy, on należy do gangu. Dowiedzieli się, że nie jesteś prawdziwym Bluntem, i zapragnęli naszej krwi.

— W takim razie — powiedział Tommy, otwierając szafę i z bijącym sercem spoglądając na rzędy książek — wybór roli jest prosty. Jesteśmy braćmi Okewood! I ja będę Desmondem — dodał stanowczo.

Tuppence wzruszyła ramionami.

— Dobrze, niech ci będzie. Mogę być Francisem. Francis jest o wiele inteligentniejszy od brata. Desmond zawsze pakuje się w kłopoty, a Francis w samą porę pojawia się jako ogrodnik albo ktoś taki i ratuje sytuację.

— Och, ale ja będę super Desmondem! — zawołał Tommy. — Gdy pojedę do Larches...

Tuppence przerwała mu bezceremonialnie.

— Nie wybierasz się chyba do Hampstead dziś wieczorem?

— Dlaczego nie?

— Wejdiesz z zamkniętymi oczami prosto w pułapkę?

— Nie, moja droga, wejdę w pułapkę z otwartymi oczami. To bardzo duża różnica. Myślę, że naszego przyjaciela, doktora Bowera, czeka mała niespodzianka.

— Nie podoba mi się to — odrzekła Tuppence.

— Wiesz, co się dzieje, gdy Desmond nie przestrzega poleceń szefa i zaczyna działać na własną rękę. Nasze rozkazy były całkiem jasne. Mieliśmy natychmiast przesłać list i donosić o wszystkim, co się zdarzy.

— To niezupełnie prawda — odpowiedział Tommy.

— Mieliśmy donieść, jeśli ktoś przyjdzie i wymieni liczbę 16. Nic takiego się nie zdarzyło.

— To nieistotny drobiazg — odrzekła Tuppence.

— Nie przekonasz mnie. Mam ochotę zabawić się w samotnego myśliwego. Moja droga staruszeko, nic mi się nie stanie. Pójdę na spotkanie uzbrojony po zęby. Cała rzecz polega na tym, że ja się będę pilnował, a oni nie będą nic o tym wiedzieli. Szef poklepie mnie po ramieniu w uznaniu za pożytecznie spędzony wieczór.

— Nie podoba mi się to — upierała się przy swoim Tuppence. — Ten facet jest silny jak goryl.

— Ach, ale pomyśl tylko o moim błękitnym automacie!

W gabinecie pojawił się Albert. Zamknął drzwi i podszedł do nich z kopertą w rękę.

— Jakiś dżentelmen chce się z panem widzieć — powiedział. — Gdy zacząłem zwykłą pogadankę o tym, że rozmawia pan „ze Scotland Yardem, powiedział, że wie o tym wszystkim, bo sam jest ze Scotland Yardu! Napisał coś na wizytówce i włożył ją do tej koperty.

Tommy otworzył kopertę. Przeczytał kartkę i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Ten pan zabawił się twoim kosztem, mówiąc prawdę — zauważył. — Wprowadź go.

Rzucił wizytówkę Tuppence. Na kartce widniało nazwisko: Inspektor Dymchurch. W poprzek wizytówki dopisano ołówkiem: „Przyjaciel Marriota”.

Po chwili detektyw ze Scotland Yardu pojawił się w gabinecie. Z wyglądu podobny był do inspektora Marriota — niski i krępy, o przenikliwym spojrzeniu.

— Dzień dobry — powiedział. — Marriot wyjechał do Południowej Walii, ale przed wyjazdem poprosił mnie, bym miał baczenie na was, a szczególnie na to miejsce. Och, tak, proszę pana — uśmiechnął się, gdy zauważył, że Tommy ma zamiar mu przerwać — wiemy wszystko. To nie nasz wydział i w zasadzie nie wtrącamy się w to, ale ostatnio ktoś się dowiedział, że to miejsce nie jest do końca tym, na co wygląda. Był tu dzisiaj pewien dżentelmen. Nie wiem, jakim nazwiskiem się

przedstawił, nie wiem też, jak nazywa się naprawę, ale wiem kilka innych rzeczy na jego temat. Dosyć, bym miał ochotę dowiedzieć się więcej. Czy słusznie przypuszczam, że umówił się na spotkanie z panem dziś wieczorem w jakimś konkretnym miejscu?

— Zupełnie słusznie.

— Tak myślałem. 16 Westerham Road, Finsbury Park — czy tam?

— Myli się pan — uśmiechnął się Tommy. — Zupełnie się pan myli. Larches, Hampstead.

Dymchurch wyglądał na zdumionego. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Nie rozumiem — mruknął. — To coś nowego. Larches, Hampstead, powiedział pan?

— Tak. Mam się tam z nim spotkać o jedenastej wieczorem.

— Niech pan tego nie robi.

— A widzisz! — wybuchnęła Tuppence.

Tommy zaczerwienił się.

— Jeśli sądzi pan, inspektorze... — zaczął z ogniem w głosie. Inspektor jednak podniósł dłoń do góry.

— Powiem panu, co o tym sądzę, panie Blunt. O jedenastej wieczorem będzie pan tu, w biurze.

— Co takiego? — zawołała Tuppence ze zdumieniem.

— Tu, w tym biurze. Mniejsza o to, skąd wiem — obszary zainteresowania różnych wydziałów czasem się pokrywają — ale dostał pan dzisiaj jeden z tych słynnych „błękitnych” listów. Ten facet, jak mu tam, chce go zdobyć. Wyciągnie pana do Hampstead, upewni się, że nie będzie mu pan wchodził w drogę, przyjdzie tu wieczorem, gdy cały budynek jest pusty i spokojnie wszystko przeszuka.

— Ale dlaczego miałby przypuszczać, że list nadal tu będzie? Powinien wiedzieć, że będę miał go przy sobie albo przekażę dalej.

— Wybacz pan, ale o tym właśnie nie wie. Nawet jeśli odkrył, że nie jest pan prawdziwym Bluntem, przypuszcza zapewne, że jest pan człowiekiem, który kupił tę firmę. W takim wypadku wszystko powinno się odbyć w zwykły sposób i list powinien trafić do kartoteki korespondencji.

— Rozumiem — powiedziała Tuppence.

— I pozwolimy mu tak myśleć. Złapiemy go tu wieczorem na gorącym uczynku.

— Więc taki właśnie jest plan?

— Tak. To nasza największa szansa. Która jest teraz godzina? Szósta. O której zwykle pan stąd wychodzi?

— Około szóstej.

— Powinien pan wyjść stąd tak, jak każdego innego dnia. Wkradniemy się z powrotem do biura jak najszybciej. Nie, wierzę, żeby przyszli przed jedenastą, ale oczywiście jest to możliwe. Teraz, jeśli pan pozwoli, wyjdę i rozejrzę się. Sprawdzę, czy udałoby się tu umieścić kogoś z ochrony.

Dymchurch wyszedł, a między małżeństwem zaczęła się sprzeczka. Była zażarta i trwała dłuższą chwilę. Nieoczekiwanie Tuppence poddała się.

— Dobrze — powiedziała. — Niech ci będzie. Pójdę do domu i będę tam grzecznie siedzieć, kiedy ty będziesz się zajmował pomyłkami i węszył z detektywami — ale poczekaj jeszcze, młodzieńcze. Wyrównam sobie rachunki za to, że nie pozwalasz mi wziąć udziału w zabawie.

W tej chwili wrócił Dymchurch.

— Wydaje mi się, że okolicą jest czysta — powiedział — ale nigdy nie wiadomo. Lepiej wyjść stąd tak, jak zawsze. Kiedy już pana tu nie będzie, przestanę obserwować okolicę.

Tommy zawołał Alberta i kazał mu zamknąć biuro.

We czworo poszli do pobliskiego garażu, gdzie Tommy i Tuppence zwykle zostawiali samochód. Tuppence prowadziła. Albert usiadł obok niej, a Tommy i detektyw na tylnym siedzeniu.

Po chwili utknęli w korku ulicznym. Tuppence spojrzała przez ramię i skinęła głową. Tommy i detektyw otworzyli drzwi po prawej stronie i wyszli na środek Oxford Street. Tuppence ruszyła dalej.

Rozdział szósty

Złowrogi interesant (dokończenie)

— Lepiej jeszcze nie wchodźmy — powiedział Dymchurch, gdy obaj z Tommym znaleźli się na Haleham Street, — Ma pan klucz?

Tommy skinął głową.

— W takim razie może poszlibyśmy na obiad? Jest jeszcze wcześnie, ale znam pewien mały lokal tu naprzeciwko. Usiądziemy przy oknie, żeby przez cały czas mieć budynek na oku.

Tommy zgodził się i zjedli razem bardzo przyzwoity posiłek. Inspektor Dymchurch okazał się niezwykle miłym rozmówcą. Głównym obszarem jego zainteresowań było międzynarodowe szpiegostwo i potrafił opowiedzieć na ten temat mnóstwo zadziwiających historii.

Siedzieli w restauracji do ósmej. W końcu Dymchurch uznał, że czas się ruszyć.

— Jest już całkiem ciemno — wyjaśnił. — Możemy się tam wemknąć i nikt nas nie zauważy.

Rzeczywiście było już zupełnie ciemno. Przeszli przez ulicę, pośpiesznie rozejrzeli się na wszystkie strony i wśliznęli do budynku. Weszli po schodach na górę. Tommy wsunął klucz w zamek i w tej samej chwili wydawało mu się, że usłyszał, jak Dymchurch gwizdnął za jego plecami.

— Dlaczego pan gwizdże? — zapytał ostro.

— Nie gwizdałem — zdumiał się Dymchurch. — Myślałem, że to pan.

— Ktoś... — zaczął Tommy, ale nie dokończył zdania, gdyż jakieś silne ramiona pochwyciły go od tyłu i zanim zdążył otworzyć usta, ktoś przycisnął do jego twarzy tampon nasączony czymś pachnącym mdło i słodko. Próba oporu była bezskuteczna; chloroform zrobił swoje. Tommy poczuł, że podłoga pod jego stopami kołysze się w dół i w górę. Zakręciło mu się w głowie, zakrztusił się i stracił przytomność...

Ocknięcie było bolesne, ale od razu odzyskał całkowitą przytomność. Działanie środka odurzającego obliczone było tylko na krótką chwilę, wystarczającą, by go zakneblować i upewnić się, że nie będzie krzyczał.

Doszedłszy do siebie, stwierdził, że na wpół leży, a na wpół siedzi, oparty o ścianę w kącie własnego gabinetu. Dwóch mężczyzn pracowicie przetrząsało zawartość biurka i szaf, przeklinając przy tym bezustannie.

— Nic z tego, szefie — odezwał się wyższy mężczyzna ochryłym głosem — przewróciliśmy całe

to cholerne miejsce do góry nogami. Nie ma go tu.

— Musi być — warknął drugi. — On nie ma tego przy sobie, więc gdzie ma być?

Przy tych słowach odwrócił się i Tommy, ku swemu zupełnemu zaskoczeniu, zobaczył, że był to sam inspektor Dymchurch. Na widok zdumienia na twarzy Tommy'ego uśmiechnął się.

— A więc nasz młody przyjaciel obudził się — powiedział. — I jest odrobinę zdziwiony, tak, odrobinę zdziwiony. A to było takie proste. Podejrzewaliśmy, że coś jest nie w porządku z Międzynarodową Agencją Detektywistyczną. Zgłosiłem się na ochotnika, żeby sprawdzić czy tak, czy nie. Jeśli nowy pan Blunt naprawdę jest szpiegiem, to będzie podejrzliwy, więc najpierw wysłałem mojego drogiego, starego przyjaciela Carla Bauera. Carl ma się zachowywać podejrzanie i opowiedzieć jakąś nieprawdopodobną historię. Tak robi, a potem ja wkraczam do akcji. Użyłem nazwiska inspektora Marnota, żeby wzbudzić zaufanie. Reszta jest prosta — roześmiał się.

Tommy umierał z ochoty, by powiedzieć kilka słów, ale uniemożliwiał to knebel, który miał w ustach. Umierał także z ochoty, by zrobić kilka rzeczy — głównie za pomocą rąk i stóp, lecz, niestety, to także wzięto pod uwagę. Był troskliwie skrepowany.

Najbardziej zdumiewała go zmiana w wyglądzie stojącego przed nim mężczyzny. Jako inspektor Dymchurch był uosobieniem prawdziwego Anglika, teraz zaś nikt nawet przez chwilę nie mógłby mieć najmniejszych wątpliwości, że jest to wykształcony cudzoziemiec, który mówi po angielsku bezbłędnie i bez śladu obcego akcentu.

— Coggins, przyjacielu — powiedział domniemany inspektor do swego współnika o wyglądzie opryszka — weź kamizelkę ratunkową i stój przy więźniu. Mam nadzieję, że rozumie pan, drogi panie Blunt, iż próba krzyku byłaby z pańskiej strony niewybaczalną głupotą? Ale jestem pewien, że pan o tym wie. Jak na pański wiek, jest pan zupełnie inteligentnym facetem.

Ostrożnie wyjął mu knebel i odsunął się o krok.

Tommy rozluźnił zeszywniałe szczęki, przesunął językiem po wargach, dwukrotnie przełknął ślinę — i nie odezwał się ani słowem.

— Gratuluję panu opanowania — powiedział Dymchurch. — Widzę, że zdaje pan sobie sprawę ze swej sytuacji. Czy nie ma pan nic do powiedzenia?

— To, co mam do powiedzenia, może poczekać — odrzekł Tommy. — Nie pali się.

— Ach! Ale to, co ja mam do powiedzenia, nie może czekać. Pytam prostą, jasną angielszczyzną, panie Blunt, gdzie jest ten list?

— Drogi panie, nie mam pojęcia — odrzekł Tommy pogodnie. — Ja go nie mam. Ale o tym wiecie równie dobrze, jak ja. Na waszym miejscu szukałbym dalej. Mam ochotę popatrzeć, jak pan i pański przyjaciel Coggins będziecie się razem bawić w ciepło–zimno.

Twarz mężczyzny pociemniała.

— Zdaje się, że ta nonszalancja sprawia panu przyjemność, panie Blunt. Widzi pan to kwadratowe pudło tutaj? To jest podręczne wyposażenie Cogginsa. W środku jest witiol... tak, witiol... i żelaza, które można rozgrzać w ogniu, aż staną się gorące i mogą oparzyć...

Tommy potrząsnął głową ze smutkiem.

— Błąd w diagnozie — mruknął. — Tuppence i ja nadaliśmy niewłaściwą nazwę tej przygodzie. To nie jest historia o plewach. To jest buldog Drummond, a pan jest jedynym w swoim rodzaju Carlem Petersonem.

— Co za bzdury pan opowiada! — prychnął mężczyzna.

— Ach! — zawołał Tommy. — Widzę, że nie zna pan klasyków. Wielka szkoda.

— Głupi idiota! Zrobisz to, co ci każemy, czy nie? Czy mam powiedzieć Cogginsowi, żeby wyjął narzędzia i zaczynał?

— Niech pan nie będzie taki niecierpliwy — odrzekł Tommy. — Oczywiście, że zrobię, co mi każecie, tylko musicie mi powiedzieć, co to takiego. Nie sądzi pan chyba, że mam ochotę zostać pokrojony na kawałki jak filety z soli i upieczony na ruszcie? Nienawidzę bólu.

Dymchurch spojrzał na niego z pogardą.

— Gott! Jakimi tchórzami są ci Anglicy!

— Zdrowy rozsądek, drogi przyjacielu, zwykły zdrowy rozsądek. Niech pan zostawi witiol w spokoju i przejdzie do rzeczy.

— Chcę mieć ten list.

— Mówiłem już, że go nie mam.

— Wiemy o tym. Wiemy też, kto musi go mieć. Ta dziewczyna.

— Bardzo możliwe, że macie rację — zgodził się Tommy. — Mogła go wsunąć do torebki, gdy pański przyjaciel Carl nas zaskoczył.

— Och, a więc nie zaprzeczasz. To mądre z twojej strony. Bardzo dobrze, w takim razie napiszesz do tej Tuppence, czy jak ją nazywasz, i każesz jej natychmiast przynieść tu list.

— Nie mogę tego zrobić — zaczął Tommy. Zanim skończył zdanie, Dymchurch wpadł mu w słowo.

— Ach, nie możesz! No, to zobaczymy. Coggins!

— Niech się pan tak nie spieszy — powiedział Tommy. — Niech pan przynajmniej poczeka na koniec zdania. Chciałem powiedzieć, że nie mogę tego zrobić, jeśli nie rozwiążecie mi rąk. Do

diabła, nie jestem jednym z tych facetów, którzy potrafią pisać nosem albo łokciem.

— Czy to znaczy, że zgadzasz się napisać?

— Oczywiście. Przecież cały czas to mówię. Mam zamiar być posłuszny i uprzejmy. Rzecz jasna, nie zrobicie Tuppence niczego nieprzyjemnego. To taka miła dziewczyna.

— Chcemy tylko dostać list — powiedział Dymchurch, ale na jego twarzy pojawił się szczególnie nieprzyjemny uśmiech. Skinął głową. Na ten sygnał Coggins uklęknął i rozwiązał sznur na przegubach ścierniętych rąk Tommy'ego, który zaczął ruszać nimi w różne strony.

— Już lepiej — powiedział pogodnie. — Czy miły pan Coggins zechciałby mi podać wieczne pióro? Wydaje mi się, że powinno leżeć na stole wraz z różnymi innymi moimi ruchomościami.

Mężczyzna z nachmurzoną miną podał mu pióro i arkusz papieru.

— Uważaj, co piszesz — doradził Dymchurch groźnym tonem. — Dajemy ci wolną rękę, ale jeśli coś będzie nie tak, oznacza to dla ciebie śmierć, w dodatku powolną.

— W takim razie — odrzekł Tommy — postaram się napisać jak najlepiej.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym zaczął szybko pisać.

— Czy może tak być? — zapytał, pokazując im skończony list.

Droga Tuppence,

Czy możesz przyjść natychmiast i przynieść ze sobą niebieski list? Chcemy go rozszyfrować od razu tutaj.

Pospiesz się,

Francis.

— Francis? — zapytał fałszywy inspektor, unosząc brwi. — Czy ona nie nazywała cię inaczej?

— Nie było pana przy moim chrzcie — odrzekł Tommy — toteż nie sędzę, by mógł pan wiedzieć, czy to jest moje imię, czy nie. Ale myślę, że papierośnica, którą zabrał pan z mojej kieszeni, udowodni panu, że mówię prawdę.

Dymchurch podszedł do stołu, podniósł papierośnicę, przeczytał napis „Dla Francisca od Tuppence” i z lekkim uśmiechem położył ją znowu na stole.

— Cieszę się, że zachowujesz się tak rozsądnie — powiedział. — Coggins, daj tę kartkę Wasylowi. Pilnuje na zewnątrz. Powiedz mu, żeby od razu ją zaniósł.

Następne dwadzieścia minut mijało powoli, a kolejne dziesięć jeszcze wolniej. Dymchurch chodził

po pokoju, a jego twarz coraz bardziej ciemniała. Odwrócił się do Tommy'ego i spojrzał na niego wrogo.

— Jeśli usiłowałeś nas przechytrzyć... — zaczął.

— Gdybyśmy mieli tu talię kart, moglibyśmy dla zabicia czasu zagrać w pikietę — powiedział Tommy przeciągle. — Kobiety zawsze każą na siebie czekać. Mam nadzieję, że nie będziecie się zachowywać niemiło wobec małej Tuppence, gdy tu przyjdzie?

— Och, nie — zapewnił go Dymchurch. — Wyślemy was razem w to samo miejsce.

— Akurat, ty świnió — mruknął Tommy pod nosem.

Naraz usłyszeli jakieś odgłosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia. Mężczyzna, którego Tommy do tej pory jeszcze nie widział, wsunął głowę przez drzwi i mruknął coś po rosyjsku.

— Dobrze — powiedział Dymchurch. — Idzie tu i jest sama.

Przez chwilę Tommy poczuł lekki niepokój. W następnym momencie usłyszał głos Tuppence.

— Och, jest pan tu, inspektorze Dymchurch! Przyniosłam list. A gdzie jest Francis?

Z pytaniem tym weszła w drzwi. Wasyl natychmiast przyskoczył i zasłonił jej usta dłonią, Dymchurch wyrwał torebkę i w szaleńczym pośpiechu wysypał całą jej zawartość.

Z okrzykiem podniósł do góry niebieską kopertę z rosyjskim znaczkiem. Coggins wymruczał coś ochryple.

W tej właśnie chwili triumfu drugie drzwi, prowadzące do pokoju Tuppence, otworzyły się bezszelestnie i wszedł przez nie inspektor Marriot, a za nim dwóch mężczyzn uzbrojonych w rewolwery.

— Ręce do góry! — padła ostra komenda.

Nie było walki. Zupełnie zaskoczeni złoczyńcy nie mieli żadnych szans. Automat Dymchurca leżał na stole, a dwaj pozostali nie byli uzbrojeni.

— Bardzo przyjemna akcja — powiedział inspektor Marriot z aprobatą, zatrząskując ostatnią parę kajdanek. — Mam nadzieję, że za jakiś czas będziemy ich mieli więcej.

Blady z wściekłości Dymchurch spojrzał na Tuppence.

— Ty diablico — syknął. — To ty ich na nas napuściłaś.

Tuppence zaśmiała się.

— To nie tylko moja zasługa. Przyznaję, że powinnam była zgadnąć już wtedy, gdy w rozmowie

padła liczba szesnaście. Ale dopiero list Tommy'ego rozjaśnił mi w głowie. Zadzwoiłam do inspektora Marriota, wysłałam do niego Alberta z zapasowym kluczem do biura i przyszłam tu sama z pustą niebieską kopertą w torebce. List wysłałam zgodnie z instrukcjami zaraz po tym, jak rozstałam się z wami po południu.

Jedno z użytych przez nią słów zwróciło uwagę Dymchurca.

— Tommy? — zdziwił się.

Tommy, który właśnie został uwolniony z więzów, podszedł do żony.

— Dobra robota, bracie Francis — rzekł, ujmując jej dłonie. Następnie zwrócił się do Dymchurca: — Mówiłem ci, drogi przyjacielu, że naprawdę powinieneś przeczytać klasyków.

Rozdział siódmy

Impas pod króla

Którejś deszczowej środy w biurze Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej znów zagościła nuda. Tuppence wypuściła z ręki numer „Daily Leadera”.

— Czy wiesz, o czym myślę, Tommy?

— Tego nie sposób odgadnąć — odrzekł mąż. — Ty myślisz o tak wielu różnych rzeczach, a w dodatku o wszystkich naraz.

— Myślę, że już najwyższy czas, byśmy poszli potańczyć.

Tommy pospiesznie podniósł gazetę.

— Nasza reklama prezentuje się nieźle — zauważył, przechylając głowę na bok. — Błyskotliwi Detektywi Blunta. Czy zdajesz sobie sprawę, Tuppence, że Błyskotliwi; Detektywi Blunta to ty i tylko ty? Chwała dla ciebie, jakby powiedział Humpty Dumpty.

— Mówiłam o tańcach.

— Zauważyłem coś interesującego w gazetach. Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek zwróciłaś na to uwagę. Spójrz na te trzy numery „Daily Leadera”. Czy możesz mi powiedzieć, czym one się różnią?

Tuppence spojrzała na gazety.

— To chyba łatwe — zauważyła sucho. — Jedna jest dzisiejsza, druga wczorajsza, a trzecia przedwczorajsza.

— Absolutnie błyskotliwe, mój drogi Watsonie. Ale nie o to mi chodziło. Spójrz na nagłówek: „Daily Leader”. Porównaj te trzy egzemplarze — czy widzisz między nimi jakąś różnicę?

— Nie, nie widzę — odrzekła Tuppence — a co więcej, nie wierzę, że jest jakakolwiek różnica.

Tommy westchnął i złączył opuszki palców w powszechnie znany sposób Sherlocka Holmesa.

— No właśnie. A jednak czytasz gazety tak samo często, a nawet częściej niż ja. Ale ja zauważyłem, a ty nie. Przyjrzyj się dzisiejszemu „Daily Leaderowi” i zauważ, że pośrodku litery D jest mała biała kropka, a druga w tym samym słowie w literze L. Natomiast na nagłówku wczorajszej gazety w ogóle nie ma kropki w słowie DAILY. Są za to dwie w słowie LEADER. Z kolei przedwczorajszy nagłówek ma dwie kropki w D z DAILY. Ta kropka, lub też kropki, każdego dnia mają inne położenie.

— Dlaczego? — zapytała Tuppence.

— To sekret dziennikarski.

— To znaczy, że nie wiesz i nie potrafisz nawet zgadnąć.

— Mogę powiedzieć tylko tyle: jest to praktyka powszechna we wszystkich gazetach.

— Czyż ty nie jesteś wzorem bystrości? — zapytała Tuppence. — Szczególnie wtedy, gdy wymyślasz bzdury, żeby mnie odwieść od tematu. Wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej.

— A o czym rozmawialiśmy?

— O Balu Trzech Serc. Tommy jęknął.

— Nie, Tuppence, tylko nie to. Tylko nie Bal Trzech Serc. Jestem już za stary. Zapewniam cię, że jestem już za stary.

— Gdy byłam młoda i ładna — odpowiedziała Tuppence — wpajano mi, że mężczyźni, a szczególnie mężowie, to utracjusze, którzy lubią pić, tańczyć i późno chodzić spać. Jedyne wyjątkowo piękna i mądra żona potrafi utrzymać ich w domu. Rozwiała się kolejna z moich iluzji! Wszystkie żony, jakie znam, umierają z ochoty, by wyjść gdzieś na tańce, i szlochają w poduszkę, ponieważ ich mężowie noszą kapcie i kładą się spać o wpół do dziesiątej. Tommy, kochanie, ty tak świetnie tańczysz!

— Ostrożnie z pochlebstwami, Tuppence.

— Właściwie nie chcę tam iść tylko dla przyjemności — odrzekła Tuppence. — Zaintrygowało mnie pewne ogłoszenie.

Znów podniosła „Daily Leadera” i przeczytała na głos: „Wychodzę w trzy kiery. Biję dwanaście razy. As pik. Trzeba impasować króla”.

— Dość kosztowny sposób nauki gry w brydża — zauważył Tommy.

— Nie udawaj głupiego. To nie ma nic wspólnego z brydżem. Widzisz, byłam wczoraj z pewną dziewczyną na lunchu w Asie Pik. To taka mała piwniczka w Chelsea. Ta dziewczyna mówiła mi, że ostatnio panuje taka moda, by wpaść tam w trakcie jakichś dużych imprez na jajka na boczku i walijską potrawkę. Taki styl à la bohema. Cała sala jest podzielona na zaciszne gabinety. Zdaje się, że to dosyć ciekawe miejsce.

— A na czym polega twój pomysł?

— Trzy kiery to Bal Trzech Serc jutro wieczorem, biję 12 razy to północ, a as pik to As Pik.

— A co to znaczy, że trzeba impasować króla?

— Tego właśnie powinniśmy się dowiedzieć.

— Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś miała rację — powiedział mąż wspaniałomyślnie. — Ale nie bardzo rozumiem, po co chcesz się wtrącać w sercowe sprawy innych ludzi.

— Nie będę się wtrącać. Proponuję ci interesujący eksperyment detektywistyczny. Przydałoby się nam trochę praktyki.

— Nie dzieje się tu ostatnio zbyt wiele — zgodził się Tommy. — Ale tak naprawdę chodzi ci tylko o to, żeby pójść na Bal Trzech Serc i potańczyć! I kto tu mówi o zmianie tematu.

Tuppence zaśmiała się rozbrajająco.

— Pokaż klasę, Tommy. Postaraj się zapomnieć, że masz trzydzieści dwa lata i jeden siwy włos w lewej brwi.

— Zawsze okazywałem słaby charakter, gdy w grę wchodziła kobieta — mruknął mąż. — Czy będę musiał zrobić z siebie idiotę i wystąpić w jakimś przebraniu?

— Oczywiście, ale możesz zdać się na mnie. Mam świetny pomysł.

Tommy spojrział na nią podejrzliwie. Przez całe wspólne życie odnosił się do świetnych pomysłów Tuppence z głęboką nieufnością.

Gdy następnego wieczoru wrócił do domu, Tuppence wybiegła na jego powitanie z sypialni.

— Już tu jest — oznajmiła.

— Co takiego?

— Kostium. Chodź, obejrzyj go.

Tommy poszedł za nią. Na łóżku leżał kompletny strój strażaka włącznie z lśniącem hełmem.

— Dobry Boże! — jęknął Tommy. — Czyżbyś mnie zapisała do straży pożarnej Wembley?

— Zgaduj jeszcze raz — odrzekła Tuppence. — Tym razem nie wpadłeś na właściwy trop. Użyj swoich małych, szarych komórek, *mon ami*. Błyśnij dowcipem, Watsonie. Okaż się bykiem, który przetrzymał już na arenie pierwsze dziesięć minut.

— Poczekaj chwilę — rzekł Tommy. — Zaczynam rozumieć. Za tym wszystkim kryje się jakiś nieczyny cel. W co ty będziesz ubrana, Tuppence?

— W twoje stare ubranie, amerykański kapelusz i niemodne rogowe okulary.

— Niezbyt finezyjnie — odrzekł Tommy. — Ale chyba rozumiem. McCarty incognito. A ja mam być Riordanem.

— No właśnie. Pomyślałam, że powinniśmy wypróbować także amerykańskie metody, nie tylko angielskie. Tym razem ja będę gwiazdą, a ty jedynie skromnym pomocnikiem.

— Nie zapominaj, że zwykle to niewinna uwaga prostaczka Denny'ego naprowadza McCarty'ego na właściwy trop — powiedział Tommy ostrzegawczo.

Tuppence tylko się roześmiała. Była w znakomitym nastroju.

Wieczór okazał się bardzo udany. Tłumy gości, muzyka, fantazyjne przebrania — wszystko to sprawiło, że oboje bawili się doskonale, a Tommy zapomniał, że miał zamiar odgrywać rolę starego męża wyciągniętego z domu siłą.

Dziesięć minut przed dwunastą pojechali samochodem do sławnego, czy też raczej niesławnego, Asa Pik. Zgodnie z tym, co mówiła Tuppence, był to lokal w piwnicy, marny i obskurny z wyglądu, ale zatłoczony parami ludzi w fantazyjnych kostiumach. Ściany otoczone były pierścieniem zamkniętych gabinetów czy łóż. Tommy i Tuppence zajęli jeden z nich. Celowo zostawili drzwi nieco uchylone, by móc obserwować, co się dzieje na zewnątrz.

— Zastanawiam się, którzy to są, ci nasi — powiedziała Tuppence. — Może ta kolombina z czerwonym Mefistofešem?

— Ja stawiam na tego złośliwego mandaryna i damę, która przebrała się za pancernik. Powiedziałbym, że jest raczej szybkim krążownikiem.

— Ależ ty jesteś dowcipny! — zakpiła Tuppence.

— Jakież cuda potrafi zdziałać kropla alkoholu! Idzie tu jakaś kobieta przebrana za królową kier. To bardzo dobry kostium.

Po chwili kierowa dama weszła do sąsiedniej loży wraz ze swoim towarzyszem, którym był „dżentelmen ubrany w gazetę” z Alicji w krainie czarów. Oboje mieli maski na twarzach — w Asie Pik było to dosyć powszechnym obyczajem.

— Jestem pewien, że znajdujemy się w prawdziwej jaskini przestępców — powiedział Tommy z zadowoleniem. — Dokoła same skandale. Ależ wszyscy się kłóca.

Naraz, jakby w odpowiedzi na jego słowa, za ścianką rozległ się okrzyk, zagłuszony natychmiast głośnym męskim śmiechem. Wszyscy dokoła śmiali się i śpiewali. Wysokie głosy dziewczęce wybijały się ponad basy mężczyzn.

— A co powiesz o tej pasterce? — zapytał Tommy. — O tej z komicznym Francuzem. Może to oni?

— To może być każdy — przyznała Tuppence.

— Nie mam zamiaru zawracać sobie tym głowy. Najważniejsze, że świetnie się bawimy.

— Bawiłbym się lepiej w innym przebraniu — poskarżył się Tommy. — Nie masz pojęcia, jak mi w tym gorąco.

— Rozchmurz się. Wyglądasz prześlicznie — pocieszyła go żona.

— Dziękuję. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o tobie. Nigdy w życiu nie widziałem zabawniejszego facecika.

— Denny, mój chłopcze, czy mógłbyś być tak miły i trzymać język za zębami? Spójrz, dżentelmen ubrany w gazetę zostawia swoją towarzyszkę samą. Jak myślisz, dokąd idzie?

— Sądzę, — że chce popędzić kelnerów, żeby szybciej przynieśli drinki — odrzekł Tommy. — Ja też powinienem to zrobić.

— Długo mu na tym schodzi — powiedziała Tuppence po jakichś pięciu minutach. — Tommy, czy uznałbyś mnie za zupełną kretynkę, gdybym...

Nagle zerwała się z miejsca.

— Możesz mnie nazwać kretynką, jeśli chcesz. Idę do tamtego gabinetu.

— Zaczekaj, Tuppence, nie możesz...

— Mam wrażenie, że coś jest nie tak. Wiem, że mam rację. Nie próbuj mnie zatrzymywać.

Szybko wybiegła. Tommy poszedł za nią. Drzwi do sąsiedniej łoży były zamknięte. Tuppence otworzyła je i weszła, a Tommy deptał jej po piętach.

Dziewczyna przebrana za królową kier siedziała w kącie, oparta o ścianę i skulona w dziwnej pozycji. Wpatrywała się w nich przez maskę nieruchomymi oczami, ale nie poruszyła się. Jaskrawy białoczerwony wzór jej sukienki wydawał się jakoś dziwnie zamazany po lewej stronie. Było tam więcej czerwieni, niż powinno...

Tuppence z krzykiem rzuciła się w jej stronę. Tommy jednocześnie zobaczył to samo, co żona — wysadzaną klejnotami rękojeść sztyletu tuż pod sercem dziewczyny. Tuppence przyklękła przy niej.

— Szybko, Tommy, ona jeszcze żyje. Znajdź szefa tego lokalu i powiedz mu, żeby natychmiast sprowadził tu lekarza.

— Dobrze. Uważaj, żebyś nie dotknęła rękojeści sztyletu.

— Będę uważać. Pośpiesz się.

Tommy wybiegł, zamykając za sobą drzwi. Tuppence otoczyła dziewczynę ramieniem. Ranna poruszyła się lekko i Tuppence zrozumiała, że prosi o zdjęcie maski. Zrobiła to łagodnie i zobaczyła świeżą twarz podobną do kwiatu oraz duże, błyszczące oczy, które w tej chwili pełne były przerażenia, cierpienia i czegoś, co wyglądało na zdumienie.

— Moja droga — powiedziała Tuppence łagodnie. — Czy możesz mówić? Jeśli możesz, to czy powiesz mi, kto to zrobił?

Dziewczyna skupiła wzrok na jej twarzy i jej usta rozchyliły się w głębokim westchnieniu zamierającego serca.

— To był Bingo — powiedziała gasnącym szeptem. Uścisk jej dłoni zelżał, a głowa opadła na ramię Tuppence, jakby chciała ułożyć się wygodniej.

Tommy wrócił z dwoma mężczyznami. Wyższy z nich wysunął się do przodu. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest lekarzem.

Tuppence wypuściła swój ciężar z ramion.

— Obawiam się, że już nie żyje — powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Lekarz szybko podszedł do dziewczyny.

— Tak — potwierdził. — Nic już nie możemy dla niej zrobić. Zostawmy wszystko tak jak jest i poczekajmy na policję. Jak to się stało?

Tuppence wyjaśniła, zacinając się i pomijając milczeniem powody, dla których weszła do loży.

— Dziwna sprawa — mruknął lekarz. — Nic nie słyszeliście?

— Słyszałam jakby okrzyk, ale zaraz potem mężczyzna roześmiał się. Oczywiście nie przyszło mi do głowy...

— Oczywiście, że nie — zgodził się lekarz. — Mówiła pani, że ten mężczyzna miał maskę na twarzy? Nie potrafiłaby go pani rozpoznać?

— Chyba nie. A ty, Tommy?

— Nie. Ale jest jeszcze kostium.

— Najważniejsze to zidentyfikować tę biedną dziewczynę — powiedział lekarz. — Sądzę, że potem już sprawa będzie łatwa dla policji. Nie powinni mieć kłopotów. O, już tu idą.

Rozdział ósmy

Dżentelmen ubrany w gazetę

Było już po trzeciej, gdy znużeni i przygnębieni dotarli do domu. Tuppence przez kilka godzin przewracała się z boku na bok, nie mogąc usnąć. Przed oczami miała wciąż przerażoną, podobną do kwiatu twarz.

Gdy wreszcie usnęła, przez okiennice już sączył się świt. Po przeżyciach całego wieczoru spała głęboko bez snów. Był jasny dzień, gdy się obudziła. Tommy, już ubrany, stał obok łóżka i łagodnie potrząsał ją za ramię.

— Obudź się, staruszek. Jest tu inspektor Marriot z jakimś drugim człowiekiem. Chcą z tobą rozmawiać.

— Która godzina?

— Prawie jedenasta. Poproszę Alice, żeby przyniosła ci tu herbatę.

— Dobrze. Powiedz Marriotowi, że przyjdę za dziesięć minut.

Pół godziny później Tuppence weszła do bawialni. Inspektor Marriot, który siedział sztywno wyprostowany, z poważną miną, podniósł się na jej powitanie.

— Dzień dobry, pani Beresford. To jest sir Arthur Merivale.

Tuppence wymieniła uścisk dłoni z wysokim, szczupłym mężczyzną o bystrym spojrzeniu i siwiejących włosach.

— Chodzi o to smutne wydarzenie z wczorajszego wieczoru — wyjaśnił inspektor Marriot. — Chciałbym, żeby opowiedziała pani sir Arthurowi własnymi słowami to, co wczoraj opowiadała pani mnie i żeby powtórzyła pani słowa, które ta biedna kobieta wypowiedziała przed śmiercią. Bardzo mi było trudno przekonać sir Arthura.

— Nie wierzę w to — rzekł wyższy mężczyzna — i nie uwierzę, że Bingo Hale mógłby pozwolić, by choć włos spadł z głowy Very.

— Uczyniliśmy pewne postępy od wczorajszego wieczoru, pani Beresford — podjął inspektor Marriot. — Po pierwsze, udało nam się zidentyfikować kobietę jako lady Merivale. Skontaktowaliśmy się z tu obecnym sir Arthurem. Natychmiast zidentyfikował ciało i oczywiście był niewymownie wstrząśnięty. Potem zapytałem go, czy zna kogokolwiek o imieniu Bingo.

— Musi pani wiedzieć, pani Beresford — włączył się sir Arthur — że kapitan Hale, którego

wszyscy znają jako Bingo, to mój najbliższy przyjaciel. Właściwie to niemal mieszka z nami. Aresztowano go dziś rano w moim domu. Jestem przekonany, że musiała to być pomyłka i że moja żona wypowiedziała jakieś inne imię.

— Nie ma żadnej możliwości pomyłki — odrzekła Tuppence z godnością. — Powiedziała: „Bingo to zrobił”.

— Widzi pan, sir Arthurze — rzekł Marriot. Mężczyzna, załamany, opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— To zupełnie niewiarygodne. Jakiż mógłby mieć motyw? Och, wiem, o czym pan myśli, inspektorze. Myśli pan, że Hale był kochankiem mojej żony, ale nawet gdyby tak było — w co ani przez chwilę nie wierzę — jaki miałby powód, by ją zabijać?

Inspektor Marriot odkaszlnął.

— Nie jest mi przyjemnie o tym mówić, sir, ale kapitan Hale poświęcał ostatnio wiele uwagi pewnej Amerykance, młodej damie, dysponującej znaczną ilością pieniędzy. Gdyby lady Merivale chciała zachować się nieładnie, prawdopodobnie mogłaby nie dopuścić do tego małżeństwa.

— To oburzająca sugestia, inspektorze! — sir Arthur podniósł się gwałtownie.

Marnot uspokoił go gestem.

— Bardzo przepraszam, sir Arthurze. Powiedział pan, że obaj z kapitanem Hale'em zdecydowali się przyjść na ten bal. Natomiast pańska żona wyjechała z wizytą do znajomych i nie miał pan pojęcia, że także będzie na tej imprezie?

— Najmniejszego.

— Pani Beresford, proszę pokazać ogłoszenie, o którym mi pani wspominała.

Tuppence przyniosła gazetę.

— Wydaje mi się, że to zupełnie jasne. To ogłoszenie zamieścił kapitan Hale dla pańskiej żony. Umówili się wcześniej, że spotkają się na balu. Pan jednak postanowił pójść na bal dopiero w przeddzień, należało więc ostrzec pańską żonę. To wyjaśnia zdanie „Trzeba impasować króla”. Pan w ostatniej chwili zamówił kostium w firmie zaopatrującej teatry, ale przebranie kapitana Hale'a wykonane zostało w domu. Poszedł na bal jako dżentelmen ubrany w gazetę. Czy wie pan, sir Arthurze, co pańska żona trzymała w zaciśniętych palcach? Oddarty kawałek gazety. Moi ludzie dostali polecenie, by zabrać z pańskiego domu kostium kapitana Hale'a. Znajdę go w Yardzie, gdy tam wrócę. Jeśli będzie w nim wyrwany kawałek wielkości tego, który znaleźliśmy — no cóż, uznamy sprawę za zakończoną.

— Nie znajdziecie kostiumu — odrzekł sir Arthur. — Znam Binga Hale'a.

Mężczyźni przeprosili Tuppence za zamieszanie i wyszli.

Późnym wieczorem zabrzmiał dzwonek u drzwi. Ku zdumieniu Tommy'ego i Tuppence, inspektor Marriot znów pojawił się w ich mieszkaniu.

— Pomyślałem sobie, że Błyskotliwi Detektywi Blunta zechcą zapewne usłyszeć o naszych najnowszych osiągnięciach — powiedział z lekkim uśmiechem.

— Zechcą — przytaknął Tommy. — Napije się pan? Gościnnie postawił trunki przy łokciu Marnota.

— Sprawa jest jasna — powiedział inspektor po chwili. — Sztylet należał do damy. Chodziło o to, by sprawić wrażenie samobójstwa, ale to się nie udało dzięki temu, że wy byliście na miejscu. Znaleźliśmy całą stertę listów. Jest oczywiste, że mieli romans już od dłuższego czasu. Sir Arthur długo nic o tym nie wiedział. Potem znaleźliśmy ostatnie ogniwo...

— Ostatnie co? — przerwała mu Tuppence.

— Ostatnie ogniwo łańcucha, ten fragment „Daily Leadera”. Oderwany został od kostiumu Hale'a. Pasuje dokładnie. Och, tak, sprawa jest oczywista. Aha, przyniosłem fotografie obydwu tych eksponatów. Pomyślałem sobie, że może was to zainteresuje. Bardzo rzadko zdarza się tak oczywista, sprawa.

— Tommy — powiedziała Tuppence, gdy jej mąż odprowadził już przedstawiciela Scotland Yardu do drzwi — jak ci się wydaje, dlaczego Marriot wciąż powtarzał, że sprawa jest zupełnie oczywista?

— Nie wiem. Podejrzewam, że czuje satysfakcję z szybkiego ustalenia faktów.

— Ani odrobiny. Próbuje nas zdenerwować. Wiesz, Tommy, na przykład rzeźnicy znajdują się na mięsie, prawda?

— Tak mi się wydaje, ale co właściwie...

— I tak samo ogrodnicy znajdują się na warzywach, a rybacy na rybach. Detektywi, profesjonalni detektywi, muszą wiedzieć dużo o przestępcach. Umieją rozpoznać prawdę, gdy na nią trafią, i doskonale wiedzą, kiedy coś nie jest prawdą. Doświadczenie zawodowe Marnota mówi mu, że kapitan Hale nie jest przestępcą, ale wszystkie fakty świadczą przeciwko niemu. Marriot uznał nas za ostatnią deskę ratunku. Próbuje nas zainteresować tą sprawą w nadziei, że przypomni nam się jakiś drobny szczegół, coś, co zdarzyło się wczoraj wieczorem, a co rzuci na wszystko nowe światło. Tommy, dlaczego w końcu nie miałyby to być samobójstwo?

— Przypomnij sobie, co ta dziewczyna ci powiedziała.

— Wiem, ale spójrz na to inaczej. Bingo był przyczyną śmierci, bo ona zabiła się przez niego. Jest taka możliwość. — Tak, ale to nie wyjaśnia tego pasującego skrawka gazety.

— Przyjrzyjmy się zdjęciom Marriota. Zapomniałam go zapytać, co zeznał Hale.

— Zapytałem go o to w korytarzu. Hale mówi, że w ogóle nie rozmawiał z panią Merivale podczas balu. Ktoś wsunął mu do ręki karteczkę, na której było napisane: *Nie próbuj dzisiaj ze mną rozmawiać. Arthur coś podejrzewa.* Nie miał już jednak tej karteczki i nie brzmi to zbyt prawdopodobnie. W każdym razie ty i ja wiemy, że był z nią w Asie Pik, bo widzieliśmy go.

Tuppence skinęła głową i pochyliła się nad fotografiami. Jedna z nich przedstawiała kawałek gazety z nagłówkiem DAILY LE — reszta była oderwana. Na drugiej widać było pierwszą stronę „Daily Leadera” z wyrwanym u góry okrągłym fragmentem. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że obie części dokładnie do siebie pasują.

— Co to za kropki na dole? — zapytał Tommy.

— Szew — odrzekła Tuppence. — W tym miejscu strona była połączona z innymi.

— Myślałem, że to jakiś nowy system kropek — powiedział Tommy i zadrżał lekko. — Słowo daję, Tuppence, dreszcze mi chodzą po plecach. Pomyśleć tylko, że zastanawialiśmy się nad kropkami i łamaliśmy sobie głowę nad tym ogłoszeniem, traktując to wszystko tak lekkomyślnie.

Tuppence nie odpowiedziała. Tommy spojrział na nią i zauważył ze zdumieniem, że wpatruje się przed siebie z otwartymi ustami i oszołomionym wyrazem twarzy.

— Tuppence — powiedział łagodnie, potrząsając ją za ramię — co się z tobą dzieje? Masz zamiar dostać ataku serca albo coś w tym rodzaju?

Tuppence jednak nie poruszyła się. Po dłuższej chwili powiedziała odległym głosem:

— Denis Riordan.

— Co? — zdumiał się Tommy.

— Dokładnie tak, jak mówiłeś. Jedna niewinna uwaga! Znajdź mi wszystkie numery „Daily Leadera” z tego tygodnia.

— Co chcesz zrobić?

— Jestem teraz McCartym. Błądziłam dokoła, a dzięki tobie w końcu wpadłam na właściwy trop. To jest pierwsza strona wtorkowego numeru. Przypadkiem pamiętam, że wtorkowa gazeta miała dwie kropki na L w słowie LEADER. A tutaj jest kropka na D w DAILY i druga na literze L. Przynieś te gazety, musimy się upewnić.

Niecierpliwie porównali nagłówki. Pamięć Tuppence okazała się niezawodna.

— Widzisz? Ten kawałek nie został wyrwany z wtorkowej gazety.

— Ależ, Tuppence, nie mamy żadnej pewności. To mogło być inne wydanie.

— Mogło, ale w każdym razie coś mi przyszło do głowy. Na pewno nie był to przypadek. Tommy,

zadzwoń do sir Arthura. Powiedz, że mamy dla niego ważne wiadomości. Potem złap Marriota. Jeśli poszedł już do domu, to w Scotland Yardzie podadzą ci jego adres.

Sir Arthur Merivale, bardzo zaskoczony tym nagłym wezwaniem, przybył do mieszkania Beresfordów jakieś pół godziny później. Tuppence wyszła na jego powitanie.

— Muszę pana przeprosić, że wezwaliśmy pana w tak nieuprzejmy sposób — powiedziała. — Ale mój mąż i ja odkryliśmy coś, i sądziliśmy, że należy natychmiast panu o tym powiedzieć. Proszę usiąść.

Sir Arthur usiadł, a Tuppence ciągnęła:

— Wiem, jak bardzo pragnie pan oczyścić swego przyjaciela z podejrzeń.

Sir Arthur potrząsnął głową ze smutkiem.

— To prawda, ale nawet ja musiałem się poddać przytłaczającej wymowie faktów.

— A co by pan powiedział, gdybym panu oznajmiła, że przez przypadek w moich rękach znalazł się dowód, który z pewnością oczyści go z wszelkich zarzutów?

— Byłbym niezmiernie uradowany, pani Beresford.

— Gdybym, na przykład — mówiła dalej Tuppence — spotkała dziewczynę, która tańczyła z kapitanem Hale wczoraj o północy, czyli w porze, gdy powinien być się znajdować w Asie Pik?

— Wspaniale! — zawołał sir Arthur. — Wiedziałem, że zaszła tu jakaś pomyłka. Biedna Vera musiała jednak popełnić samobójstwo.

— Raczej nie — odrzekła Tuppence. — Proszę nie zapominać o tym drugim mężczyźnie.

— O jakim drugim mężczyźnie?

— O tym, którego mój mąż i ja widzieliśmy wychodzącego z gabinetu. Sir Arthurze, na balu musiał być jeszcze jeden mężczyzna ubrany w gazetę. A tak przy okazji, jakie było pańskie przebranie?

— Moje? Poszedłem tam w stroju siedemnastowiecznego kata.

— Niezwykle stosownie — powiedziała cicho Tuppence.

— Stosownie, pani Beresford? Co pani przez to rozumie?

— Stosownie do roli, którą pan odegrał. Czy mam panu powiedzieć, co o tym myślę, sir Arthurze? Bardzo łatwo włożyć strój z gazety na kostium kata. Wcześniej ktoś wsunął w rękę kapitana Hale karteczkę z prośbą, by nie rozmawiał z pewną kobietą. Ta kobieta jednak nic nie wie o karteczce. O umówionej porze idzie do Asa Pik i widzi tam mężczyznę, którego spodziewa się zobaczyć. On bierze ją w ramiona, jak sądzę, i całuje. Pocałunek Judasza, bo jednocześnie uderza ją sztyletem. Ona

wydaje tylko jeden okrzyk, który on zagłusza śmiechem i wychodzi — a ona, zdumiona i przerażona, do ostatniej chwili wierzy, że zabił ją kochanek. Oderwała jednak mały kawałek od jego kostiumu. Morderca to zauważył, a jest człowiekiem, który zwraca wielką uwagę na szczegóły. Jeśli sprawa ma zupełnie jasno świadczyć przeciwko wybranej ofierze, ten kawałek musi wyglądać tak, jakby był oderwany od kostiumu kapitana Hale. Byłoby to bardzo trudne do wykonania, gdyby nie fakt, że obaj mężczyźni mieszkają w tym samym domu. A w takim wypadku, oczywiście, wszystko staje się niezmiernie proste. Morderca wrywa identyczną dziurę w kostiumie kapitana Hale, a potem pali własne przebranie i przygotowuje się do odegrania roli wiernego przyjaciela.

Tuppence zatrzymała się.

— No i co pan na to, sir Arthurze?

Sir Arthur wstał i uklonił się.

— To są wszystko barwne fantazje czarującej damy, która czyta zbyt wiele powieści.

— Tak pan myśli? — zapytał Tommy.

— Oraz męża, który daje się kierować wyobraźnią żony — dodał sir Arthur. — Sądzę, że nikt nie potraktuje poważnie waszych historii.

Roześmiał się głośno i w tym momencie Tuppence zeszywniała na krześle.

— Nigdy w życiu nie zapomnę tego śmiechu — powiedziała. — Ostatnio słyszałam go w Asie Pik. Wydaje mi się, że nie docenił pan nas obojga. Naprawdę nazywamy się Beresford, ale mamy jeszcze inne nazwisko.

Podniosła ze stołu wizytówkę i podała ją sir Arthurowi.

— Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna... — przeczytał sir Arthur na głos i gwałtownie wciągnął powietrze.

— A więc tym naprawdę jesteście! To dlatego Marriot przyprowadził mnie tu dziś rano. To była pułapka...

Podszedł do okna.

— Ładny tu macie widok — powiedział. — Na cały Londyn.

— Inspektorze Marriot! — wykrzyknął Tommy. Inspektor w mgnieniu oka stanął w drzwiach pokoju. Na ustach sir Arthura pojawił się rozbawiony uśmiech.

— Tak podejrzewałem — powiedział. — Obawiam się jednak, inspektorze, że mnie pan nie dostanie. Wolę swoje wyjście z sytuacji.

Oparł dłonie na parapecie i rzucił się przez okno.

Tuppence pisnęła i zasłoniła rękami uszy, żeby zagłuszyć dźwięk, który już brzmiał w jej wyobraźni — uderzenie ciała o bruk pod oknem. Inspektor Marriot zaklął.

— Powinniśmy byli pamiętać o oknie — powiedział.

— Chociaż sprawa mogła być trudna do udowodnienia. Zejdę na dół i... zajmę się wszystkim.

— Biedny człowiek — powiedział Tommy powoli.

— Jeśli kochał swoją żonę...

Inspektor jednak przerwał mu pogardliwym prychnięciem.

— Kochał ją? Powiedzmy. Wychodził ze skóry, żeby zdobyć gdzieś pieniądze. Lady Merivale miała prywatny majątek, który po jej śmierci przechodził na niego. Gdyby zostawiła męża dla młodego Hale'a, sir Arthur nigdy by nie zobaczył ani pensa z tych pieniędzy.

— A więc o to mu chodziło?

— Oczywiście. Od samego początku czułem, że sir Arthur to nieprzyjemny typ, a kapitan Hale jest porządnym człowiekiem. My w Yardzie dobrze się orientujemy w takich sprawach, tylko czasem trudno pogodzić to z faktami. Muszę już iść. Na pana miejscu, panie Beresford, dałbym żonie szklaneczkę brandy. To wszystko było dla niej przynębiające.

— Ogrodnicy — powiedziała cicho Tuppence, gdy drzwi zamknęły się za niewzruszonym inspektorem — rzeźnicy, rybacy, detektywi. Miałam rację, prawda? On wiedział.

Tommy, zajęty przy barku, podszedł do niej z dużą szklanką.

— Wypij to.

— Co to jest? Brandy?

— Nie, to duży koktajl, odpowiedni dla triumfującego McCarty'ego. Tak, Marriot zawsze ma rację — tak to już jest. Śmiały impas, który kończy partię i robra.

Tuppence skinęła głową.

— Tylko, że impasował w niewłaściwą stronę.

— I tak oto król schodzi ze sceny — powiedział Jtommy.

Rozdział dziewiąty

Zaginiona dama

Brzęczyk na biurku pana Blunta — Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna, Theodore Blunt, menadżer — zaterkotał ostrzegawczo. Tommy i Tuppence podbiegli do swoich otworków w ścianie, przez które mogli obserwować, co się dzieje w sąsiednim pomieszczeniu. Rezydował tam Albert, którego zadaniem było przetrzymywanie ewentualnych klientów za pomocą rozmaitych środków, bliskich teatralnym.

— Zaraz sprawdzę, proszę pana — mówił właśnie.

— Obawiam się jednak, że pan Blunt jest w tej chwili bardzo zajęty. Rozmawia właśnie przez telefon ze Scotland Yardem.

— Poczekam — odpowiedział przybysz. — Nie mam przy sobie wizytówki, ale moje nazwisko brzmi Gabriel Stavansson.

Mężczyzna był wspaniałym okazem gatunku ludzkiego. Mierzył ponad sześć stóp wzrostu. Najego ogorzalej twarzy niezwykle kontrast stanowiły intensywnie błękitne oczy.

Tommy szybko podjął decyzję. Włożył kapelusz, podniósł ze stołu rękawiczki, otworzył drzwi i zatrzymał się w progu.

— Ten dżentelmen chciałby się z panem zobaczyć, panie Blunt — oznajmił Albert.

Tommy lekko zmarszczył brwi i wyjął zegarek.

— Powiniennem być u księcia za kwadrans jedenasta — powiedział, spoglądając uważnie na klienta. — Mogę panu poświęcić kilka minut. Zechce pan wejść.

Mężczyzna posłusznie poszedł za nim do gabinetu, gdzie siedziała Tuppence z notatnikiem i ołówkiem.

— To moja zaufana sekretarka, panna Robinson — powiedział Tommy. — A teraz zechce pan wyjaśnić, co pana tu sprowadza. Poza tym, że jest to pilna sprawa, że przyjechał pan tu taksówką i że ostatnio przebywał pan w Arktyce, czy też może na Antarktydzie, nie wiem nic.

Gość wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

— Ależ to niesłychane — zawołał. — Myślałem, że detektywi potrafią robić takie rzeczy tylko w książkach! Ten chłopiec nawet nie podał panu mojego nazwiska!

Tommy westchnął lekceważąco.

— Trata tata, to wszystko było bardzo łatwe. Promienie słońca za kręgiem arktycznym działają na skórę w bardzo szczególny sposób — promieniowanie aktyczne posiada swoiste właściwości. Mam zamiar wkrótce napisać niewielką monografię na ten temat. Ale to nie należy do rzeczy. Co pana do mnie sprowadza, i to tak zdenerwowanego?

— Zacznę od tego, panie Blunt, że moje nazwisko brzmi Gabriel Stavansson...

— Ach, oczywiście! — zawołał Tommy. — Słynny badacz. Zdaje się, że ostatnio wrócił pan z okolic bieguna północnego?

— Przybyłem do Anglii trzy dni temu. Wróciłem z przyjacielem, który pływał po północnych wodach swoim jachtem. Gdyby nie to, przyplłynąłbym dwa tygodnie później. Muszę panu powiedzieć, panie Blunt, że dwa lata temu, przed wyruszeniem na tę ekspedycję, miałem szczęście zaręczyć się z panią Maurice Leigh Gordon...

Tommy przerwał mu.

— Panieńskie nazwisko pani Leigh Gordon brzmiało...?

— Szacowna Hermione Crane, druga córka lorda Lanchester — dokończyła gładko Tuppence. Tommy spojrział na nią z uznaniem, a Gabriel Stavansson skinął głową.

— Zgadza się. Jak mówiłem, Hermione i ja zaręczyliśmy się. Zaproponowałem jej, oczywiście, że zrezygnuję z tej ekspedycji, ale nawet nie chciała o tym słyszeć — niech ją Bóg błogosławi! Jest właśnie taką kobietą, jaką powinna być żona podróżnika. Moją pierwszą myślą po przyplłynięciu do Anglii było zobaczyć się z Hermione. Wysłałem telegram z Southampton i przyjechałem tu pierwszym pociągiem. Wiedziałem, że Hermione mieszka obecnie na Pont Street ze swoją ciotką, lady Susan Clonray, i udałem się prosto tam. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu okazało się, że Hermione wyjechała do Northumberland w odwiedziny do przyjaciół. Lady Susan, ochłonawszy z pierwszego zdumienia na mój widok, była dla mnie bardzo miła. Jak wspominałem, nie spodziewano się mnie jeszcze przez dwa tygodnie. Lady Susan powiedziała, że Hermy wróci za kilka dni. Zapytałem o jej obecny adres, ale staruszka tylko mamrotała coś niewyraźnie i wykręcała się od odpowiedzi, a w końcu wydusiła z siebie, że Hermy miała zamiar odwiedzić kilkoro znajomych i nie była pewna, w jakiej kolejności. Muszę panu wyznać, panie Blunt, że nigdy nie potrafiłem się za dobrze dogadać z lady Susan. To jedna z tych tłustych kobiet z podwójnym podbródkiem. Nie znoszę grubych kobiet, nigdy nie mogłem ich ścierpieć. Grube kobiety i grube psy to obraza boska, a niestety, najczęściej chodzą w parze! Wiem, że to moja prywatna idiosynkrazja, ale tak już jest — nigdy nie mogłem dojść do porozumienia z grubą kobietą.

— Moda zgadza się z panem, panie Stavansson — odrzekł Tommy sucho. — Każdy ma swoje drobne uprzedzenia. W przypadku świętej pamięci lorda Robertsa były to koty.

— Niech pan zauważy, nie twierdzę wcale, że lady Susan nie jest czarującą kobietą. Może nią być, ale ja nigdy nie potrafiłem się do niej przekonać. W głębi duszy zawsze czułem, że ona nie pochwała

naszego związku, i jestem pewien, że gdyby mogła, to starałaby się zniechęcić Hermy do mnie. Mówię panu to, co myślę. Może pan to uznać za uprzedzenie, jeśli pan chce. Wracając do tematu, jestem upartym brutalem, który lubi dopiąć swego. Nie wyszedłem z Pont Street, dopóki nie wyciągnąłem od niej nazwisk i adresów ludzi, u których mogła być Hermy. Potem pojechałem na północ pociągiem pocztowym.

— Widzę, panie Stavansson, że jest pan człowiekiem czynu — uśmiechnął się Tommy.

— To, czego się dowiedziałem, ogłuszyło mnie jak uderzenie obuchem. Panie Blunt, żadna z tych osób nie widziała w ogóle Hermy od dawna. Z trzech domów, których adresy podała mi lady Susan, spodziewano się jej tylko w jednym — a tam także Hermy w ostatniej chwili telegraficznie odwołała swoją wizytę. Oczywiście jak najszybciej wróciłem do Londynu i udałem się prosto do lady Susan. Muszę jej oddać sprawiedliwość i przyznać, że wydawała się zdenerwowana. Wyznała, że nie ma pojęcia, gdzie może być Hermy. Jednocześnie jednak była stanowczo przeciwna powiadomieniu policji. Powiedziała, że Hermy nie jest młodą, głupią dziewczyną, ale niezależną kobietą, która zawsze żyła według własnych planów i prawdopodobnie teraz realizuje jakiś swój pomysł. Przyszło mi do głowy, że Hermy na pewno nie miała ochoty zdawać szczegółowych relacji ze swych posunięć lady Susan, wciąż jednak byłem zmartwiony. Miałem dziwne przeczucie, że coś jest nie w porządku.

Właśnie wychodziłem z domu, gdy lady Susan dostała telegram. Przeczytała go z ulgą i podała mi. Brzmiał następująco: Zmieniłam plany. Wyjeżdżam na tydzień do Monte Carlo. — Hermy. Tommy wyciągnął rękę.

— Czy ma pan ten telegram przy sobie?

— Niestety, nie. Ale wysłany był w Maldon, Surrey. Zauważyłem to, bo wydało mi się to dziwne. Co Hermy miałyby robić w Maldon. Nigdy nie słyszałem, żeby miała tam jakichś przyjaciół.

— Nie pomyślał pan o tym, żeby pojechać do Monte Carlo w taki sam sposób, jak wyjechał pan na północ?

— Przyszło mi to do głowy, oczywiście. Zdecydowałem jednak, że tego nie zrobię. Widzi pan, panie Blunt, lady Susan wyglądała na zupełnie uspokojoną tym telegramem, ale mnie to nie wystarczyło. Wydawało mi się to dziwne, że ona przysyła tylko telegramy, a nie pisze. Jedna linijka napisana jej charakterem pisma uspokoiłaby zupełnie wszystkie moje obawy. Ale każdy może podpisać telegram „Hermy”. Im dłużej o tym myślałem, tym większy ogarniał mnie niepokój. W końcu pojechałem do Maldon. To było wczoraj po południu. To spore miejsce — jest tam dobre pole golfowe i dwa hotele. Pytałem we wszystkich miejscach, jakie tylko przyszły mi do głowy, ale nigdzie nie było nawet śladu po Hermy. Gdy stamtąd wracałem, w pociągu zauważyłem wasze ogłoszenie i pomyślałem sobie, że przekażę wam tę sprawę. Jeśli Hermy rzeczywiście wyjechała do Monte Carlo, nie chcę nasyłać na nią policji i wywoływać skandalu, ale nie pozwolę się zwodzić. Zostanę tutaj, w Londynie, na wypadek... na wypadek, gdyby coś było nie w porządku.

Tommy skinął głową z namysłem.

— Co dokładnie pan podejrzewa?

— Nie wiem. Ale mam przeczucie, że coś jest nie

Stavansson szybkim ruchem wyjął z kieszeni portfel i otworzył go przed nimi.

— To jest Hermione — powiedział. — Zostawię to wam.

Zdjęcie przedstawiało wysoką, szczupłą kobietę, już nie pierwszej młodości, ale o zniwalającym, szczerym uśmiechu i pięknych oczach.

— Dobrze, panie Stavansson — powiedział Tommy.

— Czy jest pan pewien, że nie ominął pan niczego w swoim opowiadaniu?

— Absolutnie niczego.

— Żadnego, choćby najdrobniejszego, szczegółu?

— Nie sędzę.

Tommy westchnął.

— To bardzo utrudnia zadanie — powiedział.

— Musiał pan zauważyć, czytając powieści detektywistyczne, że wielki detektyw zwykle potrzebuje drobnego szczegółu, by wpaść na właściwy trop. Muszę powiedzieć, że ta sprawa ma kilka niezwykłych cech. Wydaje mi się, że częściowo już ją rozwiązałem, ale to się okaże z czasem.

Podniósł ze stołu skrzypce i przeciągnął smyczkiem po strunach. Tuppence zgrzytnęła zębami i nawet gość wzdrygnął się nerwowo. Kandydat na solistę odłożył skrzypce.

— Kilka nut z Mozgowskieńskiego — mruknął.

— Proszę zostawić pański adres, a zawiadomimy pana o postępach.

Gdy klient wyszedł, Tuppence pochwyciła skrzypce, włożyła je do szafy i zamknęła na klucz.

— Jeśli już musisz być Sherlockiem Holmesem — powiedziała — to przyniosę ci jakąś ładną strzykawkę i butelkę z nalepką: kokaina, ale na litość boską, zostaw w spokoju te skrzypce. Gdyby ten miły podróżnik nie był prostoduszny jak dziecko, przejrzałby cię na wylot. Czy dalej masz zamiar trzymać się stylu Sherlocka Holmesa?

— Pochlebiam sobie, że do tej pory wychodziło mi to bardzo dobrze — odrzekł Tommy z widoczną satysfakcją. — Dedukcje były niezłe, prawda? Musiałem zaryzykować taksówkę. W końcu to jedyny rozsądny sposób, żeby tutaj dotrzeć.

— Całe szczęście, że przeczytałam o jego zaręczynach w dzisiejszym „Daily Mirror” — powiedziała Tuppence.

— Tak, to było bardzo dobre świadectwo skuteczności Błyskotliwych Detektywów Blunta. Zdecydowanie jest to sprawa w stylu Sherlocka Holmesa. Nawet tobie nie mogło umknąć podobieństwo między tą historią a zniknięciem lady Frances Carfax.

— Czy spodziewasz się znaleźć ciało pani Leigh Gordon w trumnie?

— Logicznie rzecz biorąc, historia lubi się powtarzać. W zasadzie... hm, a ty co o tym myślisz?

— No cóż — powiedziała Tuppence. — Wyjaśnienie, które od razu się narzuca, to że z jakiegoś powodu Hermy, jak on ją nazywa, obawia się spotkania z narzeczonym, a ta lady Susan ją kryje. Nie owijając w bawełnę, wpakowała się w coś i teraz się boi.

— Mnie też to przyszło do głowy — przyznał Tommy. — Pomyślałem jednak, że lepiej najpierw się upewnić, zanim zasugerujemy tę możliwość człowiekowi takiemu, jak Stavansson. Co byś powiedziała na wycieczkę do Maldon, staruszko? Nie zaszkodzi wziąć ze sobą kije golfowe.

Tuppence zgodziła się i Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna została przekazana pod opiekę Alberta.

Maldon było znanym ośrodkiem wypoczynkowym, ale nie zajmowało zbyt dużej powierzchni. Tommy i Tuppence przeprowadzili dochodzenie we wszystkich możliwych miejscach, ale nie dowiedzieli się absolutnie niczego. Jednak w powrotnej drodze do Londynu na Tuppence spłynęło olśnienie.

— Tommy, dlaczego na telegramie napisane było: Maldon, Surrey?

— Bo Maldon jest w Surrey, kretynko.

— Sam jesteś kretyn. Nie o to mi chodzi. Jeśli dostajesz telegram z — powiedzmy, z Hastings albo z Torquay, nie piszą tam nazwy hrabstwa. Ale na telegramie z Richmond jest napisane: Richmond, Surrey. To dlatego, że są dwa Richmondy.

Tommy, który prowadził samochód, zwolnił nagle.

— Tuppence — powiedział z uczuciem — twój pomysł nie jest taki zły. Zapytajmy na tutejszej poczcie.

Zatrzymali się przed małym budyneczkiem pośrodku wiejskiej ulicy. Kilka minut wystarczyło im na uzyskanie informacji, że są dwie miejscowości o nazwie Maldon: Maldon w Surrey i Maldon w Sussex. Ten drugi Maldon był niewielką osadą, w której jednak znajdował się urząd pocztowy.

— No właśnie — powiedziała Tuppence z podnieceniem. — Stavansson wiedział, że Maldon jest w Surrey, więc kiedy po słowie Maldon zobaczył drugie słowo zaczynające się na S, nawet na nie nie spojrział.

— Jutro obejrzymy sobie Maldon w Sussex — obiecał Tommy.

Maldon w Sussex różniło się znacznie od swego imiennika w Surrey. Leżało cztery mile od stacji kolejowej. Znajdowały się tam dwa puby, dwa sklepiki, urząd pocztowo–telegraficzny, w którym sprzedawano także pocztówki i słodycze, oraz jakieś siedem domków. Tuppence wzięła na siebie sklepy, a Tommy udał się Pod Wróbla i Koguta. Spotkali się w pół godziny później.

— No i co? — zapytała Tuppence.

— Całkiem niezłe piwo — odrzekł Tommy — ale żadnych informacji.

— Spróbuj jeszcze Pod Królewską Głową — poradziła Tuppence. — Ja wracam na pocztę. Siedzi tam skwaśniała staruszka, ale słyszałam, jak ktoś do niej wrzeszczał, że obiad gotowy.

Wróciła na pocztę i zaczęła oglądać pocztówki. Z zaplecza, przezuwając coś, wyszła młoda dziewczyna o świeżej twarzy.

— Wezmę te — powiedziała Tuppence. — Czy mogłaby pani chwilę zaczekać? Chciałabym jeszcze przejrzeć te z zabawnymi rysunkami.

Przejrzała plik pocztówek, nie przerywając rozmowy z dziewczyną.

— Jestem bardzo rozczarowana, że nikt nie potrafi mi podać adresu mojej siostry. Przebywa w tych okolicach, ale zgubiłam jej list. Nazywa się Leigh Gordon.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie pamiętam. A poza tym nie przychodzi tu dużo listów, więc gdybym widziała to nazwisko, to pewnie bym je zapamiętała. Nie ma tu w pobliżu dużych domów, oprócz Grange.

— Co to jest Grange? — zapytała Tuppence. — Kto jest właścicielem?

— To doktora Horrizona. Teraz jest tam dom opieki. Zdaje się, że głównie przypadki nerwowe. Damy przyjeżdżają odpocząć i tego rodzaju rzeczy. No, trzeba przyznać, że tam jest bardzo spokojnie — zachichotała.

Tuppence w pośpiechu wybrała kilka pocztówek i zapłaciła.

— To właśnie jedzie samochód doktora Horrizona — zawołała dziewczyna.

Tuppence podbiegła do drzwi. Ulicą przejeżdżał sportowy, dwuosobowy samochód. Za kierownicą siedział wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z czarną brodą i antypatyczną twarzą. Samochód pojechał dalej. Tuppence zauważyła Tommy'ego, który właśnie przechodził na jej stronę ulicy.

— Tommy, zdaje się, że mam. Dom wypoczynkowy doktora Horrizona:

— Słyszałam o tym Pod Królewską Głową, i też mi się wydawało, że coś może w tym być. Ale gdyby miała załamanie nerwowe albo coś w tym rodzaju, jej ciotka i przyjaciele na pewno by o tym

wiedzieli.

— Ta—ak. Nie o tym myślałam. Tommy, czy zauważyłeś tego człowieka w kabrioletcie?

— Owszem. Nieprzyjemny typ.

— To był doktor Horrison.

Tommy gwizdnął.

— Nie wzbudza zaufania. Co ty na to, Tuppence? Pójdziemy obejrzeć Grange?

Po krótkich poszukiwaniach znaleźli się na miejscu. Grange było dużą, eklektyczną budowlą, stojącą na zupełnym odludziu. Otaczały ją nieużytki, a za domem płynął strumyk.

— Ponura siedziba — oznajmił Tommy. — Dreszcze mnie przechodzą, Tuppence. Wiesz, mam wrażenie, że to o wiele poważniejsza sprawa, niż nam się na początku wydawało.

— Och, przestań. Mam tylko nadzieję, że zdążyliśmy na czas. Czuję, że tej kobiecie zagraża jakieś okropne niebezpieczeństwo.

— Nie pozwól się ponosić wyobraźni.

— Nic na to nie poradzę. Nie mam zaufania do tego człowieka. Co teraz zrobimy? Mam niezły plan. Ja pójdę pierwsza, sama zadzwonię do drzwi i beczelnie zapytam o panią Leigh Gordon, po to, żeby się przekonać, co usłyszę. Bo w końcu wszystko może być w zupełnym porządku.

Tuppence wykonała swój plan. Drzwi otworzyły się natychmiast i stanął w nich służący o nieruchomej twarzy.

— Chciałabym się zobaczyć z panią Leigh Gordon, jeśli czuje się wystarczająco dobrze.

Wydawało jej się, że zauważyła szybkie drgnięcie mięśni na twarzy służącego, który odpowiedział bez wahania:

— Nikt o takim nazwisku tu nie mieszka, proszę pani.

— Och, ależ na pewno tak. To jest Grange, dom doktora Horrisona, prawda?

— Tak, proszę pani, ale nie ma tu żadnej osoby o nazwisku Leigh Gordon.

Zdumiona Tuppence została zmuszona do odwrotu. Za bramą przeprowadziła kolejne konsultacje z Tommym.

— Może mówił prawdę. W końcu nie wiadomo na pewno.

— Nie. Jestem przekonana, że kłamał.

— Poczekajmy, aż ten doktor wróci — powiedział Tommy. — Potem przedstawię się jako dziennikarz, który chciałby z nim porozmawiać o jego nowym systemie terapii. To da mi szansę na wejście do środka i przestudiowanie topografii tego domu.

Horrison wrócił jakieś pół godziny później. Tommy odczekał jeszcze pięć minut, po czym z kolei on pomaszerował do drzwi. Jednak on także powrócił z wyrazem kompletnego niezrozumienia na twarzy.

— Doktor jest zajęty i nie wolno mu przeszkadzać. Poza tym nigdy nie rozmawia z dziennikarzami. Tuppence, miałaś rację. W tym miejscu coś śmierdzi. Jest idealnie położone — na takim odludziu... Choćby nie wiem co się tu działo, nikt się o tym nie dowie.

— Chodź — powiedziała Tuppence z determinacją.

— Co chcesz zrobić?

— Przejdę przez mur i sprawdzę, czy nie dałoby się wejść do domu tak, żeby nikt tego nie zauważył.

— Masz rację. Jestem za tym.

Ogród był zarośnięty i zapewniał dostateczną osłonę. Tommy'emu i Tuppence udało się niespostrzeżenie dotrzeć na tyły domu.

Znajdował się tu wielki taras, na który prowadziły zrujnowane stopnie. Z tarasu duże, przeszklone drzwi wiodły do wnętrza domu. Nie odważyli się jednak wejść do środka, a okno, pod którym przykucnęli, znajdowało się zbyt wysoko, by móc przez nie zajrzeć. Wydawało się już, że ten rekonesans nie przyniesie im wiele korzyści, gdy nagle Tuppence zacisnęła mocno rękę na ramieniu Tommy'ego.

Ktoś rozmawiał w pokoju obok. Okno było otwarte i głosy wyraźnie do nich docierały.

— Wejdz, wejdz i zamknij drzwi — powiedział męski głos z irytacją. — Mówiłeś, że jakaś kobieta była tu godzinę temu i pytała o panią Leigh Gordon?

Tuppence rozpoznała głos odpowiadającego. Był to służący.

— Tak, proszę pana.

— Powiedziałaś oczywiście, że jej tu nie ma?

— Oczywiście, proszę pana.

— A teraz ten dziennikarz — warknął mężczyzna.

Podszedł nagle do okna i odsunął szybę wyżej. Dwójka detektywów przycupniętych za krzakiem ujrzała doktora Horrisona.

— Bardziej mnie zastanawia ta kobieta — mówił doktor. — Jak wyglądała?

— Młoda, ładna i bardzo dobrze ubrana, proszę pana. Tommy szturchnął Tuppence pod żebro.

— Dokładnie tego się obawiałem — mruknął doktor przez zęby. — Jakaś przyjaciółka tej Leigh Gordon. Sytuacja staje się skomplikowana. Będę musiał poczynić pewne kroki...

Nie dokończył zdania. Tommy i Tuppence usłyszeli odgłos zamykanych drzwi. Nastąpiła cisza.

Tommy ostrożnie zaczął się wycofywać z kryjówki. Gdy dotarli do pobliskiej polanki między krzewami i znaleźli się w bezpiecznej odległości od domu, odezwał się:

— Tuppence, staruszko, sprawa staje się poważna. Oni robią coś złego. Myślę, że powinniśmy natychmiast wrócić i zawiadomić Stavanssona.

Ku jego zdziwieniu Tuppence potrząsnęła głową.

— Musimy tu zostać. Słyszałeś przecież, jak on powiedział, że musi poczynić jakieś kroki... To mogło oznaczać wszystko.

— Najgorsze jest to, że nie mamy żadnych dowodów dla policji.

— Posłuchaj, Tommy. Może zadzwonisz do Stavanssona z wioski? Ja tu poczekam.

— Może to dobry pomysł — zgodził się mąż. — Ale wiesz, Tuppence...

— Co takiego?

— Uważaj na siebie, dobrze?

— Oczywiście, że tak, głuptasie. Zmykaj stąd. Tommy wrócił jakieś dwie godziny później. Tuppence czekała na niego przy bramie.

— No i co?

— Nie udało mi się połączyć ze Stavanssonem. Próbowałem zadzwonić do lady Susan, ale jej też nie było. Potem przyszło mi do głowy, żeby porozmawiać ze staruszką Bradym. Poprosiłem go, żeby poszukał nazwiska Horrison w Rejestrze Medycznym czy jak to się nazywa.

— I co doktor Brady powiedział?

— Och, natychmiast skojarzył sobie to nazwisko. Horrison był kiedyś prawdziwym lekarzem, ale wpadł w jakieś kłopoty. Brady nazwał go szarlatanem bez skrupułów i powiedział, że jego osobiście nie zdziwiłaby żadna podłość ze strony Horrisona. Powstaje pytanie, co robimy teraz?

— Musimy tu zostać — odpowiedziała Tuppence bez wahania. — Mam wrażenie, że oni szykują coś na wieczór. Aha, ogrodnik przycinał żywopłot dokoła domu. Tommy, widziałam, gdzie położył

drabinę!

— Świetnie, Tuppence — odrzekł mąż z uznaniem. — W takim razie wieczorem...

— Gdy tylko się ściemni...

— Zobaczymy...

— To, co mamy zobaczyć.

Tuppence poszła do wsi, by coś zjeść, a Tommy pozostał na straży i obserwował dom.

Gdy wróciła, czuwali razem. O dziewiątej zdecydowali, że jest już wystarczająco ciemno, by rozpocząć operację. Mogli już krążyć dokoła domu zupełnie swobodnie. Naraz Tuppence pochwyciła Tommy'ego za ramię.

— Słuchaj!

W nocnym powietrzu rozległ się słaby dźwięk. Był to jęk cierpiącej kobiety. Tuppence wskazała okno na pierwszym piętrze.

— To z tamtego pokoju — szepnęła.

Dźwięk znów powtórzył się w wieczornej ciszy. Zdecydowali, że przeprowadzą swój pierwotny plan. Tuppence powiodła Tommy'ego do miejsca, gdzie ogrodnik zostawił drabinę. Przynieśli ją pod okno, z którego dochodził jęk. Story we wszystkich oknach na parterze były zaciągnięte, ale w oknach na piętrze zostawiono otwarte okiennice.

Najciszej, jak to było możliwe, Tommy przystawił drabinę do ściany.

— Ja tam wejdę — szepnęła Tuppence. — Ty zostań na dole. Umiem chodzić po drabinie, a ty przytrzymasz ją lepiej, niż ja bym to zrobiła. A gdyby doktor wyszedł z za rogu, ty sobie z nim poradzisz, a ja nie.

Zręcznie wspięła się po drabinie i unosząc głowę zajrzała przez okno. Raptownie cofnęła głowę, ale po chwili, bardzo powoli, znów ją podniosła. Spoglądała do środka przez jakieś pięć minut, po czym zeszła.

— To ona — szepnęła bez tchu. — Ale, Tommy, och, to jest okropne. Leży w łóżku, jęczy i przewraca się z boku na bok. Właśnie gdy tam zajrzałam, weszła kobieta w stroju pielęgniarki. Pochyliła się, dała jej jakiś zastrzyk i znów wyszła. Co my teraz zrobimy?

— Czy ona jest przytomna?

— Chyba tak. Jestem prawie pewna, że tak. Wydaje mi się, że jest przywiązana do łóżka pasami. Wejdę tam jeszcze raz i jeśli mi się uda, to spróbuję się dostać do środka.

— Posłuchaj, Tuppence...

— Jeśli znajdę się w jakimś niebezpieczeństwie, zacznę krzyczeć. Do zobaczenia.

Tuppence znów wspięła się na drabinę, ucinając tym dalszą dyskusję. Tommy widział, jak mocuje się z oknem. Po chwili udało jej się bezszelestnie przesunąć jedną szybę do góry. Po następnej minucie zniknęła w środku.

Dla Tommy'ego nastały teraz trudne chwile. Na początku nic nie słyszał. Jeśli Tuppence rozmawiała z panią Leigh Gordon, musiały to robić szeptem. Po chwili jednak dotarł do niego cichy szmer głosów. Odetchnął z ulgą. Naraz jednak zapadło milczenie — śmiertelna cisza.

Tommy wyteżył słuch. Na próżno. Co one tam robią?

Nagle jakaś dłoń dotknęła jego ramienia.

— Chodź — odezwał się z ciemności głos Tuppence.

— Tuppence! Skąd się tu wzięłaś?

— Wyszłam przez główne drzwi. Zostawmy to wszystko.

— Zostawmy to?

— Właśnie tak powiedziałam.

— Ale... pani Leigh Gordon?

— Chudnie! — odrzekła Tuppence tonem pełnym niewypowiedzianej goryczy.

— Co to znaczy?

— To, co mówię. Chudnie. Odzyskuje linię. Traci na wadze. Słyszałeś przecież, jak Stavansson mówił, że nie znosi grubych kobiet. Przez te dwa lata, gdy go nie było, jego Hermy przytyła. Wpadła w panikę, gdy się dowiedziała, że narzeczony wraca, i czym prędzej wyjechała poddać się nowej kuracji doktora Horrystona. To są jakieś zastrzyki, on trzyma wszystko w absolutnej tajemnicy i zdiera za to straszne pieniądze. Zdaje się, że to naprawdę szarlatan, ale ma znakomite wyniki! Stavansson wrócił dwa tygodnie za wcześnie, kiedy ona dopiero zaczęła kurację. Lady Susan przysięgła dotrzymać tajemnicy i kryje ją. A my tu przyjeżdżamy i robimy z siebie koszmarnych idiotów!

Tommy wciągnął głęboki oddech.

— Zdaje się, Watsonie — powiedział z godnością — że jutro jest bardzo dobry koncert w Queen's Hall. Mamy jeszcze mnóstwo czasu, żeby zdążyć. Zrób mi tę przyjemność i nie odnotowuj tej sprawy w naszych kartotekach. Nie posiada ona absolutnie żadnych cech szczególnych.

Rozdział dziesiąty

Opaska ślepeca

— Dobrze — powiedział Tommy. Odłożył słuchawkę na widełki i odwrócił się do Tuppence.

— To był szef. Zdaje się, że boi się o nas. Wygląda na to, że interesujące nas osoby dowiedziały się, że nie jestem prawdziwym Bluntem. Lada chwila możemy się spodziewać rozrywek. Szef błagał, żebyś zrobiła mu tę przyjemność, poszła do domu i więcej się w to nie mieszała. Chyba poruszyliśmy gniazdo szerszeni i okazuje się, że jest ono większe, niż ktokolwiek się spodziewał.

— Z moim pójściem do domu to jedna wielka bzdura — odpowiedziała Tuppence zdecydowanie. — Jeśli pójdę do domu, to kto się będzie tobą opiekował? Poza tym przydałoby się trochę ruchu. Ostatnio nic się nie działo.

— No cóż, nie można mieć kradzieży i morderstw każdego dnia — rzekł Tommy. — Bądź rozsądna. Mój plan wygląda następująco. Jeśli w pracy panuje zastój, powinniśmy codziennie wykonywać jakieś ćwiczenia.

— Na przykład leżeć na plecach i machać nogami w powietrzu? Czy masz na myśli coś takiego?

— Nie interpretuj tego, co mówię tak dosłownie. Gdy mówię: ćwiczenia, chodzi mi o ćwiczenia w praktyce detektywistycznej. Powtórki z wielkich mistrzów. Na przykład...

Wyciągnął z szuflady ciemnozieloną opaskę i włożył ją tak, że zakrywała oboje oczu. Wyjął z kieszeni zegarek.

— Dziś rano stłukłem szkiełko — wyjaśnił. — To podsunęło mi pewien pomysł. Moje wrażliwe palce niezwykle delikatnie dotykają zegarka bez szkiełka...

— Uważaj — ostrzegła go Tuppence. — Omal nie oderwałeś wskazówki godzinowej.

— Daj mi rękę — powiedział Tommy, ujmując jej dłoń i jednym palcem wyczuwając puls. — Ach, klawiaturo ciszy! Ta kobieta z pewnością nie jest chora na serce.

— Sądzę, że jesteś Thornleyem Coltonem? — zapytała Tuppence.

— Właśnie — odrzekł Tommy. — Niewidomy Problemista. A ty jesteś moją maskotką, czarnowłosą sekretarką z policzkami jak jabłuszka...

— Znalezioną na brzegu rzeki w dzieciennym beciku — dokończyła Tuppence.

— A Albert to Zapłata, inaczej Krewetka...

— Musimy go nauczyć, żeby mówił „Jeezu” — dodała Tuppence. — I nie ma ostrego głosu, tylko ochrypły.

— Przy drzwiach widzisz opartą o ścianę smukłą, pustą w środku trzcinę. Gdy trzymam ją w mojej wrażliwej dłoni, dostarcza mi mnóstwa nieocenionych informacji.

Zrobił krok do przodu i wpadł na krzesło.

— A niech to! — zawołał. — Zapomniałem, że to krzesło tu stoi.

— To musi być straszne, być niewidomym — rzekła Tuppence ze współczuciem.

— Owszem — zgodził się Tommy. — Najbardziej ze wszystkich ludzi żał mi tych biedaków, którzy stracili wzrok na wojnie. Ale podobno żyjąc w mroku rozwija się inne zmysły. Chciałbym właśnie spróbować i przekonać się, czy to możliwe. Niezmiernie by mi się przydało nauczyć się poruszania w ciemnościach. Teraz, Tuppence, bądź dobrym Sydneyem Thamesem. Ile jest kroków do tej laski?

Tuppence desperacko próbowała zgadnąć.

— Trzy prosto, pięć na lewo — zaryzykowała.

Tommy niepewnie postąpił do przodu. Tuppence zatrzymała go okrzykiem, gdy zdała sobie sprawę, że przy czwartym kroku na lewo Tommy uderzy o ścianę.

— To wcale nie jest proste — powiedziała. — Nie masz pojęcia, jak trudno ocenić ilość niezbędnych kroków.

— Niezmiernie interesujące — rzekł Tommy. — Zawołaj Alberta. Chcę wam obojgu uścisnąć dłonie i przekonać się, czy potrafię odgadnąć, która dłoń jest czyja.

— Dobrze — zgodziła się Tuppence — ale Albert musi najpierw umyć ręce. Na pewno są lepkie od tych strasznych dropsów, które je przez cały czas.

Albert przyłączył się do zabawy z dużym zainteresowaniem. Tommy uścisnął dwie dłonie i uśmiechnął się, zadowolony.

— Klawiatura ciszy nie może kłamać — mruknął. — Pierwsza ręka była Alberta, a druga twoja, Tuppence.

— Źle! — pisnęła Tuppence. — Rzeczywiście, klawiatura ciszy! Zgadywałeś po obrączce, a ja włożyłam ją na palec Alberta.

Tommy ze zmiennym szczęściem przeprowadził jeszcze kilka eksperymentów.

— Ale już jest lepiej — oznajmił. — Nie można być nieomylnym od razu. Powiem ci coś, Tuppence. Jest pora lunchu. Pójdziemy do Blitza jako niewidomy i jego opiekunka. Przeprowadzę

tam kilka niezmiernie użytecznych ćwiczeń.

— Posłuchaj, Tommy, na pewno wpakujemy się w jakieś kłopoty.

— Na pewno nie. Będę się zachowywał zupełnie jak mały dżentelmen. Ale mogę się założyć, że już pod koniec lunchu będziesz zdumiona.

Tommy uciał wszelkie protesty swej żony i już kwadrans później siedzieli oboje wygodnie rozparci przy narożnym stoliku Złotej Sali u Blitza.

Tommy lekko przesunął palcami po menu.

— Dla mnie pilaw z homara i kurczę z grilla — mruknął.

Tuppence także złożyła zamówienie i kelner odszedł.

— Na razie nieźle — powiedział Tommy. — Czas na śmielsze kroki. Jakie piękne nogi ma ta dziewczyna w krótkiej spódniczce — ta, która przed chwilą weszła.

— Jak to zrobiłeś, Thorn?

— Piękne nogi wywołują szczególne vibracje podłogi, które odbieram za pomocą mojej trzcinowej laseczki. Albo też, jeśli mam być szczery, w dużej restauracji prawie zawsze stoi w drzwiach jakaś dziewczyna o pięknych nogach, szukając przyjaciół, a że ostatnio nosi się krótkie spódnice, taka dziewczyna na pewno skorzysta z okazji.

Lunch trwał.

— Wydaje mi się, że mężczyzna, który siedzi dwa stoliki od nas, jest bardzo bogatym spekulantem — odezwał się Tommy nonszalancko. — To Żyd, prawda?

— Nieźle — odrzekła Tuppence z uznaniem. — Ale tym razem nie rozumiem.

— Nie mogę ci za każdym razem tłumaczyć, jak to robię. To psuje cały efekt. Główny kelner podaje szampana trzy stoliki na prawo. Tęga kobieta ubrana na czarno za chwilę przejdzie obok naszego stolika.

— Tommy, jak to możliwe...

— Aha! Zaczynasz się przekonywać, do czego jestem zdolny. Od stolika za twoimi plecami wstaje właśnie ładna dziewczyna ubrana na brązowo.

— Pudło! — oznajmiła Tuppence. — To jest młody mężczyzna w szarym ubraniu.

— Och! — jęknął zawiedziony Tommy.

W tej chwili podeszło do nich dwóch mężczyzn, którzy do tej pory siedzieli przy stoliku nieopodal,

obserwując ich z żywym zainteresowaniem.

— Przepraszam — powiedział starszy z nich, wysoki, dobrze ubrany człowiek w okularach, z małym, siwym wąsikiem — ale wskazano mi pana jako Theodore Blunta. Czy tak jest w istocie?

Tommy zawahał się przez chwilę, czując, że znalazł się w niekorzystnej sytuacji, po czym skłonił głowę. — To prawda. Jestem Theodore Blunt.

— Cóż za niespodziewany uśmiech losu! Panie Blunt, miałem zamiar zadzwonić do pańskiego biura po lunchu. Jestem w kłopotcie — w bardzo poważnym kłopotcie. Ale — proszę mi wybaczyć ciekawość — czy coś się stało z pańskimi oczami?

— Drogi panie — odrzekł Tommy melancholijnym tonem — jestem niewidomy, zupełnie niewidomy.

— Co takiego?

— Jest pan zaskoczony. Ale na pewno słyszał pan o niewidomych detektywach?

— Tylko w literaturze. W prawdziwym życiu nigdy się z tym nie spotkałem. Nigdy też nie słyszałem, że pan jest niewidomy.

— Wielu ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy — mruknął Tommy. — Dzisiaj noszę opaskę, żeby ochronić oczy przed sztucznym światłem. Ale gdy jej nie mam, większość ludzi nawet nie podejrzewa mojej ułomności — jeśli można to tak nazwać. Widzi pan, moje oczy nie mogą mnie zwięść. Ale dosyć o tym. Czy pójdziemy prosto do mojego biura, czy też woli pan tutaj podać mi szczegóły sprawy? Myślę, że tak byłoby lepiej.

Kelner przyniósł do stolika dwa dodatkowe krzesła i mężczyźni usiedli. Drugi, który do tej pory jeszcze się nie odezwał, był niższy, krępej budowy i ciemnej karnacji południowca.

— To niezwykle delikatna sprawa — powiedział starszy z mężczyzn, konfidencko zniżając głos. Spojrzał niepewnie na Tuppence i wydawało się, że pan Blunt wyczuł to spojrzenie.

— Pozwoli pan przedstawić sobie moją zaufaną sekretarkę — powiedział. — Panna Ganges. Znalaziona w dzieciennym beciku na brzegu indyjskiej rzeki. Bardzo smutna historia. Panna Ganges zastępuje mi oczy. Wszędzie mi towarzyszy.

Nieznajomy uklonił się.

— To znaczy, że mogę mówić. Panie Blunt, moja córka, dziewczyna szesnastoletnia, została uprowadzona w bardzo szczególnej sytuacji. Odkryłem to pół godziny temu. Okoliczności towarzyszące sprawie są takie, że nie mam odwagi zadzwonić na policję. Zamiast tego zatelefonowałem do pańskiego biura. Powiedziano mi, że wyszedł pan na lunch i powinien wrócić o wpół do trzeciej. Przyszedłem tu z przyjacielem, kapitanem Harkerem...

Niższy mężczyzna szybko skinął głową i wymamrotał coś pod nosem.

— Niespodziewany łut szczęścia sprawił, że pan także jadł tutaj lunch. Nie możemy teraz tracić czasu.

Tommy zaprotestował ostrożnie.

— Mogę się z panami spotkać za pół godziny. Najpierw muszę wrócić do biura.

Kapitan Harker, który w tej chwili spojrzał na Tuppence, mógł być zaskoczony leciutkim półuśmiechem, który na chwilę pojawił się w kącikach jej ust.

— Nie, nie, to niemożliwe. Musi pan pojechać ze mną — upierał się siwy mężczyzna. Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją Tommy'emu przez stół. — Tu jest moje nazwisko.

Tommy przesunął palcami po kartoniku.

— Mój dotyk nie jest dostatecznie wrażliwy — powiedział z uśmiechem i podał wizytówkę Tuppence.

— Księżę Blairgowrie — przeczytała Tuppence zniżonym tonem i spojrzała na klienta z wielkim zainteresowaniem. Księżę Blairgowrie był szeroko znany jako wyniosły i nieprzystępny arystokrata, który ożenił się z córką chicagowskiego handlarza wieprzowiną, kobietą o wiele od siebie młodszą i obdarzoną znacznym temperamentem, źle wróżącym ich wspólnej przyszłości. Ostatnio krążyły plotki o nieporozumieniach między małżeństwem.

— Pójdzie pan z nami natychmiast, panie Blunt? — zapytał księżę z niepokojąco ostrą nutą w głosie. Tommy'emu nie pozostało nic innego, jak zgodzić się.

— Panna Ganges i ja pójdziemy z panem — powiedział cicho. — Wybacz pan, że zatrzymamy się tu jeszcze na chwilę? Chciałbym wypić dużą filiżankę czarnej kawy. Podadzą nam ją natychmiast. Cierpię na bardzo wyczerpujące bóle głowy, które są wynikiem moich kłopotów ze wzrokiem, a kawa je uspokaja.

Zawołał kelnera i wydał mu dyspozycje. Potem zwrócił się do Tuppence.

— Panno Ganges, jutro będę jadł tu lunch z prefektem policji francuskiej. Proszę zanotować menu i przekazać je kelnerowi wraz z poleceniem, by zarezerwował ten sam stolik, co zwykle. Współpracuję z policją francuską w pewnej bardzo poważnej sprawie. Honorarium — przerwał na chwilę — jest wysokie. Czy jest pani gotowa, panno Ganges?

— Tak — powiedziała Tuppence, trzymając ołówek w pogotowiu.

— Zaczniemy od specjalnej sałatki z krewetek, którą tu podają. Następnie — zaraz, co ma iść za tym — tak, omlet Blitz i może kilka *Tournedos à l'Etranger*.

Znów przerwał i wymruczał przeprasząc:

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan. Ach, tak! *Soufflé en surprise*. To zakończy posiłek. Prefekt

francuski to niezwykle interesujący człowiek. Może pan go zna?

Nieznajomy zaprzeczył. Tuppence wstała i poszła poszukać szefa sali. Gdy wróciła po chwili, podano już kawę.

Tommy wolno wysączył dużą filiżankę, wreszcie podniósł się.

— Moja laska, panno Ganges? Dziękuję. Proszę o wskazówki.

Dla Tuppence była to chwila cierpienia.

— Jeden krok w prawo, osiemnaście prosto. Mniej więcej przy piątym kroku po lewej stronie kelner podaje do stolika.

Tommy ruszył, pogodnie wymachując laseczką. Tuppence szła za nim, starając się trzymać jak najbliżej, i nieznacznie próbowała nim kierować. Wszystko szło dobrze aż do chwili, gdy dotarli do drzwi. Do restauracji wchodził w pośpiechu jakiś mężczyzna i zanim Tuppence zdążyła ostrzec niewidomego pana Blunta, ten wpadł na wchodzącego. Nastąpiły wyjaśnienia i przeprosiny.

Przy drzwiach Blitza czekał niewielki, sportowy samochód. Księżę we własnej osobie pomógł panu Bluntowi wsiąść.

— Twój samochód jest tutaj, Harker? — zapytał przez ramię.

— Tak. Zaraz za rogiem.

— Zabierzesz pannę Ganges, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, wskoczył na fotel obok Tommy'ego i samochód gładko ruszył.

— Niezwykle delikatna sprawa — wymruczał księżę. — Wkrótce zapoznam pana ze wszystkimi szczegółami.

Tommy podniósł rękę do głowy.

— Teraz już mogę zdjąć opaskę — oznajmił pogodnie. — W restauracji była konieczna jedynie ze względu na blask sztucznego światła.

Coś jednak ostro szarpnęło go za ramię. Jednocześnie poczuł, że jakiś twardy i okrągły kształt wbija mu się pod żebro.

— Nie, drogi panie Blunt. — To był głos księcia, ale brzmiał teraz inaczej. — Nie zdejmie pan tej opaski. Będzie pan siedział zupełnie nieruchomo i nawet pan nie drgnie. Rozumie pan? Nie chciałbym, aby ten pistolet wypalił. Widzi pan, wcale nie jestem księciem Blairgowrie. Pożyczyłem sobie jego nazwisko na tę okazję, gdyż wiedziałem, że nie odmówi pan towarzyszenia tak znamienitej osobie. Ja jestem kimś o wiele bardziej prozaicznym — hurtownikiem szynki, który utracił żonę.

Zauważył, że Tommy drgnął ze zdumienia.

— To panu coś mówi — zaśmiał się. — Drogi młodzieńcze, okazał pan niezmierną głupotę. Obawiam się, bardzo się obawiam, że pańskie poczynania zostaną ukrócone.

Ostatnie słowa wymówił tonem złowieszczonego zadowolenia.

Tommy siedział bez ruchu, milcząc. Samochód zwolnił i zatrzymał się.

— Jedną chwilę — powiedział pseudo-książę. Zręcznie wsunął chusteczkę w usta Tommy'ego i zawiązał mu szalik dokoła głowy.

— To na wypadek, gdyby okazał się pan tak głupi, by wołać o pomoc — powiedział aksamitnym głosem.

Drzwi samochodu otworzyły się i szofer stanął w gotowości. On i jego pan wzięli Tommy'ego pod ramiona i wprowadzili na jakieś schody, a następnie do wnętrza domu.

Drzwi zamknęły się za nimi. Powietrze przesycone było zapachem Wschodu. Stopy Tommy'ego zapadały się w puszystym dywanie. W taki sam sposób, jak poprzednio, wepchnięto go na następne schody i do pokoju, który znajdował się chyba w tylnej części domu. Tu obaj mężczyźni związali mu ręce. Szofer wyszedł, a pseudo-książę zdjął Tommy'emu knebel.

— Może pan teraz mówić — oznajmił uprzejmie.

— Co chce pan powiedzieć na swoją obronę, młody człowieku?

Tommy odchrząknął i rozluźnił mięśnie twarzy.

— Mam nadzieję, że nie zgubiliście mojej trzcinowej laseczki — rzekł łagodnie. — Zrobiono ją na zamówienie i drogo mnie kosztowała.

— Masz mocne nerwy — powiedział mężczyzna po chwili milczenia. — Albo też po prostu jesteś głupcem. Czy nie rozumiesz, że mam cię... trzymam cię w rękę? Że jesteś absolutnie zdany na moją łaskę? Że nikt ze znajomych prawdopodobnie już cię nie zobaczy?

— Nie mógłby pan skrócić tego melodramatu? — spytał Tommy żałośnie. — Czy mam powiedzieć: Ty złoczyńco, ja i tak jeszcze będę górą? Tego rodzaju rzeczy już dawno wyszły z mody.

— A co z dziewczyną? — odrzekł mężczyzna, przyglądając mu się uważnie. — Czy i to cię nie porusza?

— Gdy podczas mojego przymusowego zamilknięcia przed chwilą dodałem dwa do dwóch — powiedział Tommy — doszedłem do nieuniknionego wniosku, że ten rozmowny facet, Harker, należy do gatunku ludzi, którzy popełniają desperackie czyny, toteż moja nieszczęsna sekretarka wkrótce dołączy do tej herbatki towarzyskiej.

— Masz rację w pierwszym, ale mylisz się w drugim. Pani Beresford — widzisz, wiem o tobie wszystko — pani Beresford nie zostanie przywieziona tutaj. To drobny środek ostrożności, który zastosowałem. Przyszło mi do głowy, iż jest możliwe, że wasi wysoko postawieni przyjaciele mają was na oku. Rozdzieliłem was zatem i w ten sposób jedno nie będzie mogło być śledzone. Któreś zostanie w moim ręku. Czekam teraz...

Przerwał, gdyż drzwi otworzyły się i odezwał się szofer.

— Nikt za nami nie jechał, proszę pana. Jest czysto.

— Dobrze. Możesz już iść, Gregory. Drzwi znów się zamknęły.

— Na razie nieźle — powiedział „ksiązę”. — A teraz, co mamy z panem zrobić, panie Beresford Blunt?

— Przede wszystkim życzyłbym sobie, żeby zdjął mi pan z twarzy tę opaskę.

— Myślę, że nie. Z tą opaską jest pan rzeczywiście niewidomy. Bez niej widziałby pan równie dobrze, jak ja, a to nie zgadzałoby się z moim małym planem. Gdyż mam pewien plan. Lubi pan sensacyjne powieści, panie Blunt. Ta zabawa, w którą bawił się pan dzisiaj ze swoją żoną, jest na to dowodem. Ja również przygotowałem małą zabawę — jestem pewien, że gdy wyjaśnię panu, na czym ona polega, przyzna pan, iż jest niezwykła. Widzi pan, podłoga, na której pan stoi, zrobiona jest z metalu i gdzieś tam znajdują się na niej małe wypukłości. Przekręcę wyłącznik — właśnie tak. — Tommy usłyszał suchy trzask. — Teraz włączony jest tam prąd. W tej chwili nastąpienie na jedną z tych wypukłości oznacza śmierć! Rozumiesz? Gdybyś widział... ale nie widzisz. Jesteś w ciemnościach. Na tym polega zabawa, zabawa ślepcy ze śmiercią. Jeśli dotrzesz cało do drzwi — wygrasz wolność! Ale myślę, że przedtem wejdiesz na jedno z niebezpiecznych miejsc. A to będzie bardzo zabawne. Dla mnie!

Podszedł bliżej i rozwiązał Tommy'emu ręce, po czym z ironicznym ukłonem podał mu laseczkę.

— Niewidomy Problemista. Zobaczmy, czy potrafisz rozwiązać ten problem. Będę tu stał z pistoletem gotowym do strzału. Jeśli podniesiesz ręce do góry, by zdjąć opaskę, strzelam. Czy to jasne?

— Zupełnie jasne — odrzekł Tommy. Był dosyć blady, ale zdecydowany. — Podejrzewam, że nie mam nawet cienia szansy?

— Ach! — wzruszył ramionami fałszywy książę.

— Jest pan piekielnie sprytny, prawda? — zapytał Tommy. — Ale zapomniał pan o jednym. Aha, czy mogę zapalić papierosa? Moje biedne serce dostaje palpacji.

— Możesz zapalić, ale żadnych sztuczek. Pamiętaj, że obserwuję cię z nabitym pistoletem.

— Nie jestem tresowanym psem — odrzekł Tommy. — Nie robię sztuczek. — Wyjął papierosa z pudełka i zaczął szukać zapalek po kieszeniach. — W porządku. Nie szukam rewolweru. Wiesz

przecież dobrze, że nie jestem uzbrojony. Mimo to, jak już powiedziałem, zapomniałeś o jednej rzeczy.

— O czym?

Tommy wyjął zapalną i przyłożył ją do draski.

— Ja nie widzę, a ty widzisz. Przyznaję to. Przewaga jest po twojej stronie. Ale gdybyśmy obaj byli w ciemnościach — co wtedy? Na czym wtedy polegałaby twoja przewaga?

Zapalił zapalną.

— Myślisz o tym, żeby strzelić w wyłącznik prądu? Pograć pokój w ciemnościach? Nie da się tego zrobić.

— Ach, tak — odrzekł Tommy. — Nie mogę zapewnić ci ciemności. Ale wiesz, przeciwieństwa się łączą. Co powiesz na światło?

Przy tych słowach przytknął zapalną do czegoś, co trzymał w dłoni, i rzucił na stół. Pokój wypełniła oślepiająca jasność. „Książę”, oślepiiony intensywnym białym światłem, zamrugał i cofnął się o krok, opuszczając rękę z pistoletem.

Otworzył oczy, czując coś ostrego przy swojej piersi.

— Rzuć ten pistolet — nakazał Tommy. — Rzuć go natychmiast. Zgadzam się z tobą, że pusta trzcinowa laseczka jest rzeczą zupełnie bezużyteczną. Jednakże taka ze sztylblem w środku bywa bardzo przydatna, nie sądzisz? Niemal tak przydatna, jak drut magnezjowy. Rzuć ten pistolet.

Pod naciskiem ostrza mężczyzna rzucił broń, po czym ze śmiechem odskoczył o krok do tyłu.

— Ale nadal mam przewagę — powiedział kpiąco. — Gdyż ja widzę, a ty nie.

— I tu się właśnie mylisz — odparł Tommy. — Widzę bardzo dobrze. Ta opaska to bluff. Włożyłem ją, żeby nabrać Tuppence. Chciałem pomylić się parę razy na początek, a pod koniec lunchu zaskoczyć ją kilkoma zupełnie nieprawdopodobnymi obserwacjami. Mój Boże, z największą łatwością mogłem podejść do tych drzwi unikając wszystkich wypukłości. Ale nie wierzyłem, że będziesz grał czysto. Nigdy byś mnie stąd nie wypuścił żywego. Uważaj teraz...

Ale było za późno. „Książę”, z twarzą wykrzywioną wściekłością, rzucił się do przodu, w szale zapominając spojrzeć pod nogi. Po kilku krokach, z podłogi wybuchnął błękitny płomień. Mężczyzna zachwiał się i upadł jak kłoda. Pokój wypełnił się wonią palonego ciała pomieszaną z mocniejszym zapachem ozonu.

— Och — powiedział Tommy i otarł twarz.

Potem, poruszając się niezwykle ostrożnie, dotarł do drzwi i nacisnął wyłącznik, którym „Książę” poprzednio manipulował.

Powoli otworzył drzwi i wyrzwał na korytarz. Nikogo nie było widać. Zszedł po schodach i wy dostał się na ulicę przez główne wyjście.

Gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, z dreszczem spojrzwał na dom i zapamiętał numer. Potem pobiegł do najbliższej budki telefonicznej.

Przez chwilę przeżywał katusze niepewności, po czym usłyszał dobrze mu znany głos.

— Tuppence, dzięki Bogu!

— Tak, ze mną wszystko w porządku. Zrozumiałam wszystkie twoje wskazówki. Honorarium, Krewetka, przyjsć do Blitzu i śledzić dwóch obcych. Albert był tu na czas i gdy odjechaliśmy w różnych kierunkach, pojechał za mną taksówką, zobaczył, dokąd mnie zabrano i zadzwonił na policję.

— Albert to dobry chłopak — powiedział Tommy. — Rycerski. Byłem pewien, że pojedzie za tobą. Mimo wszystko martwiłem się. Mam ci mnóstwo do opowiedzenia. Zaraz wracam. A pierwszą rzeczą, jaką zrobię, gdy wrócę, będzie wystawienie ogromnego czeku dla św. Dunstana. Boże, to musi być okropne, nie widzieć.

Rozdział jedenasty

Człowiek we mgle

Tommy nie był zadowolony z życia. Błyskotliwi Detektywi Blunta przeżywali porażkę, która nadwerżyła nie tyle ich kieszeń, co dumę. Wezwani do Aldington Hall w Aldington dla rozwikłania tajemnicy skradzionego naszyjnika z pereł, zawiedli. Kiedy Tommy prowadził dochodzenie po śladzie księżny–hazardzistki i śledził ją w przebraniu katolickiego księdza, a Tuppence na polu golfowym zawierała przyjaźń z siostrzeńcem rodziny, miejscowy inspektor policji po prostu zaaresztował młodszego kamerdynera, który, jak się okazało, był złodziejem dobrze znanym w centrali Scotland Yardu i bez oporu przyznał się do winy.

Tommy i Tuppence, z całą godnością, na jaką było ich stać, wycofali się ze sceny i właśnie pocieszali się koktajlem w hotelu Grand Aldington. Tommy nadal występował w stroju księdza.

— Trudno to uznać za styl ojca Browna — zauważył ponuro. — Ale mój parasol jest dokładnie taki, jak trzeba.

— Bo to nie był problem w stylu ojca Browna — pocieszała go Tuppence. — Od samego początku potrzebna jest właściwa atmosfera. Powinno się robić coś zupełnie zwyczajnego, a potem zaczynają się dziać przedziwne rzeczy. Taki jest zamysł.

— Niestety, musimy wracać do domu — powiedział Tommy. — Może coś niezwykłego zdarzy się nam w drodze na stację.

Podniósł do ust trzymaną w rękę szklankę, ale w tej chwili jakaś ciężka ręka spoczęła na jego ramieniu i zawartość szklanki rozlała się. Basowy głos, odpowiedni do dłoni, wybuchnął powitanie.

— Na mą duszę, rzeczywiście, to stary, Tommy! I pani Beresford. Jakie wiatry cię tu przywiały? Nie widziałem cię ani nic o tobie nie słyszałem od lat!

— Ależ to Bulger! — zdumiał się Tommy. Postawił szklankę z resztką koktajlu na stole i odwrócił się, by spojrzeć na intruza. Był nim mniej więcej trzydziestoletni, potężny mężczyzna z kwadratowymi ramionami, okrągłą, czerwoną, rozpromienioną twarzą, ubrany w strój do gry w golfa. — Stary, dobry Bulger!

— Coś takiego, staruszkule — powiedział Bulger (którego prawdziwe nazwisko brzmiało zresztą Marvyn Estcourt) — nie miałem pojęcia, że złożyłeś śluby. Zdaje się, że jesteś proboszczem z przymrużeniem oka!

Tuppence wybuchnęła śmiechem, a Tommy wyglądał na zmieszanego. W tej samej chwili oboje uświadomili sobie obecność jeszcze jednej osoby.

Była to wysoka, smukła istota o niezwykle złocistych włosach i okrągłych, błękitnych oczach, piękna niemal aż do przesady. Na kosztowną, czarną suknię narzuciła wspaniałe futro z gronostajów, a w uszach nosiła wielkie kolczyki z perłami. Uśmiechała się i ten uśmiech wyrażał bardzo wiele. Zapewniał, na przykład, iż jego właścicielka jest zupełnie świadoma tego, że sama jest rzeczą najbardziej godną uwagi w całej Anglii, a może i na całym świecie. Absolutnie nie była próżna, ale po prostu wiedziała bez żadnych wątpliwości, że tak jest rzeczywiście.

Tommy i Tuppence rozpoznali ją natychmiast. Tylko dla niej trzy razy byli na *Tajemnicy serca*, tyleż razy na *Ognistych słupach*, drugim wielkim sukcesie scenicznym, oraz na innych sztukach. Prawdopodobnie w całej Anglii nie było drugiej aktorki, która by w równym stopniu potrafiła zawładnąć publicznością, co panna Gilda Glen. Uznawano ją za najpiękniejszą kobietę w całym kraju. Krążyły także plotki, że najgłupszą.

— Panna Glen, moja stara znajoma — powiedział Estcourt. W jego głosie brzmiał cień przeprosin za to, że mógł choćby przez chwilę sprawiać wrażenie, iż zapomniał o tak promienistej istocie. — Pozwólcie, że was przedstawię panie Gildzie Glen.

W jego głosie brzmiała nieukrywana duma. Część splendoru panny Glen spływała na niego przez sam fakt, że znajdował się w jej towarzystwie.

Aktorka spojrzała na Tommy'ego z żywym zainteresowaniem.

— Czy naprawdę jest pan księdzem? — zapytała.

— To znaczy, księdzem katolickim? Bo wydawało mi się, że oni nie mają żon.

Estcourt znów wybuchnął gromkim śmiechem.

— A to dobre. Tommy, ty krętaczu. Cieszę się, pani Beresford, że nie wyrzekł się pani razem z resztą próżnych rzeczy doczesnych.

Gilda Glen nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi i nadal ze zdumieniem wpatrywała się w Tommy'ego.

— Czy jest pan księdzem? — nalegała.

— Tylko nieliczni z nas są tym, na kogo wyglądają — odrzekł Tommy uprzejmie. — Mój zawód przypomina nieco zawód księdza. Nie udzielam rozgrzeszenia, ale wysłuchuję spowiedzi i...

— Nie słuchaj go — przerwał Estcourt. — On chce cię nabrać.

— Jeśli nie jest pan księdzem, to nie rozumiem, dlaczego jest pan ubrany w sutannę — zdumiewała się aktorka. — To znaczy, chyba że...

— Nie jestem przestępcą, który usiłuje zbiec przed prawem — odrzekł Tommy. — Wręcz przeciwnie.

— Och! — Gwiazda zmarszczyła brwi, nie odrywając od niego spojrzenia swych pięknych oczu.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek w życiu to zrozumie — pomyślał Tommy. — Chyba nie, jeśli nie wytłumaczę jej tego za pomocą jednosylabowych słów.

Głośno powiedział:

— Bulger, czy wiesz coś o pociągach do miasta? Musimy się zbierać do domu. Jak daleko jest stąd do stacji?

— Dziesięciominutowy spacer. Ale nie macie się po co spieszyć. Najbliższy pociąg jest o szóstej trzydzieści pięć, a jest dopiero za dwadzieścia szósta. Poprzedni odjechał przed chwilą.

— Jak się stąd idzie do stacji?

— Tuż przy wyjściu z hotelu trzeba skręcić w lewo. Potem — zaraz — najlepiej iść przez Morgan's Avenue, prawda?

— Morgan's Avenue? — panna Glen gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział Estcourt ze śmiechem. — O duchu. Po jednej stronie Morgan's Avenue znajduje się cmentarz. Legenda głosi, że pewien policjant, który zginął tragicznie, wstaje z grobu i spaceruje swoją dawną trasą wzdłuż tej ulicy. Policjant–duch! Możecie to sobie wyobrazić? Ale wiele osób przysięga, że go widziało.

— Policjant? — powtórzyła panna Glen i zadrżała. — Ale tak naprawdę duchów nie ma, prawda? To znaczy... nic takiego nie istnieje?

Wstała i szczerzej owinęła się futrem.

— Do widzenia — powiedziała niepewnie.

Przez cały czas w ogóle nie zwróciła uwagi na Tuppence i teraz także nawet nie spojrzała w jej stronę. Rzuciła jednak przez ramię zaciekawione spojrzenie na Tommy'ego.

W drzwiach spotkała wysokiego mężczyznę o siwych włosach i pełnej twarzy, który z okrzykiem zdziwienia położył rękę na jej ramieniu. Wyszli razem, rozmawiając z ożywieniem.

— Piękne stworzenie, prawda? — zapytał Estcourt. — I do tego kurzy mózdzek. Chodzą plotki, że ma wyjść za mąż za lorda Leconbury. To właśnie był ten człowiek w drzwiach.

— Nie wydawał się szczególnie sympatycznym kandydatem na męża — zauważyła Tuppence.

Estcourt wzruszył ramionami.

— Sądzę, że tytuł nadal ma pewien blask — powiedział. — A Leconbury'ego w żadnym razie nie

można nazwać zubożałym arystokratą. Ona będzie się tarzać w pieniądzach. Nikt nie wie, skąd się wzięła. Prawdopodobnie z okolic rynsztoka. W tym, że teraz tu jest, kryje się coś tajemniczego. Nie mieszka w hotelu. A gdy próbowałem się dowiedzieć, gdzie się zatrzymała, potraktowała mnie z góry, lekceważąco i bardzo niegrzecznie, w jedyny sposób, w jaki potrafi to robić. Nie mam najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Spojrzał na zegarek i zerwał się z okrzykiem.

— Muszę już iść. Strasznie mi miło było znów was spotkać. Musimy się kiedyś umówić na wieczór w mieście. Do zobaczenia.

Ledwie Eastcourt się oddalił, podszedł do nich chłopiec hotelowy z listem na tacy. List nie był zaadresowany.

— To dla pana — powiedział do Tommy'ego. — Od panny Gildy Glen.

Tommy rozerwał kopertę z ciekawością. List składał się z kilku zaledwie linijek napisanych nieporządnym, nerwowym charakterem pisma:

Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że mógłby mi pan pomóc. Czy mógłby pan przyjść do White House przy Morgan's Avenue dziesięć po szóstej? Będzie pan wtedy przechodził w drodze na stację.

Szczerze oddana

Gilda Glen.

Tommy skinął chłopcu głową, a gdy odszedł, podał kartkę Tuppence.

— Niezwykłe! — powiedziała. — Czy to dlatego, że ona dalej uważa cię za księdza?

— Nie — odrzekł Tommy z namysłem. — Sądzę raczej, że w końcu dotarło do niej, że nie jestem księdzem, i dlatego napisała ten list. O, a co to takiego?

„To” było młodym mężczyzną z płomiennorudymi włosami, zaczepnie wysuniętą szczęką i w odrażająco niechlujnym ubraniu, który przechadzał się po sali, mruczając coś pod nosem.

— Diabli! — powiedział głośno i ze złością. — A niech to diabli!

Opadł na krzesło tuż obok pary detektywów i wpatrzył się w nich posepnie.

— Niech diabli wezmą wszystkie kobiety, właśnie tak, wszystkie — mierzył Tuppence wściekłym spojrzeniem. — Och, dobrze, możecie mi zrobić awanturę, jeśli chcecie. Możecie mnie wyrzucić z hotelu. To nie będzie pierwszy raz. Dlaczego nie miałbym mówić tego, co myślę? Dlaczego mam ukrywać swoje uczucia, uśmiechać się i mówić dokładnie takie same rzeczy, jak wszyscy! Nie czuję się uprzejmy i miły. Mam ochotę złapać kogoś za gardło i powoli zadusić — urwał.

— Jaką konkretną osobę? — zapytała Tuppence. — Czy też po prostu kogokolwiek?

— Jedną taką osobę — odpowiedział młody człowiek pochmurnie.

— To bardzo interesujące — uśmiechnęła się Tuppence. — Może opowie pan nam coś więcej?

— Nazywam się Reilly. James Reilly, może słyszeliście. Napisałem niewielki tomik wierszy pacyfistycznych, bardzo dobrych, moim zdaniem.

— Wierszy pacyfistycznych? — powtórzyła Tuppence z niedowierzaniem.

— Tak, a dlaczego nie? — powiedział zaczepnie rudzielec.

— Och, nic takiego — zapewniła pośpiesznie Tuppence.

— Jestem wielkim zwolennikiem pokoju — wyjaśnił pan Reilly z ogniem w głosie. — Do diabła z wojną. I z kobietami! Widzieliście tę kreaturę, która snuła się tu przed chwilą? Gilda Glen, tak każe się nazywać. Gilda Glen! Boże, jak ja uwielbiałem tę kobietę! I mogę wam jedno powiedzieć — jeśli ona w ogóle ma jakieś serce, to należy ono do mnie. Miała dla mnie kiedyś jakieś uczucia, i mógłbym sprawić, żeby znowu zaczęła je mieć. Ale jeśli ona sprzeda się tej kupie zgnilizny, temu Leconbury'emu — no cóż, niech ją Bóg ma w swojej opiece. Wolałbym ją zabić własnymi rękami.

Z tymi słowami zerwał się i wybiegł z sali. Tommy uniósł brwi.

— Dość nerwowy dżentelmen — mruknął. — Ruszmy się stąd, Tuppence?

Wyszli z hotelu na powietrze. Było chłodne i zaczynała pojawiać się mgła. Zgodnie ze wskazówkami Estcourta skręcili w lewo i po kilku minutach doszli do rogu, na którym widniała tabliczka z napisem: Morgan's Avenue.

Mgła gęstniała szybko. Miękkie, białe smugi przesuwwały się obok nich. Po lewej stronie mieli wysoki mur cmentarza, po prawej rząd niewielkich domków. Po chwili domki skończyły się i na ich miejscu pojawił się wysoki żywopłot.

— Tommy — powiedziała Tuppence — chyba trochę się boję. Ta mgła i cisza. Jak na zupełnym odludziu.

— Ma się takie wrażenie — zgodził się Tommy — jakby się było jedynym człowiekiem na świecie. To dlatego, że we mgle niczego nie widać.

Tuppence skinęła głową.

— Tylko echo naszych kroków na chodniku. Co to?

— Co takiego?

— Zdawało mi się, że słyszałam jakieś kroki za nami.

— Jeśli będziesz się tak podniecać, to za chwilę zaczniesz widzieć duchy — uspokajał Tommy

łagodnie.

— Nie denerwuj się tak. Czy boisz się, że duch policjanta położy ci rękę na ramieniu?

Tuppence pisnęła przeraźliwie.

— Nie mów tak, Tommy. Teraz nie będę sobie mogła tego wybić z głowy.

Odwróciła głowę do tyłu, usiłując przejrzeć biały welon mgły, który otaczał ich ze wszystkich stron.

— Znowu słyszę kroki — szepnęła. — Teraz są przed nami. Och, Tommy, tylko mi nie mów, że ty niczego nie słyszysz!

— Słyszę. Tak, to kroki za nami. Ktoś jeszcze idzie tędy do pociągu. Ciekaw jestem...

Zatrzymał się nagle i znieruchomiał. Tuppence gwałtownie wciągnęła oddech.

Zasłona mgły przed nimi nagle rozsunęła się w bardzo nienaturalny sposób i o niecałe dwadzieścia stóp od nich pojawił się olbrzymi policjant. Wyglądało to tak, jakby zmaterializował się z mgły. Przed chwilą jeszcze go tam nie było, a w następnej minucie był — w każdym razie takie wrażenie odniosło dwoje obserwatorów z rozpaloną wyobraźnią. Mgła rozwiała się jeszcze trochę i ich oczom ukazała się zupełnie teatralna scena.

Wielki, niebieski policjant, czerwony słup ogłoszeniowy i po prawej stronie drogi zarysy białego domu.

— Czerwony, biały i niebieski — powiedział Tommy.

— Diabelnie malownicze. Chodź, Tuppence, nie ma się czego bać.

Zauważył już bowiem, że stała przed nim nie zjawa, lecz prawdziwy policjant z krwi i kości. Co więcej, nie był aż taki wielki, jak wydawało się w pierwszej chwili, gdy wychynał z mgły.

Jednak gdy ruszyli do przodu, za ich plecami znów rozległy się kroki. Jakiś mężczyzna przebiegł obok, wpadł do bramy przed białym domem, wbiegł po schodach i ostro załomotał kołatką. Drzwi otworzyły się. Mężczyzna wszedł do domu w tej samej chwili, gdy Tommy i Tuppence zrównali się z policjantem, który stał nieruchomo i patrzył na dom.

— Zdaje się, że temu panu bardzo się śpieszyło — skomentował. Mówił wolno i z namysłem, jak ktoś, kto zastanawia się nad każdym słowem.

— Ten rodzaj ludzi zawsze się śpieszy — zauważył Tommy.

Spojrzenie policjanta, powolne i raczej podejrzliwe, spoczęło na jego twarzy.

— To pański przyjaciel? — zapytał, teraz już z wyraźną nieufnością w głosie.

— Nie — odrzekł Tommy. — To nie jest mój przyjaciel, ale przypadkiem wiem, kim jest. Nazywa się Reilly.

— Ach — odpowiedział policjant. — No, muszę iść.

— Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest White House? — zapytał Tommy.

Posterunkowy ruchem głowy wskazał w bok.

— Właśnie tutaj. Dom pani Honeycott — a po chwili dodał takim tonem, jakby przekazywał niezmiernie doniosłą informację: — Nerwowa osoba. Wiecznie podejrzewa, że jakiś włamywacz czai się w pobliżu. Zawsze prosi, żebym dokładnie sprawdził okolicę. Kobiety w średnim wieku czasem są takie.

— W średnim wieku, tak? — powtórzył Tommy. — Nie wie pan przypadkiem, czy mieszka tu młoda kobieta?

— Młoda kobieta — powtórzył policjant z głębokim namysłem. — Młoda kobieta. Nie, chyba nic o tym nie wiem.

— Może ona tu nie mieszka, Tommy — wtrąciła Tuppence. — W każdym razie może jej tu jeszcze nie być. Wyszła tylko chwilę przed nami.

— Ach! — zawołał policjant z nagłym ożywieniem.

— Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że zauważyłem młodą kobietę, która wchodziła tu do bramy. Widziałem ją, gdy byłem na rogu ulicy. Mogło to być jakieś trzy czy cztery minuty temu.

— Czy miała na sobie futro z gronostajów? — zapytała Tuppence z podnieceniem.

— Miała na szyi coś w rodzaju białego królika — przyznał policjant.

Tuppence uśmiechnęła się. Posterunkowy oddalił się w stronę, z której nadeszli, oni zaś skręcili do bramy White House.

Nagle z wnętrza domu rozległ się cichy, stłumiony okrzyk. Drzwi otworzyły się i James Reilly w pośpiechu zbiegł ze schodów. Twarz miał bladą, wykrzywioną i patrzył prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem, zataczając się, jakby był pijany.

Wyminął Tommy'ego i Tuppence i w ogóle ich nie zauważył.

— Mój Boże! Mój Boże! Och, mój Boże! — mruczał pod nosem z jakąś okropną rozpaczą.

Uchwycił się słupka przy furtce, jakby nie był w stanie utrzymać się na nogach, a potem, w nagłym przypływie paniki, ile sił w nogach pobiegł ulicą w kierunku przeciwnym do tego, w którym odszedł policjant.

Rozdział dwunasty

Człowiek we mgle (dokończenie)

Tommy i Tuppence popatrzyli na siebie oszołomieni.

— No cóż — powiedział Tommy — w tym domu wydarzyło się coś, co dosyć mocno wystraszyło naszego przyjaciela Reilly'ego.

Tuppence przesunęła palcem po słupku przy furtce.

— Musiał gdzieś dotknąć ręką mokrej czerwonej farby — zauważyła bezmyślnie.

— Hm — mruknął Tommy. — Chyba lepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka jak najszybciej. Nie rozumiem, o co tu chodzi.

W drzwiach domu stała służąca w białym czepku. Oburzenie niemal odebrało jej mowę.

— Czy widział ojciec kiedy coś podobnego — wybuchnęła na widok Tommy'ego, który wchodził po schodach. — Ten gość wpada tu, pyta o młodą panią i wbiega na górę po schodach nie mówiąc ani dzień dobry, ani do' widzenia. Ona krzyczy jak dzika kotka, i nie dziwię jej się, biedactwu, a on zaraz wypada z powrotem, blady jak ściana, jakby zobaczył ducha. O co w tym wszystkim chodzi?

— Z kim tam rozmawiasz w korytarzu, Ellen? — zapytał ostry głos z głębi hallu.

— Oto i pani — powiedziała Ellen nieco niepewnie. Odsunęła się na bok i Tommy stanął twarzą w twarz z siwowłosą kobietą w średnim wieku o lodowato błękitnych oczach, częściowo zakrytych przez pince-nez.

Jej obfita figura spowita była czarną szatą wykończoną koronką.

— Pani Honeycott? — zapytał Tommy. — Przyszedłem zobaczyć się z panną Glen.

Pani Honeycott zmierzyła go ostrym spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na Tuppence, nie omijając żadnego szczegółu jej wyglądu.

— Ach tak? — zapytała. — To niech pan wejdzie. Poprowadziła ich przez hali do pokoju na tyłach domu. Okna wychodziły na ogród. Pokój był spory, ale z powodu nagromadzenia stołów i krzeseł wydawał się mniejszy, niż w rzeczywistości. W kominku płonął ogień, a obok stała sofa obita tkaniną w kwiaty. Ściany oklejone były tapetą w drobne szare paseczki, pod sufitem zwieńczone festonami róż, i gęsto zawieszono sztychami i obrazami olejnymi. Nie sposób było połączyć atmosfery tego pokoju z ekscentryczną osobowością panny Gildy Glen.

— Proszę usiąść — powiedziała pani Honeycott.

— Zechce pan wybaczyć, ale na początek muszę powiedzieć, że nie jestem zwolenniczką religii rzymskokatolickiej. Nigdy nie sądziłam, że zobaczę u siebie w domu katolickiego księdza. Ale skoro Gilda upodobniła się do kobiet lekkich obyczajów, czegoż innego można się spodziewać przy jej trybie życia — i ośmielę się powiedzieć, że mogło być gorzej. Mogłaby w ogóle nie wyznawać żadnej religii. Miałabym lepsze zdanie o księżach katolickich, gdyby się żenili. Zawsze mówię to, co myślę. I te zakony! Zamykają tam tyle pięknych, młodych dziewcząt i nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Po prostu nie da się o tym myśleć spokojnie.

Pani Honeycott doszła do kropki i wzięła głęboki oddech.

Tommy od razu przeszedł do sedna sprawy, nie wdając się w obronę celibatu księży ani innych kontrowersyjnych opinii rozmówczyń.

— Rozumiem, pani Honeycott, że panna Glen przebywa w tym domu.

— Jest tu. Niech pan pamięta, że ja tego nie popieram. Małżeństwo to małżeństwo, a mąż to mąż. Jak sobie człowiek pościele, tak się wyśpi.

— Niezupełnie rozumiem — zaczął oszołomiony Tommy.

— Tak myślałam. Dlatego właśnie was tu przyprowadziłam. Najpierw powiem, co myślę, a potem możecie iść do Gildy. Przyjechała tutaj, pomyśleć tylko, po tylu latach, i prosiła, żebym jej pomogła. Chciała, żebym spotkała się z tym człowiekiem i namówiła go, by się zgodził na rozwód. Od razu jej powiedziałam, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Rozwód to grzech. Ale przecież nie mogłam nie przyjąć własnej siostry do domu, prawda?

— Pani siostry? — wykrzyknął Tommy ze zdumieniem.

— Tak, Gilda jest moją siostrą. Nie powiedziała wam tego?

Tommy wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami. Wydawało mu się to absolutnie niemożliwe. Potem jednak przypomniał sobie, że anielską urodę Gildy Glen podziwiano już od wielu lat. Tommy widywał ją na scenie jeszcze jako mały chłopiec. Tak, w zasadzie było to możliwe, ale cóż za pikantny kontrast! A więc Gilda Glen pochodziła z szacownej niższej klasy średniej. Jak dobrze umiała strzec swego sekretu!

— Nie wszystko jeszcze rozumiem — powiedział. — Pani siostra jest zamężna?

— Wzięła ślub potajemnie jako siedemnastoletnia dziewczyna — wyjaśniła pani Honeycott lakonicznie. — Z jakimś prostakiem, stojącym o wiele niżej od niej. A nasz ojciec był pastorem. To była hańba. Potem zostawiła męża i trafiła na scenę. Aktorstwo! Nigdy w życiu nie byłam w teatrze. Nie mam nic wspólnego z tym zepsuciem. A teraz, po tylu latach, chce się rozwieść z tym człowiekiem. Wydaje mi się, że ma zamiar wyjść za mąż za jakąś grubą rybę. Ale jej mąż się uparł. Nie da się otumanić ani przekupić. Podziwiam go za to.

— Jak on się nazywa? — zapytał nagle Tommy.

— To nadzwyczajne, ale nie pamiętam! Wie pan, to już prawie dwadzieścia lat, odkąd słyszałam jego nazwisko. Mój ojciec nie pozwalał go głośno wymawiać, a ja też nie chciałam rozmawiać o tym z Gildą.

— Czy on przypadkiem nie nazywał się Reilly?

— Może i tak. Naprawdę nie pamiętam. Zupełnie mi wyleciało z głowy.

— Człowiek, o którym mówię, był tu przed chwilą.

— A, ten! Myślałam, że to jakiś obłąkany, który uciekł z zakładu. Byłam właśnie w kuchni i wydawałam Ellen dyspozycje. Weszłam z powrotem do tego pokoju i zastanawiałam się, czy Gilda już wróciła (ona ma zapasowy klucz) i wtedy ją usłyszałam. Zatrzymała się przez chwilę w hallu, a potem poszła na górę. W jakieś trzy minuty później rozległo się to okropne walenie do drzwi. Wyszłam do hallu i zobaczyłam, że jakiś obcy rudowłosy mężczyzna pobiegł na górę. Potem rozległ się tam krzyk i on zaraz znowu zbiegł i wypadł na zewnątrz jak wariat. Ładne rzeczy się tu dzieją.

Tommy wstał.

— Pani Honeycott, chodźmy natychmiast na górę. Obawiam się...

— Czego?

— Obawiam się, że nie ma pani w domu czerwonej farby.

Pani Honeycott spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Oczywiście, że nie.

— Właśnie to mnie niepokoi — odrzekł Tommy bardzo poważnie. — Proszę nas natychmiast zaprowadzić do pokoju pani siostry.

Pani Honeycott zamilkła i poszła przodem. W hallu zauważyli Ellen wycofującą się pośpiesznie do jednego z pokoi.

Na górze pani Honeycott otworzyła pierwsze drzwi. Tommy i Tuppence szli tuż za nią.

Naraz gospodyni cofnęła się, gwałtownie chwytając powietrze.

Na sofie leżała nieruchomo kobieta w gronostajach i czerni. Jej twarz, piękna, bezduszna twarz dużego, uspiętego dziecka, była nietknięta. Rana znajdowała się na skroni. Ciężkie uderzenie jakimś tępym narzędziem wgniotło czaszkę do środka. Krew powoli kapała na podłogę, ale rana już dawno przestała krwawić.

Tommy przyglądał się nieruchomej postaci z pobladłą twarzą.

— A więc jednak jej nie udusił — powiedział w końcu.

— Co to ma znaczyć? Kto? — zawołała pani Honeycott. — Czy ona nie żyje?

— Och, tak, pani Honeycott, ona nie żyje. Zamordowano ją. Zachodzi pytanie — kto to zrobił? Co prawda nie ma większych wątpliwości. Zabawne, ale pomimo jego krzyków nie wierzyłem, żeby był do tego zdolny.

Przerwał na chwilę, po czym zwrócił się stanowczo do Tuppence:

— Czy możesz wyjść i poszukać policjanta albo zadzwonić skądś na posterunek?

Tuppence skinęła głową. Ona także była bardzo blada. Tommy sprowadził panią Honeycott z powrotem na dół.

— Nie chciałbym, żeby zaszła tu jakaś pomyłka — powiedział. — Czy wie pani, która była dokładnie godzina, gdy pani siostra weszła do domu?

— Tak — odrzekła kobieta. — Bo właśnie przestawiałam zegar o pięć minut, tak, jak każdego wieczoru. Spóźnia się o pięć minut dziennie. Na moim zegarku było dokładnie osiem po szóstej, a on nigdy się nie spóźnia ani nie spieszy nawet o sekundę.

Tommy skinął głową. Wszystko zgadzało się doskonale z tym, co mówił policjant. Widział, jak kobieta w białym futrze wchodziła przez bramę. On i Tuppence dotarli w to samo miejsce mniej więcej trzy minuty później. Spojrzał wówczas na zegarek i zauważył, że byli minutę spóźnieni na spotkanie.

Istniała niewielka szansa, że ktoś mógł czekać na Gildę Glen w jej pokoju na górze. Ale gdyby tak było, ten ktoś nadal musiałby znajdować się w domu. Nikt stąd nie wyszedł oprócz Jamesa Reilly.

Tommy pobiegł na górę i szybko, lecz dokładnie przeszukał całe piętro. Nikt się nigdzie nie ukrywał. Zszedł na dół i porozmawiał z Ellen. Opowiedział jej, co się zdarzyło, cierpliwie przeczekał pierwsze lamente i inwokacje do świętych, a gdy wreszcie ucichły, zadał jej kilka pytań.

Czy ktoś przyszedł do domu po południu i pytał o pannę Glen? Nie, nikogo takiego nie było. Czy Ellen wchodziła na górę w ciągu popołudnia? Tak, weszła tam raz, by jak zwykle zaciągnąć zasłony — mogło to być kilka minut po szóstej. W każdym razie było to na chwilę przedtem, zanim ten wariat zaczął się dobijać do drzwi. I pomyśleć, że był to morderca o czarnym sercu.

Tommy nie pytał o nic więcej. Wciąż jednak czuł dziwne współczucie dla Reilly'ego i niechęć, by uwierzyć w najgorsze na jego temat. A jednak nikt inny nie mógł zamordować Gildy Glen. W domu nie było nikogo poza panią Honeycott i Ellen.

Usłyszał głosy w hallu. Wszedł i zobaczył Tuppence w towarzystwie policjanta z ulicy. Policjant wyjął notes i bardzo tępy ołówek, który oblizywał, starając się robić to niespostrzeżenie. Wszedł na górę i beznamiętnie przyjrzał się ofierze. Zauważył jedynie, że gdyby czegokolwiek dotknął, dostałoby mu się od inspektora. Wysłuchał histerycznego wybuchu pani Honeycott i jej chaotycznych

wyjaśnień. Od czasu do czasu coś notował. Jego obecność działała kojąco i łagodziła atmosferę.

W końcu wyszedł, by zatelefonować do komisariatu, i Tommy'emu udało się zostać z nim sam na sam na schodach przed domem.

— Niech pan posłucha — powiedział Tommy — mówił pan, że widział pan denatkę wchodzącą przez bramę. Czy jest pan pewien, że była sama?

— Tak, na pewno była sama. Nikogo z nią nie było.

— Czy nikt nie wychodził z bramy od tej chwili aż do momentu, gdy zobaczył pan nas?

— Ani żywej duszy.

— Widziałby pan, gdyby ktoś wychodził?

— Oczywiście, że tak. Nikt nie wychodził, aż dopiero ten zwariowany facet.

Stróż prawa przemieścił się godnie po schodach i przystanął przy białym słupku furtki, na którym odcisnięty był czerwony ślad ręki.

— To musiał być jakiś amator — powiedział ze współczuciem. — Żeby zostawić coś takiego!

Odwrócił się i wyszedł na ulicę.

W dzień po zbrodni Tommy i Tuppence nadal znajdowali się w Grand Hotelu, Tommy jednak uznał za właściwe porzucić kościelne przebranie.

James Reilly został odnaleziony i zatrzymany. Jego adwokat, pan Marvell, zakończył właśnie długą rozmowę z Tommym na temat zbrodni.

— Nigdy bym nie uwierzył, że James Reilly mógł zrobić coś takiego — powiedział po prostu. — Zawsze był gwałtowny w słowach, ale nic poza tym.

Tommy skinął głową.

— Jeśli ktoś traci energię na gadanie, nie zostaje jej zbyt wiele na działanie. Zdaję sobie sprawę, że będę jednym z głównych świadków przeciwko niemu. Szczególnie niebezpieczna była ta rozmowa, którą odbył ze mną tuż przed popełnieniem zbrodni. A mimo wszystko lubię go i gdyby był jakiś inny podejrzany, gotów byłbym uwierzyć, że Reilly jest niewinny. Co on sam mówi?

Adwokat zacisnął usta.

— Powiedział, że gdy ją zobaczył, leżała już martwa. Ale to jest oczywiście niemożliwe. Powiedział pierwsze kłamstwo, jakie mu przyszło do głowy.

— Bo gdyby się okazało, że mówi prawdę, oznaczałoby to, że zbrodnię popełniła ta gadatliwa pani Honeycott — a to jest zupełnie nieprawdopodobne. Tak, to on musiał zrobić.

— Niech pan nie zapomina, że pokojówka słyszała jej krzyk.

— Pokojówka — tak...

Tommy milczał przez chwilę, po czym powiedział z wahaniem:

— Jacy my wszyscy jesteśmy w gruncie rzeczy łatwowierni. Wierzimy w dowody, jakby to była prawda objawiona. A czym one są naprawdę? Tylko wrażeniem dostarczonym do mózgu przez zmysły. A jeśli te wrażenia są mylne?

Prawnik wzruszył ramionami.

— Och, wszyscy wiemy, że zdarzają się niewiarygodni świadkowie, tacy, którzy w miarę upływu czasu przypominają sobie coraz więcej, chociaż nie mają zamiaru umyślnie wprowadzać w błąd.

— Nie tylko o tym myślałem. Chodzi mi o nas wszystkich. Mówimy rzeczy, które nie są prawdą, nie mając pojęcia, że tak właśnie robimy. Na przykład my obaj, bez wątplenia, powiedzieliśmy kiedyś: „przyszedł listonosz”, mając na myśli tylko to, że usłyszeliśmy dwukrotne pukanie do drzwi i

stuknięcie skrzynki na listy. W dziewięciu wypadkach na dziesięć mieliśmy rację i to był listonosz, ale możliwe, że za dziesiątym razem mógł to być tylko jakiś dzieciak, który chciał nam zrobić kawał. Rozumie pan, o co mi chodzi?

— Ta—ak — powiedział pan Marvell powoli. — Ale nie rozumiem, do czego pan zmierza?

— Nie widzi pan tego? Ja też nie jestem zupełnie pewien, czy rozumiem. Ale zaczyna mi się przejaśniać w głowie. To tak jak z kijem, Tuppence. Pamiętasz? Jeden koniec wskazuje w jedną stronę, ale drugi zawsze wskazuje w przeciwną. Wszystko zależy od tego, czy trzymasz za właściwy koniec. Drzwi otwierają się, ale także zamykają. Ludzie wchodzi po schodach na górę, ale także schodzą na dół. Pudełka się zamykają, ale także otwierają.

— O czym ty właściwie mówisz? — zapytała Tuppence.

— Naprawdę, to jest dziecinnie łatwe — odrzekł Tommy. — A jednak dopiero teraz przyszło mi to do głowy. Skąd wiesz, że ktoś wszedł do domu? Słyszysz, że drzwi się otwierają i zamykają, i jeśli akurat spodziewasz się kogoś, będziesz całkiem pewna, że to właśnie ta osoba. Ale równie dobrze mógł to być ktoś, kto wychodził.

— Przecież panna Glen nie wychodziła z domu?

— Nie, wiemy, że ona nie wychodziła. Ale wyszedł ktoś inny — morderca.

— W takim razie, jak ona weszła do środka?

— Weszła wtedy, gdy pani Honeycott rozmawiała z Ellen w kuchni. Nie usłyszały jej. Pani Honeycott wróciła do bawialni zastanawiając się, czy jej siostra już wróciła, i zaczęła przestawiać zegar, i wtedy, jak sądziła, usłyszała siostrę wchodzącą do domu i na górę.

— A co to było? Kto wchodził na górę?

— To była Ellen, która poszła zaciągnąć zasłony. Pamiętasz, pani Honeycott powiedziała, że jej siostra zatrzymała się na chwilę na dole, zanim weszła po schodach. Ta przerwa to był akurat czas, jakiego Ellen potrzebowała, by przejść z kuchni do hallu. Minęła się z mordercą o sekundy.

— Ależ, Tommy — zawołała Tuppence. — A ten okrzyk?

— To krzyczał James Reilly. Czy zauważyłaś, że ma bardzo wysoki głos? W chwilach wielkiego napięcia mężczyźni często krzyczą jak kobiety.

— A morderca? Przecież widzielibyśmy go?

— Bo też go widzieliśmy. Nawet staliśmy rozmawiając z nim. Czy pamiętasz, że policjant pojawił się niespodziewanie? To dlatego, że wyszedł z bramy w chwilę po tym, jak mgła na środku ulicy roziała się. Podskoczyliśmy z wrażenia, pamiętasz? W końcu policjanci są takimi samymi ludźmi, jak wszyscy, chociaż często o tym zapominamy. Kochają i nienawidzą. Żenią się...

— Myślę, że Gilda Glen niespodziewanie spotkała swego męża tuż przed bramą i zaprosiła go do środka, żeby wyjaśnić sprawę. Pamiętaj, że on nie folgował sobie w słowach, jak Reilly. Po prostu zrobiło mu się czerwono przed oczami — i miał pod ręką policyjną pałkę...

Rozdział trzynasty

Szeleszcz

— Tuppence — powiedział Tommy — będziemy musieli poszukać sobie o wiele większego biura.

— Bzdura — odrzekła żona. — Nie możemy dopuścić do tego, żeby woda sodowa uderzyła nam do głowy i żeby zaczęło nam się wydawać, że jesteśmy milionerami tylko dlatego, że dzięki głupiemu szczęściu udało ci się rozwiązać parę tajemnic za trzy grosze. .

— To, co jedni uważają za szczęście, inni nazywają umiejętnościami.

— Jeśli naprawdę ci się wydaje, że jesteś Sherlockiem Holmesem, Thorndyke'em, McCartym i braćmi Okewood w jednej osobie, to oczywiście nie mam nic więcej do powiedzenia. Osobiście jednak wolałabym mieć po swojej stronie szczęście niż wszystkie umiejętności świata.

— Może coś w tym jest — zgodził się Tommy. — Mimo wszystko potrzebne jest nam większe biuro.

— Po co?

— Klasycy — wyjaśnił Tommy. — Jeśli Edgar Wallace ma być właściwie reprezentowany, to potrzebujemy dodatkowych kilkuset jardów półek.

— Nie mieliśmy jeszcze sprawy w stylu Edgara Wallace'a.

— Obawiam się, że nigdy nie będziemy mieli — zasmucił się Tommy. — Zauważ, że on nigdy nie daje wielkich szans detektywom—amatorom. Wyłącznie czysta robota Scotland Yardu, żadnych półprofesjonalnych podróbek.

W drzwiach pojawił się Albert.

— Inspektor Marriot chce się z panem zobaczyć — oznajmił.

— Tajemniczy człowiek ze Scotland Yardu — mruknął Tommy.

— Najbardziej ciekawski ze wszystkich Ciekawskich — zgodziła się Tuppence. — Czy też ze wszystkich Szperaczy? Zawsze mi się mylą Ciekawscy ze Szperaczami.

Inspektor powitał ich promiennym uśmiechem.

— Co słychać? — zapytał z ożywieniem. — Nie przestraszyła was nasza ostatnia przygoda?

— Och, nie bardzo — odparła Tuppence. — Było wspaniale, prawda?

— Hm, nie jestem pewny, czy sam użyłbym akurat tego słowa — odrzekł Marriot ostrożnie.

— Co pana tu dzisiaj sprowadza? — zapytał Tommy. — Chyba nie tylko współczucie dla naszych systemów nerwowych, prawda?

— Nie — zgodził się inspektor. — Mam pracę dla błyskotliwego pana Blunta.

— Ha! — zawołał Tommy. — Niech przyjmę mój najbardziej błyskotliwy wyraz twarzy.

— Przyszedłem, żeby przedstawić panu pewną propozycję, panie Beresford. Jak się pan zapatruje na osaczenie naprawdę dużego gangu?

— Czy coś takiego w ogóle istnieje? — zapytał Tommy.

— Co pan ma na myśli?

— Zawsze myślałem, że gangi występują tylko w literaturze pięknej, tak samo jak superprzestępcy i niezwykle uzdolnieni włamywacze.

— Niezwykle uzdolnieni włamywacze nie trafiają się zbyt często — zgodził się inspektor. — Ale, mój Boże, dokoła aż roi się od gangów.

— Nie wiem, czy rozprawianie się z gangami jest moją najmocniejszą stroną — powiedział Tommy.

— Amatorska zbrodnia, przestępstwo w spokojnym życiu rodzinnym — pochlebiam sobie, że w tych sprawach świecę pełnym blaskiem. To jest to, szczególnie, gdy Tuppence znajduje się pod ręką i dostarcza mi wszelkich kobiecych szczegółów, które są takie ważne, a które gruboskórnemu mężczyźnie łatwo przeoczyć.

Tuppence rzuciła w niego poduszką, przerywając potok wymowy męża i zażądała, by przestał opowiadać bzdury.

— Tęsknicie do odrobiny rozrywki, prawda? — powiedział inspektor Marriot, uśmiechając się do nich po ojcowsku. — Mam nadzieję, że nie obrazicie się, jeśli powiem, że miło jest popatrzeć na dwoje młodych ludzi, którzy potrafią się cieszyć życiem, tak jak wy.

Tuppence otworzyła oczy bardzo szeroko.

— Czy my cieszymy się życiem? Chyba tak, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— Wracając do tego gangu, o którym pan mówił — powiedział Tommy. — Mimo że prowadzę rozległą praktykę wśród księżnych, milionerów i wszystkich najwybitniejszych sprzątaczek, mógłbym, być może, pójść na ustępstwo i przyjrzeć się pańskiej sprawie. Nie lubię patrzeć na porażki Scotland Yardu. Zanim zdąży się pan zorientować, na czym pan stoi, „Daily Mail” już depcze panu po piętach.

Inspektor przysunął swoje krzesło bliżej.

— Jak już wspomniałem, czeka was nieco rozrywki. Sprawa wygląda następująco. Ostatnio pojawiły się na rynku fałszywe banknoty w dużych ilościach. Są ich setki! Bylibyście zdumieni, gdybyście wiedzieli, ile banknotów spośród wszystkich krążących w obiegu jest sfalszowanych. Świetna, wręcz artystyczna robota. Oto jeden z nich.

Wyjął z kieszeni banknot jednofuntowy i podał go Tommy'emu.

— Wygląda jak prawdziwy, zgadza się pan? Tommy przyjrzał się banknotowi z wielkim zainteresowaniem.

— Na Boga, nigdy bym nie zauważył, że coś tu jest nie tak.

— Podobnie jak większość ludzi. A oto prawdziwy banknot. Pokażę wam różnice. Są bardzo niewielkie, ale wkrótce nauczycie się je rozpoznawać. Proszę wziąć szkło powiększające.

Po kilku minutach szkolenia Tommy i Tuppence byli już ekspertami w tej dziedzinie.

— Czego pan od nas oczekuje, inspektorze? — zapytała Tuppence. — Czy mamy po prostu mieć oczy otwarte na te rzeczy?

— O wiele więcej, pani Beresford. Pokładam w was zaufanie, że dotrzecie do korzeni tej sprawy. Widzicie, odkryliśmy, że te banknoty pochodzą z East Endu. Rozprowadza je ktoś dosyć wysoko postawiony w hierarchii społecznej. Przechodzą także na drugą stronę Kanału. Jest pewna osoba, która bardzo nas interesuje. Niejaki major Laidlaw — słyszeliście to nazwisko?

— Chyba słyszałem — odrzekł Tommy. — On ma coś wspólnego z wyścigami konnymi, prawda?

— Tak. Major Laidlaw jest dosyć dobrze znany na wyścigach. Nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów, ale ogólne wrażenie jest takie, że okazał się zbyt przenikliwy w kilku mrocznych transakcjach. Wtajemniczone osoby robią dziwne miny, gdy słyszą jego nazwisko. Nikt nie zna dobrze jego przeszłości ani nie wie, skąd pochodzi. Ma bardzo atrakcyjną żonę, Francuzkę, która wszędzie pokazuje się z orszakiem wielbicieli. Laidlawowie wydają bardzo dużo pieniędzy, i chciałbym się dowiedzieć, skąd te pieniądze pochodzą.

— Może od orszaku wielbicieli — zasugerował Tommy.

— Tak się powszechnie uważa. Ale ja nie jestem tego taki pewien. Może to przypadek, ale sporo banknotów wychodzi z pewnego niewielkiego, bardzo inteligentnie prowadzonego salonu hazardu, w którym Laidlawowie często bywają wraz z kręgiem swoich znajomych. Wyścigi i hazard pozwalają pozbyć się dużej ilości drobnych banknotów. Nie ma lepszego sposobu, by wprowadzić je do obiegu.

— A co my mamy zrobić?

— Młody St Vincent i jego żona są waszymi przyjaciółmi, prawda? Są także blisko z kręgiem Laidlawów — chociaż nie tak blisko, jak kiedyś. Przez nich będzie wam łatwo wejść w to

środowisko w sposób, o jakim nie mógłby —nawet marzyć żaden z naszych ludzi. Prawdopodobieństwo, że was zdemaskują, jest żadne. To idealna możliwość.

— Czego dokładnie mamy się dowiedzieć?

— Skąd biorą te banknoty, jeśli to oni je rozprowadzają.

— Rozumiem — powiedział Tommy. — Major Laidlaw wychodzi z pustą walizką. Gdy wraca, walizka po brzegi wypchana jest banknotami. Jak on to robi? Ja go śledzę i dowiaduję się. O to chodzi?

— Mniej więcej. Ale nie lekceważcie jego żony i jej ojca, pana Heroulade. Pamiętajcie, że banknoty są rozprowadzane po obu stronach Kanału.

— Drogi panie Marriot — powiedział Tommy pouczająco — Błyskotliwi Detektywi Blunta nie znają słowa: zlekceważyć.

Inspektor podniósł się.

— Cóż, życzę wam szczęścia — powiedział i wyszedł.

— Podróbki — odezwała się Tuppence z entuzjazmem.

— Co? — zapytał zaskoczony Tommy.

— Fałszywe pieniądze — wyjaśniła Tuppence. — Tak się je nazywa: podróbki. Wiem. Och, Tommy, mamy sprawę w stylu Edgara Wallace'a. W końcu zostaliśmy szpiegami.

— A tak — Tommy był zadowolony. — Dostaniemy w ręce pana Szeleszcza i rozprawimy się z nim na dobre.

— Powiedziałaś: Leszcza czy Szeleszcza?

— Szeleszcza.

— A co to jest?

— Nowe słowo, które właśnie stworzyłem. Oznacza osobę, która wprowadza do obiegu fałszywe banknoty. Banknoty szeleszczą, dlatego on nazywa się Szeleszcz. Najprostsza rzecz na świecie.

— Dobry pomysł — odrzekła Tuppence. — Uwiarygodnia całą sprawę. Ale mnie bardziej podoba się Szczupak. Brzmi o wiele bardziej sugestywnie i złowrogo.

— Nie — sprzeciwił się Tommy. — Ja pierwszy wymyśliłem Szeleszcza i będę się tego trzymał.

— Chyba podoba mi się ta sprawa — powiedziała Tuppence. — Będzie w niej dużo nocnych klubów i koktajli. Kupię sobie jutro czarny tusz do rzęs.

— Twoje rzęsy i tak są czarne — zaoponował mąż.

— Mogłyby być czarniejsze. Przydałaby mi się także karminowa szminka. Taka okropnie jaskrawa.

— W głębi duszy jesteś prawdziwym demonem nocnego życia, Tuppence. Jak to dobrze, że wyszłaś za mąż za trzeźwo myślącego, poważnego mężczyznę w średnim wieku, takiego jak ja.

— Poczekaj tylko — odparła Tuppence. — Gdy pochodzimy trochę do Python Clubu, przestaniesz być taki trzeźwy.

Tommy wyjął z szafy kilka butelek, dwie szklanki i mikser do koktajli.

— Zacznijmy od razu — powiedział. — Jesteśmy na twoim tropie, Szeleszczu, i mamy zamiar cię dostać.

Rozdział czternasty

Szeleszcz (dokończenie)

Zawarcie znajomości z małżeństwem Laidlawów nie przedstawiało żadnych trudności. Tommy i Tuppence, młodzi, dobrze ubrani, chętni do poznawania życia i wyraźnie z pieniędzmi do stracenia, szybko weszli w krąg osób, wśród których toczyło się życie majora i jego żony.

Major Laidlaw, typowy Anglik był wysokim, jasnowłosym mężczyzną, prowadzącym zdrowy, sportowy tryb życia. Pewien dysonans w tym korzystnym wrażeniu stanowiły pionowe linie zmarszczek na czole i szybkie spojrzenia, jakie od czasu do czasu rzucał na boki. Jedno i drugie zupełnie nie pasowało do typu postaci, za jaki major pragnął uchodzić.

Był zapalonym graczem w karty i Tommy zauważył, że gdy gra szła o wysoką stawkę, major rzadko wstawał od stolika pokonany.

Marguerite Laidlaw była osobą zupełnie innego pokroju. Miała mnóstwo uroku, szczupłą sylwetkę leśnej nimfy i twarz z obrazu Greuze'a. Delikatnie łamana angielszczyzna jaką się posługiwała, fascynowała mężczyzn i Tommy nie dziwił się, że byli jej niewolnikami. Sam natychmiast stał się faworytem nimfy i trzymając się swojej roli, pozwolił się włączyć do orszaku wielbicieli.

— Mój Tommii — mawiała — ależ absolutnie nigdzie się nie ruszę bez mojego Tommii. Jego włosy mają kolor zachodzącego słońca, prawda?

Ojciec Marguerite był postacią o wiele mniej pociągającą. Bardzo poprawny i sztywny w zachowaniu, miał przenikliwe oczy i małą czarną bródkę.

Tuppence pierwsza poczyniła postępy. Pokazała Tommy'emu dziesięć banknotów jednofuntowych.

— Spójrz na to. Są fałszywe, prawda? Tommy obejrzał banknoty i potwierdził.

— Skąd je masz?

— Od tego chłopca, Jimmy'ego Faulkenera. Dostał je od Marguerite Laidlaw. Kazała mu je postawić na konia. Powiedziałam, że potrzebuję drobnych i dałam mu dziesiątkę.

— Wszystkie są nowiutkie — powiedział Tommy w zamyśleniu. — Nie mogły przejść przez wiele rąk. Sądzę, że młody Faulkener nie ma z tym nic wspólnego?

— Jimmy? Och, to kochany chłopiec. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłam.

— Zauważyłem — głos Tommy'ego brzmiał zimno. — Czy naprawdę uważasz, że to konieczne?

— Och, tu nie chodzi o interesy — odrzekła Tuppence pogodnie. — To dla przyjemności. To taki miły chłopiec. Cieszę się, że mogę go wyrwać ze szponów tej kobiety. Nie masz pojęcia, ile pieniędzy już na nią stracił.

— Wydaje mi się, że wpadłaś mu w oko, Tuppence.

— Mnie też się tak czasem wydaje. Miło się przekonać, że jestem nadal młoda i atrakcyjna, prawda?

— Tuppence, twój poziom moralny jest żenująco niski. Przyjmujesz niewłaściwy punkt widzenia.

— Nie bawiłam się tak świetnie od lat — odrzekła Tuppence bezwstydnie. — A poza tym, co z tobą? Czy ja cię w ogóle teraz widuję? Przez cały czas grasz rolę maskotki Marguerite Laidlaw.

— Względy profesjonalne — odparł Tommy zwięźle.

— Ale ona jest atrakcyjna, prawda?

— : Nie w moim typie. Nie darzę jej uwielbieniem.

— Kłamiesz — zaśmiała się Tuppence. — Ale zawsze uważałam, że lepiej mieć za męża kłamcę niż durnia.

— Przypuszczam, że mąż nie musi być koniecznie jednym z tych dwóch? — zapytał Tommy. Tuppence jednak tylko spojrzała na niego z politowaniem i odeszła.

W orszaku wielbicieli pani Laidlaw znajdował się między innymi Hank Ryder, dżentelmen o niewybujalnym intelekcie, lecz niezmiernie bogaty. Pochodził z Alabamy i od pierwszej chwili uznał Tommy'ego za przyjaciela i powiernika.

— To cudowna kobieta, proszę pana — powiedział, wodząc za piękną Marguerite zachwyconym wzrokiem. — Cała zrobiona z cywilizacji. Nie da się przebić *la gaie France*, prawda? Przy niej czuję się, jakbym był jednym z pierwszych eksperymentów Wszechmogącego. Zdaje się, że musiał sobie trochę wprawić rękę, zanim udało mu się zrobić coś tak ślicznego, jak ta kobieta. Tommy uprzejmie zgodził się z tymi zachwytemi. Pan Ryder nie ustawał w wynurzeniach.

— Aż serce boli, że takie piękne stworzenie ma kłopoty z pieniędzmi.

— A ma? — zapytał Tommy.

— A jakże, i jeszcze jakie. Dziwny jest ten pan Laidlaw. Ona się go boi. Mówiła mi. Nie ma śmiałości powiedzieć mu o kilku drobnych rachunkach.

— Czy te rachunki rzeczywiście są drobne?

— No, dla mnie drobne! W końcu kobieta musi się w coś ubierać, a zdaje się, że im mniejsze są te szmatki, tym więcej kosztują. Taka ładna kobieta nie może przecież chodzić w zeszlórocznych

sukienkach! A karty? Biedactwo nie ma szczęścia w kartach. Wczoraj wieczorem wygrałem od niej pięćdziesiąt funtów.

— Jimmy Faulkener przegrał do niej dwieście poprzedniego dnia — zauważył Tommy sucho.

— Naprawdę? To sprawia mi pewną ulgę. A tak przy okazji, zdaje się, że teraz w waszym kraju krąży dużo fałszywych pieniędzy. Dziś rano zaniósłem do banku cały plik banknotów i ten uprzejmy człowiek w okienku powiedział mi, że dwadzieścia pięć z nich jest złych.

— To dosyć dużo. Czy wyglądały na nowe?

— Nowiutkie, jakby prosto z fabryki. Zdaje mi się, że to te, którymi zapłaciła mi pani Laidlaw. Ciekawe, skąd je wzięła. Pewnie od któregoś z tych gości na torze wyścigowym.

— Tak — powiedział Tommy. — Bardzo możliwe.

— Wie pan, panie Beresford, takie towarzystwo to dla mnie zupełna nowość. Wszystkie te piękne damy i cała reszta. Ja się dorobiłem dopiero niedawno. Przyjechałem do Europy, żeby zobaczyć życie.

Tommy skinął głową i pomyślał, że przy pomocy Marguerite Laidlaw pan Ryder prawdopodobnie zobaczy dosyć dużo życia, za cenę zapewne słoną.

Na razie rozmowa była drugim dowodem, że fałszywe banknoty są rozprowadzane gdzieś w zasięgu ręki i jest bardzo prawdopodobne, iż Marguerite Laidlaw macza w tym palce.

Następnego wieczoru sam uzyskał na to dowód.

Zdarzyło się to w niewielkim klubie hazardu, o którym wspominał inspektor Marnot. Był tam parkiet taneczny, ale najważniejsza część lokalu mieściła się za potężnymi rozsuwanymi drzwiami. Znajdowały się tam dwie salki ze stołami pokrytymi zielonym filcem, przy których każdego wieczoru wielkie sumy pieniędzy przechodziły z rąk do rąk.

Marguerite Laidlaw w końcu podniosła się do wyjścia i wrzuciła Tommy'emu w ręce plik drobnych banknotów.

— One są takie nieporęczne, Tommii — zamienisz je, tak? Zobacz, mam taką malutką torebeczkę, rozepchają ją niemożliwie.

Tommy przyniósł jej banknot stu funtowy, o który prosiła, a następnie w ustronnym miejscu obejrzał banknoty otrzymane od pięknej majorowej. Co najmniej czwarta część była fałszywa.

Skąd jednak pochodziły? Na to pytanie jeszcze nie potrafił odpowiedzieć. Dzięki współpracy Alberta był prawie pewien, że to nie major Laidlaw jest ich źródłem. Major bowiem przez cały czas znajdował się pod obserwacją, która nie przyniosła żadnych rezultatów.

Tommy podejrzewał ojca Marguerite, posępnego pana Heroulade, który często jeździł do Francji i

z powrotem. Bez żadnych problemów mógłby przetrzymać banknoty w walizce z podwójnym dnem lub czymś w tym rodzaju.

Pewnego dnia szedł powoli w stronę klubu, zastanawiając się nad tym wszystkim, gdy nagle coś wyrwało go z rozmyślań. Na ulicy stał pan Hank Ryder. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest zupełnie trzeźwy. W tej chwili właśnie usiłował powiesić kapelusz na chłodnicy samochodu, ale za każdym razem trafiał o kilka cali w bok.

— Ten cholerny wieszak, ten cholerny wiesz-szak — powtarzał płaczliwym głosem. — Nie ma to jak w S-Stanach. Można sobie powiesić kapelusz co wieczór... tak, prosz-szę pana, co wieczór. Ma pan na głowie dwa kapelusze. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś nosił dwa kapelusze. To pewno przez ten klimat.

— Może mam też dwie głowy — podsunął Tommy poważnie.

— A tak, ma pan — zgodził się pan Ryder. — To dziwne. Z-zdumiewająca rzecz. Napijmy się. Prohibicja... prohi-bicja... to mnie załatwiło. Zdaje się, że jestem pijany, pijany jak bela. Koktajle... pomieszałem... Pocałunek Anioła... to znaczy Marguerite. Śliczne stworzenie, i ona też mnie lubi. Koński Kark, dwa martini, trzy Drogi do Upadku... nie, Drogi do Przebycia... wszystko pomieszałem, w kuflu do piwa. Ale ja bym nigdy... powiedziałem, do diabła, powiedziałem... Tommy przerwał mu.

— W porządku. Może teraz poszedłby pan do domu?

— Nie mam dokąd pójść — zaszlochał pan Ryder żałościwie.

— W jakim hotelu pan mieszka? — zapytał Tommy.

— Nie mogę iść do domu — upierał się pan Ryder. — Sz-szukanie skarbów. Świetna zabawa. Ona tak robiła. Whitechapel. Białe serce, białe głowy i smutek aż do grobu...

Pan Ryder wyprostował się z godnością i w niespodziewanie cudowny sposób odzyskał płynność mowy.

— Mówię panu, młody człowieku. Margee mnie zabrała. Samochodem. Szukać skarbów. Cała angielska arystokracja tak robi. Pod kamieniem. Pięćset funtów. Poważny pomysł, to poważny pomysł. Mówię panu, młodzieńcze. Pan był dla mnie miły. Mówię panu dla pańskiego dobra, proszę pana, bo życzę panu jak najlepiej. My w Ameryce...

Tommy znów przerwał, tym razem już zupełnie bezceremonialnie.

— Co pan mówi? Pani Laidlaw zabrała pana samochodem?

— Amerykanin skinął głową ze śmiertelną powagą.

— Do Whitechapel? Znów skinienie.

— I znaleźliście tam pięćset funtów?

Pan Ryder usiłował coś powiedzieć.

— O—ona znalazła — odrzekł z wysiłkiem. — Z—zostawiła mnie na zewnątrz. Z—za drzwiami. Zawsze zostawiają mnie z—za drzwiami. T—to trochę smutne. Za drzwiami, zawsze za drzwiami.

— Trafiłby pan tam?

— Chyba tak. Hank Ryder nie traci głowy...

Tommy bez ceremonii pociągnął go za sobą. Odnalazł swój samochód tam, gdzie go zostawił i ruszyli na wschód. Chłodne powietrze otrzeźwiło pana Rydera. Na początku zdrzemnął się i osunął na ramię Tommy'ego, ale po chwili ocknął się, ożywiony i z przejaśnioną głową.

— Słuchaj, chłopcze, gdzie my jesteśmy? — zapytał.

— Whitechapel — odrzekł Tommy zwięźle. — Czy to tutaj był pan dzisiaj z panią Laidlaw?

— Wygląda jakby znajomo — przyznał pan Ryder, rozglądając się dokoła. — Zdaje mi się, że gdzieś tutaj skręcaliśmy w lewo. Tak, to tu. Ta ulica.

Tommy posłusznie skręcił. Pan Ryder podawał wskazówki.

— To tu. Jasne. Teraz na prawo. Ależ tu okropnie śmierdzi, co? Tak, za tym pubem na rogu. Trzeba objechać dokoła i zatrzymać się u wylotu tej małej alejki. Ale o co tu chodzi? Niech mi pan powie. Zostało tam jeszcze trochę tego dobra? Mamy zamiar ich przechytrzyć?

— Dokładnie tak — odrzekł Tommy. — Mamy zamiar ich przechytrzyć. Dobry żart, prawda?

— Rozgłoszę to na cały świat — zapewnił pan Ryder.

— Chociaż dalej nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi — dodał żałośnie.

Tommy wysiadł i pomógł panu Ryderowi wygramolić się z samochodu. Weszli w alejkę. Po lewej stronie rozciągał się rząd zniszczonych domów, w większości ustawionych frontem do alejki. Pan Ryder zatrzymał się przed jednym z nich.

— Ona tu weszła — oznajmił. — Jestem zupełnie pewien, że to były te drzwi.

— Wszystkie wyglądają jednakowo — zauważył Tommy. — Przypomina mi to bajkę o żołnierzu i księżniczce. Pamięta pan, narysowali tam krzyż na drzwiach, żeby je zaznaczyć. Może zrobimy to samo?

Śmiejąc się, wyciągnął z kieszeni kawałek kredy i nisko na drzwiach nakreślił krzyżyk. Podniósł głowę i spojrzał na niewyraźne kształty wysoko na murach. Jeden z nich właśnie wydawał z siebie mrozący krew w żyłach wrzask.

— Tu jest mnóstwo kotów — oznajmił pogodnie.

— Jaki jest plan? — zapytał pan Ryder. — Wejdziemy do środka?

— Tak, po podjęciu stosownych środków ostrożności — odrzekł Tommy.

Rozejrzał się po alejce i lekko popchnął drzwi. Ustąpiły. Otworzył je śmiało i zajrzał na ciemne podwórko.

Bezszelestnie wsunął się do środka. Pan Ryder postępował tuż za nim.

— Jezu — powiedział nagle, ktoś idzie alejką. I wymknął się na ulicę.

Tommy przez chwilę stał nieruchomo, ale nie słysząc żadnego dźwięku, ruszył dalej. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i błysnął płomieniem. Pozwoliło mu to dostrzec drogę przed sobą. Posunął się i spróbował otworzyć kolejne drzwi. Te także ustąpiły. Bardzo cicho otworzył je i wśliznął się do środka.

Przez chwilę stał w miejscu i nasłuchiwał, po czym znów pstryknął zapalniczkę. Wtedy, jak na umówiony sygnał, całe miejsce ożywiło się. Dwóch mężczyzn znalazło się przed nim, dwóch za nim. Powalili go na ziemię.

— Światło — mruknął jakiś głos.

Ktoś zapalił jaskrawy palnik gazowy. W jego blasku Tommy ujrzał wokół siebie krąg nieprzyjaznych twarzy. Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu i zatrzymał spojrzenie na kilku znajdujących się tam przedmiotach.

— Ach! — powiedział uprzejmym tonem. — Jeśli się nie mylę, właśnie tutaj znajduje się sztab fałszerzy pieniędzy.

— Zamknij gębę — mruknął jeden z mężczyzn. Za plecami Tommy'ego drzwi otworzyły się, zamknęły i rozległ się znajomy, jowialny głos:

— Mamy go, chłopcy. Udało się. Teraz, panie Ciekawski, muszę ci powiedzieć, że jesteś w poważnych kłopotach.

— Stare, dobre teksty — mruknął Tommy. — Jakże mnie to przeraża. Tak, jestem Tajemniczym Człowiekiem ze Scotland Yardu. Ależ to pan Hank Ryder! A to dopiero niespodzianka.

— Zdaje się, że naprawdę tak myślisz. Przez całe popołudnie pękałem ze śmiechu. Przyprowadziłem cię tu za rączkę, jak dziecko. A ty byłeś taki dumny ze swojej bystrości. No cóż, synku, od samego początku miałem cię na oku. Nie zaprzyjaźniłeś się z tymi ludźmi dla zdrowia. Pozwoliłem ci się przez chwilę pobawić, a gdy zacząłeś na serio podejrzewać piękną Marguerite, powiedziałem sobie: „Teraz nadeszła odpowiednia chwila, żeby go tam zaciągnąć”. Mam wrażenie, że twoi przyjaciele przez jakiś czas nie będą mieli od ciebie wiadomości.

— Czy macie zamiar mnie załatwić? Wydaje mi się, że tak to się nazywa? Macie coś do mnie, tak?

— Masz mocne nerwy, to ci trzeba przyznać. Nie, nie będziemy używać przemocy. Tylko, że tak powiem, ograniczymy ci trochę swobodę ruchów.

— Obawiam się, że stawiacie na niewłaściwego konia — odpowiedział Tommy. — Nie mam zamiaru pozwolić na ograniczenie mojej swobody ruchów, jak to nazwałeś.

Pan Ryder uśmiechnął się jowialnie. Na ulicy kot melancholijnie zamiauczał do księżyca.

— Liczysz na ten krzyżyk, który narysowałeś na drzwiach, tak? Na twoim miejscu pozbyłbym się złudzeń.

Bo ja znam tę bajkę, o której wspominałeś. Słyszałem ją, gdy byłem mały. Wróciłem na alejkę, żeby zagrać rolę psa z oczami wielkimi jak młyńskie kamienie. Gdybyś się tam teraz znalazł, zobaczyłbyś, że na wszystkich drzwiach przy tej ulicy są takie same krzyżyki. Tommy zwiesił głowę z rozpaczą.

— Myślałeś, że jesteś taki bystry, prawda? — zapytał pan Ryder.

W tej samej chwili rozległo się głośnie stukanie do drzwi. Ryder poderwał się na nogi.

— Co to takiego?

Jednocześnie ktoś zaczął napierać na frontowe drzwi domu. Ale tylne drzwi były o wiele mniej solidne. Zamek puścił od razu i we framudze pojawił się inspektor Marriot.

— Dobra robota, panie Marriot — powiedział Tommy. — Miał pan zupełną rację co do dzielnicy. Chciałbym panu przedstawić pana Hanka Rydera, który zna wszystkie najlepsze bajki.

— Widzi pan, panie Ryder — ciągnął łagodnym głosem — miałem pewne podejrzenia w stosunku do pana. Albert (ten chłopiec z ważną miną i z wielkimi uszami) dostał polecenie, żeby jechać za mną na motocyklu, gdybym kiedykolwiek wybrał się z panem na przejażdżkę. I podczas gdy ostentacyjnie rysowałem kredą krzyżyk na drzwiach, żeby zająć pańską uwagę, jednocześnie wylałem na ziemię buteleczkę kropli walerianowych. Okropnie śmierdzi, ale koty to uwielbiają. Gdy Albert przyjechał tu z policją, wszystkie koty z całej okolicy zebrały się już przed właściwym domem. Spojrzał z uśmiechem na osłupiałego Rydera i wstał.

— Powiedziałem, że cię dopadnę, Szeleszczu, i dotrzymałem słowa.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — zapytał Ryder.

— Co to jest szeleszcz?

— Znajdziesz to w indeksie najbliższego wydania słownika żargonu kryminalnego — powiedział Tommy.

— Etymologia wątpliwa.

Rozejrzał się dokoła z uszczęśliwionym uśmiechem.

— I wszystko zrobione bez pomocy fachowca — mruknął. — Dobranoc, Marriot. Muszę pośpieszyć tam, gdzie oczekuje mnie szczęśliwe zakończenie tej historii. Nie ma lepszej nagrody, niż miłość dobrej kobiety, a miłość dobrej kobiety czeka na mnie w domu — to znaczy, mam taką nadzieję, ale nigdy nie wiadomo. To było bardzo niebezpieczne zajęcie, inspektorze. Czy zna pan kapitana Jimmy’ego Faulkenera? Tańczy urzekająco, a co do jego gustu w koktajlach...! Tak, inspektorze Marriot, to była bardzo niebezpieczna sprawa.

Rozdział piętnasty

Tajemnica Sunningdale

— Czy wiesz, Tuppence, gdzie zjemy dzisiaj lunch? Pani Beresford zastanowiła się przed odpowiedzią.

— U Ritza? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Spróbuj jeszcze raz.

— W tej miłej restauracji w Soho?

— Nie. — Ton Tommy'ego zapowiadał coś poważnego. — W ABC. Właśnie tutaj.

Zręcznie pociągnął ją do drzwi baru i zaprowadził do narożnego stolika z marmurowym blatem.

— Znakomicie — powiedział z satysfakcją, gdy już usiedli. — Nie mogłoby być lepiej.

— Dlaczego tak nagle oszalałeś na punkcie prostego życia? — zdumiała się Tuppence.

— Patrzysz, Watsonie, ale nie widzisz. Zastanawiam się właśnie, czy któraś z tych niesympatycznych dam zniży się do tego, by nas zauważyć? Świetnie, już do nas zmierza. Co prawda wygląda, jakby myślała o czymś innym, ale niewątpliwie jej podświadomość nieustannie krąży wokół takich zagadnień, jak szynka, jajka i dzbanki z herbatą. Panienko, poproszę sznycel z frytkami, dużą kawę, bułkę z masłem i porcję zimnego ozora dla pani.

Kelnerka powtórzyła zamówienie lekceważącym tonem, ale Tuppence nagle pochyliła się do przodu i przerwała jej.

— Nie, bez sznycla i frytek. Ten pan zje drożdżówkę z serem i szklankę mleka.

— Drożdżówka i jedno mleko — powtórzyła kelnerka z jeszcze większym lekceważeniem, jeśli to w ogóle było możliwe, i nadal myśląc o czymś innym podryfowała w stronę lady.

— Nie prosiłem o to — rzekł Tommy oziębło.

— Ale zgadłam, prawda? Jesteś Starym Człowiekiem w Kącie? Gdzie twój sznurek?

Tommy wyciągnął z kieszeni długi, splątany kawałek sznurka i związał na nim kilka supełków.

— Zgodnie z najdrobniejszymi szczegółami — mruknął. ^

— Ale popełniłeś małą pomyłkę przy zamawianiu lunchu.

— Kobiety biorą wszystko zbyt dosłownie — odrzekł Tommy. — Najbardziej ze wszystkiego nienawidzę mleka, a drożdżówki z serem zawsze mają taki obrzydliwie żółty kolor.

— Bądź artystą — odrzekła Tuppence. — Podziwiał, jak będę atakować mój zimny ozór. Znakomita rzecz, zimny ozór. Dobrze, już jestem gotowa do przeistoczenia się w pannę Polly Burton. Zawiaż duży supeł i zacznaj.

— Po pierwsze — powiedział Tommy — zupełnie nieoficjalnie chciałbym zauważyć jedną rzecz. Ostatnio nie mamy zbyt wiele do roboty. Jeśli praca nie chce przyjść do nas, my sami musimy jej poszukać i zmierzyć nasze możliwości intelektualne z jedną z aktualnie największych publicznych zagadek. Mam na myśli tajemnicę Sunningdale.

— Ach! — zawołała Tuppence z wielkim zainteresowaniem. — Tajemnica Sunningdale!

Tommy wyjął z kieszeni pognieciony fragment gazety i położył go na stole.

— Oto najnowsza fotografia kapitana Sessle'a, którą zamieścił „Daily Leader”.

— Ach, tak. Dziwię się, że nikt jeszcze nie wytoczył tym gazetom żadnego procesu za takie ilustracje. Widać tu tylko tyle, że jest to mężczyzna.

— Gdy powiedziałem: tajemnica Sunningdale, powinienem był dodać: „tak zwana”. Być może jest to tajemnica dla policji, ale nie dla inteligentnego umysłu.

— Zawiaż następny węzełek — poradziła Tuppence.

— Nie wiem, jak dobrze pamiętasz fakty — ciągnął Tommy już ciszej.

— Pamiętam wszystkie, ale chciałabym je usłyszeć przedstawione twoim stylem.

— Zdarzyło się to nieco ponad trzy tygodnie temu, kiedy uczyniono to okropne odkrycie na słynnym polu golfowym. Dwaj członkowie klubu, którzy przyszli zagrać tego rana jako pierwsi, ku swemu przerażeniu odkryli ciało mężczyzny leżące twarzą w dół, niedaleko siódmego punktu startowego. Jeszcze zanim odwrócili ciało, odgadli, że jest to dobrze znany na polu golfowym kapitan Sessle, który do gry zawsze wkładał kurtkę w charakterystycznym, jaskrawobłękitnym kolorze. Kapitana Sessle'a często widywano na polu golfowym wcześniej rano, gdy przychodził poćwiczyć, i w pierwszej chwili mężczyźni pomyśleli, że dostał nagle ataku serca. Badanie lekarskie ujawniło jednak, że kapitan został zamordowany. Uderzono go w serce charakterystycznym przedmiotem — szpilką do kapelusza. Okazało się także, że nie żył już od co najmniej dwunastu godzin.

— To rzuciło na sprawę zupełnie nowe światło — ciągnął Tommy — i wkrótce wyszły na jaw bardzo interesujące fakty. Ostatnią osobą, która widziała kapitana Sessle'a przy życiu, był jego przyjaciel i partner w interesach, pan Hollaby z Porcupine Assurance Co, a historia opowiedziana przez niego brzmiała następująco:

— Tego dnia on i Sessle zegrali partię wcześniej niż zwykle. Po herbacie kapitan zaproponował jeszcze kilka dołków, zanim zupełnie się ściemni. Hollaby zgodził się. Sessle był w dobrym nastroju

i w znakomitej formie. Pole golfowe przecina ogólnie dostępna ścieżka i gdy dochodzili do szóstego pola, Hollaby zauważył nadchodzącą tamtędy kobietę. Była bardzo wysoka i ubrana na brązowo, ale nie zwrócił na nią uwagi i sądził, że Sessle w ogóle jej nie spostrzegł.

— Ścieżka przecinała pole przed siódmym punktem startowym — wyjaśniał Tommy. — Kobieta wyminęła to miejsce i stanęła nieco dalej, jakby na coś czekała. Kapitan Sessle pierwszy dotarł do tego punktu, gdyż pan Hollaby zajęty był wkładaniem szpilki na miejsce i gdy wreszcie dotarł do punktu startowego, ze zdziwieniem zauważył, że kobieta rozmawia z kapitanem. Zbliżył się do nich, ale wtedy obydwójce odwrócili się szybko i Sessle zawołał przez ramię: „Zaraz wrócę!” Oboje odeszli zgodnie, zajęci ożywioną rozmową. W tym miejscu ścieżka opuszcza pole golfowe i prowadzi pomiędzy wąskimi żywopłotami dwóch sąsiadujących ze sobą ogrodów ku drodze do Windlesham. Kapitan Sessle dotrzymał słowa i już po chwili pojawił się z powrotem, ku zadowoleniu Hollaby’ego, gdyż dwaj inni gracze już prawie ich doganiali, a poza tym szybko zapadał zmrok. Wznowili grę i Hollaby natychmiast zauważył, że stało się coś, co zdenerwowało jego partnera. Nie tylko psuł strzały, ale minę miał zmartwioną, a czoło mocno zmarszczone. Prawie nie odpowiadał na uwagi i zaczął grać okropnie. Najwyraźniej zdarzyło się coś, co zupełnie wytrąciło go z rytmu gry.

— Zagrali siódme i ósme pole, po czym kapitan Sessle powiedział nagle, że jest już za ciemno i idzie do domu. W tym miejscu znajduje się kolejna z tych wąskich drózek prowadzących do drogi ku Windlesham. Kapitan Sessle wszedł w ten przesmyk. Miał tędy blisko do domu. Mieszkał w niewielkim bungalowie przy tejże drodze. Dwaj pozostali gracze, major Barnard i pan Lecky, zbliżyli się i Hollaby w rozmowie z nimi wspominał o nagłej zmianie nastroju kapitana Sessle. Oni także widzieli go rozmawiającego z ubraną na brązowo kobietą, ale byli za daleko, by zobaczyć jej twarz. Wszyscy trzej mężczyźni zastanawiali się, co takiego mogła powiedzieć ta kobieta, co aż tak zdenerwowało ich przyjaciela.

— Wrócili razem do klubu. Mówiono wówczas, że to oni ostatni widzieli kapitana Sessle żywego. To była środa, a w środy sprzedawane są zniżkowe bilety do Londynu. Małżeństwo, które prowadziło dom kapitana, pojechało więc do miasta, jak to mieli w zwyczaju. Wrócili późno, wieczornym pociągiem, i weszli do domu niczego nie podejrzewając. Sądzili, że kapitan jest u siebie i już śpi. Pani Sessle, jego żona, wyjechała z wizytą.

— Przez dziewięć dni morderstwo kapitana było zagadką. Nikt nie potrafił znaleźć żadnego motywu. Przez cały czas bez rezultatów zastanawiano się, kim była ubrana na brązowo kobieta. Policję, jak zwykle, ganiono za opieszałość — jak czas pokazał, zupełnie niesprawiedliwie. Tydzień później bowiem zaarrestowano Doris Evans i oskarżono o zamordowanie kapitana Sessle’a.

— Policja miała bardzo niewiele dowodów. Kosmyk jasnych włosów zaciśniętych między palcami nieboszczyka i kilka nitki czerwonej wełny zaczepionych o jeden z guzików jego niebieskiej kurtki. Dokładne wypytywanie na stacji kolejowej i w innych miejscach przyniosło następujące wiadomości:

— Młoda dziewczyna ubrana w czerwony płaszcz i spódnicę przyjechała tego wieczoru do Sunningdale pociągiem o siódmej i pytała o drogę do domu kapitana Sessle’a. Ta sama dziewczyna znów pojawiła się na stacji mniej więcej dwie godziny później. Kapeluszek miała przekrzywiony,

włosy potargane i wydawało się, że jest bardzo zdenerwowana. Pytała o powrotne pociągi do miasta i przez cały czas spoglądała przez ramię, jakby się czegoś obawiała.

— Nasza policja jest pod wieloma względami znakomita. Mimo tych niejasnych informacji udało im się odnaleźć dziewczynę i zidentyfikować ją. Oskarżono ją o morderstwo i ostrzeżono, że wszystko, co powie, może być użyte przeciwko niej, ale ona mimo to uporczywie składała oświadczenie, które na kolejnych przesłuchaniach wielokrotnie powtarzała ze szczegółami i bez żadnych modyfikacji.

— Jej opowieść brzmiała następująco: Z zawodu była maszynistką i pewnego wieczoru w kinie poznała dobrze ubranego mężczyznę, który wyznał, że spodobała mu się. Powiedział, że ma na imię Anthony i zaprosił ją do swego domku w Sunningdale. Nie miała pojęcia, ani wtedy, ani później, że był żonaty. Umówili się, że dziewczyna przyjedzie do Sunningdale w najbliższą środę — pamiętaj, że to dzień, gdy służących nie było, a żona kapitana wyjechała. Na koniec podał jej swoje pełne nazwisko, Anthony Sessle, i adres.

— Przyjechała o umówionej porze. Sessle wyszedł na jej spotkanie z pola golfowego. Chociaż twierdził, że jest zachwycony, dziewczyna mówiła, że od samego początku zachowywał się dziwnie i inaczej niż poprzednio. Ogarnął ją lęk i pożałowała gorąco, że przyjechała.

— Po prostym posiłku, który już czekał przygotowany, Sessle zaproponował, żeby poszli na spacer. Poszli drogą i wzdłuż żywopłotów wyszli na tereny golfowe. A potem nagle, właśnie gdy przechodzili przez siódme pole, wydawało jej się, że jej towarzysz zupełnie oszalał. Wyciągnął z kieszeni rewolwer i wymachując nim w powietrzu krzyczał, że ma już dosyć tej męczarni. „Koniec ze mną! Jestem zrujnowany. Koniec ze wszystkim! A ty odejdziesz razem ze mną. Najpierw zastrzelę ciebie, a potem siebie. Rano znajdą tu nasze ciała leżące jedno obok drugiego. Będziemy razem w śmierci”.

— I tak dalej, i jeszcze o wiele więcej. Kapitan pochwycił Doris Evans za ramię, ona zaś, zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z szaleńcem, gorączkowo usiłowała się wyswobodzić, a gdy jej się to nie udawało, próbowała odebrać mu rewolwer. W trakcie tej szamotaniny Sessle musiał jej wyrwać kilka włosów i zahaczyć guzikiem o jej kostium. W końcu, resztką sił, udało jej się uwolnić i ile sił w nogach, uciekła przez pole golfowe. W każdej chwili spodziewała się, że dosięgnie ją kula z rewolweru. Dwa razy upadła, ale w końcu wydostała się na drogę prowadzącą na stację i zdała sobie sprawę, że nikt jej nie ściga.

— To jest historia, którą opowiedziała Doris Evans i której nie zmieniła w żadnym szczególe. Z całą mocą zaprzecza, by w samoobronie uderzyła go szpilką do kapelusza, co w tych okolicznościach byłoby przecież naturalne i co mogło się zdarzyć naprawdę. Za jej wersją przemawia fakt, że w krzakach niedaleko miejsca, gdzie leżało ciało, znaleziono rewolwer, z którego nie wystrzelono.

— Doris Evans znajduje się w tymczasowym areszcie, ale zagadka nadal pozostaje nie rozwiązana. Jeśli jej historia jest prawdziwa, to kto zabił kapitana Sessle’a? Ta druga kobieta, ubrana na brązowo, której pojawienie się tak go zdenerwowało? Do tej pory nikomu nie udało się wyjaśnić jej związku z tą sprawą. Wygląda na to, że spadła z nieba prosto na ścieżkę na polu golfowym, zniknęła wśród żywopłotów i nikt o niej więcej nie słyszał. Kim była? Mieszkanką

okolicy? Kimś z Londynu? Jeśli tak, czy przyjechała pociągiem, czy samochodem? Oprócz wysokiego wzrostu, nie miała żadnych cech szczególnych nikt nie jest w stanie opisać jej wyglądu. Nie mogła to być Doris Evans, niska i jasnowłosa, a co więcej, o tej porze dopiero przyjechała na stację.

— A żona? — zapytała Tuppence. — Co z żoną?

— Bardzo naturalna sugestia. Ale pani Sessle także jest niska, a poza tym pan Hollaby dobrze zna ją z widzenia i wydaje się, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, iż istotnie przebywała daleko od domu. Jeszcze jeden szczegół wyszedł na jaw. Porcupine Assurance Co znajduje się w stanie likwidacji. Kontrola wykazała niesłychanie wysokie sprzeniewierzenie funduszy. To bardzo dobrze wyjaśnia szalone słowa, jakie kapitan Sessle wypowiedział do Doris Evans. Przez kilka ostatnich lat musiał systematycznie defraudować pieniądze. Pan Hollaby ani jego syn nie mieli pojęcia o tym, co się działo. Są faktycznie zrujnowani. Tak więc sprawa przedstawia się następująco: kapitanowi Sessle'owi groziło wykrycie defraudacji i ruina. Naturalnym wyjściem byłoby samobójstwo, ale natura obrażeń wyklucza tę możliwość. Kto go zabił? Czy była to Doris Evans, czy też tajemnicza kobieta w brązowym stroju?

Tommy urwał, upił łyk mleka, skrzywił się z obrzydzeniem i ostrożnie nadgryzł drożdżówkę.

Rozdział szesnasty

Tajemnica Sunningdale (dokończenie)

— Oczywiście — mruknął Tommy — natychmiast zauważyłem, gdzie w tej sprawie jest haczyk i w którym miejscu policja błądzi.

— A w którym? — zapytała Tuppence ciekawie. Tommy potrząsnął głową ze smutkiem.

— Chciałbym to wiedzieć. Do pewnego momentu bardzo łatwo jest być Starym Człowiekiem w Kącie, który potrafi coś zauważyć. Ale rozwiązanie tej zagadki przekracza moje możliwości. Kto mógł go zamordować? Nie mam pojęcia.

Wyjął z kieszeni kilka wycinków z gazet.

— Kolejne eksponaty: pan Hollaby, jego syn, pani Sessle, Doris Evans.

Tuppence zatrzymała się nad ostatnią fotografią i patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

— Ona go i tak nie zamordowała — zauważyła w końcu. — Nie szpilką do kapelusza.

— Skąd ta pewność?

— Styl lady Molly. Ma włosy spięte w kok. Tylko jedna kobieta na dwadzieścia używa teraz szpilek do kapelusza, niezależnie od tego, czy ma włosy długie, czy krótkie. Kapelusze ciasno siedzą na głowie i nie ma potrzeby używać szpilek.

— Ale mogła mieć jedną przy sobie.

— Drogi chłopcze, nie nosimy ich w charakterze pamiątek rodzinnych! Po co, na Boga, miałyby przywozić szpilkę do Sunningdale?

— Więc to musiała być ta druga kobieta, ubrana na brązowo.

— Gdyby tylko nie była taka wysoka. Wtedy mogłaby to być jego żona. Zawsze podejrzewam żony, które w chwili morderstwa są gdzieś daleko, więc na pewno nie mogły mieć z tym nic wspólnego. Gdyby się dowiedziała, że jej mąż ma romans, byłoby całkiem naturalne, że zabiła go szpilką.

— Widzę, że będę musiał uważać —t— powiedział Tommy.

Tuppence jednak była głęboko pogrążona w zadumie i nie zareagowała.

— Jakie było to małżeństwo Sessle'ów? — zapytała nagle. — Co ludzie o nich mówią?

— O ile zdołałem się zorientować, raczej ich lubiano. Podobno Sessle i jego żona byli sobie bardzo oddani. Dlatego ta sprawa z dziewczyną jest taka dziwna. To ostatnia rzecz, jakiej można by się spodziewać po mężczyźnie w rodzaju Sessle'a. Pamiętaj, że był wojskowym. Dorobił się sporych pieniędzy, przeszedł na emeryturę i zajął się tym interesem ubezpieczeniowym. Z pozorów jest to ostatni mężczyzna na świecie, którego można by podejrzewać o popełnienie przestępstwa.

— Czy jest zupełnie pewne, że to on zdefraudował pieniądze? Czy nie mógł tego zrobić ten drugi?

— Hollaby? Powiedział przecież, że są zrujnowani.

— Och, powiedział! Może trzyma to wszystko w banku pod innym nazwiskiem. Wiem, że mówię głupio, ale wiesz, co mam na myśli. Mogli od jakiegoś czasu spekulować tymi pieniędzmi w tajemnicy przed Sessle'em i stracić wszystko. Byłoby to dla nich bardzo wygodne, że Sessle umarł właśnie teraz.

Tommy postukał paznokciem w fotografię starszego pana Hollaby.

— A więc oskarżasz tego szacownego dżentelmena o zamordowanie jego przyjaciela i współnika? Nie zapominaj, że rozstał się z Sesslem na polu golfowym na oczach Barnarda i Lecky'ego i spędził wieczór w Dormy House. Poza tym jest jeszcze ta szpilka.

— Co z tego — powiedziała Tuppence niecierpliwie. — Twoim zdaniem ta szpilka dowodzi, że zbrodni dokonała kobieta?

— Oczywiście. Nie zgadzasz się z tym?

— Nie. Mężczyźni zawsze są tacy staroświeccy. Potrzeba im stuleci, żeby się pozbyć raz wpojonych przekonań. Szpilki do włosów i do kapeluszy kojarzą im się z płcią żeńską i nazywają je „kobiecą bronią”. Może tak było kiedyś, ale teraz te rzeczy raczej wyszły z mody. Ja sama przez ostatnie cztery lata nie miałam szpilki do włosów ani do kapelusza.

— A więc myślisz...?

— Że to mężczyzna zabił Sessle'a. Szpilki użył po to, żeby wyglądało to na zbrodnię kobiecą.

— Jest coś w tym, co mówisz, Tuppence — powiedział Tommy powoli. — To niezwykle, ale gdy ty zaczynasz o czymś mówić, wiele spraw natychmiast się upraszcza.

Tuppence skinęła głową.

— Wszystko musi być logiczne, tylko trzeba spojrzeć na to pod właściwym kątem. I pamiętaj, co Marriot powiedział kiedyś o amatorskim punkcie widzenia: że jest w nim bliska znajomość realiów. Wiemy coś o ludziach takich, jak kapitan Sessle i jego żona. Wiemy, czego można się po nich spodziewać, a czego nie. I każde z nas ma swoją specjalną wiedzę.

Tommy uśmiechnął się.

— Chcesz powiedzieć, że ty jesteś autorytetem w tym, co mogą mieć przy sobie kobiety uczesane gładko i w kok, i że bliskie ci są uczucia i sposoby działania żon?

— Coś w tym rodzaju.

— A ja co? Jaka jest moja specjalna wiedza? Czy mężowie podrywają dziewczyny i tak dalej?

— Nie — odrzekła Tuppence poważnie. — Ty znasz pole golfowe. Byłeś tam nie jako detektyw, który szuka wskazówek, ale jako gracz. Znasz się na golfie i wiesz, co może gracza wyprowadzić z równowagi.

— Musiało to być coś poważnego, skoro Sessle zupełnie wypadł z rytmu. Zwykle jego słabym punktem było drugie pole, a mówią, że grał jak dziecko od siódmego.

— Kto tak mówił?

— Barnard i Lecky. Pamiętasz, grali tuż za nim.

— To było już po spotkaniu z tą kobietą — z tą wysoką, ubraną na brązowo. Widzieli, jak z nią rozmawiał, prawda?

— Tak — w każdym razie...

Tommy urwał. Tuppence spojrzała na niego ze zdziwieniem. Patrzył na trzymany w ręku kawałek sznurka, ale wyglądał jak człowiek, który widzi coś zupełnie innego.

— Tommy, co się stało?

— Cicho bądź, Tuppence. Gram właśnie do szóstego dołka w Sunningdale. Sessle i stary Hollaby są na szóstym polu przede mną. Zaczyna się ściemniać, ale dość wyraźnie widzę przed sobą tę jaskrawoniebieską kurtkę Sessle'a. Po mojej lewej stronie ścieżką zbliża się kobieta. Nie przyszła z pola dla pań, bo to jest po prawej. Zauważyłbym, gdyby szła stamtąd. I dziwne, że nie zauważyłem jej wcześniej na ścieżce — na przykład z piątego pola.

Zatrzymał się.

— Powiedziałaś przed chwilą, Tuppence, że znam to pole. Tuż za szóstym punktem wybicia znajduje się mała chatka czy też lepianka. Mógłby tam ktoś poczekać, aż... aż nadejdzie właściwa chwila. Można się tam przebrać. To znaczy... Tuppence, tu znowu potrzebna jest twoja specjalna wiedza. Powiedz mi, czy bardzo trudno byłoby mężczyźnie upodobnić się do kobiety, a potem znów wrócić do wyglądu męskiego? Czy mężczyzna mógłby na przykład włożyć spódnicę na pumpy?

— Oczywiście, że tak. Jako kobieta wyglądałby trochę przysadziście i to wszystko. Powiedzmy, długa brązowa spódnica, brązowy sweter tego rodzaju, jaki noszą zarówno mężczyźni, jak i kobiety, i filcowy damski kapelusz z doczepionymi po obu stronach puklami loków. To byłoby wszystko, czego by potrzebował — mówię, oczywiście, o ogólnym wrażeniu, o tym, co byłoby widać z daleka, ale wydaje mi się, że o to ci właśnie chodzi. Zdejmij spódnicę i kapelusz, włóż męską czapkę, którą

wcześniej możesz trzymać zwiniętą w dłoni, i już znówu jesteś mężczyzną.

— Ile czasu trzeba byłoby na to?

— Z kobiety na mężczyznę najwyżej półtorej minuty, prawdopodobnie nawet mniej. W drugą stronę trochę więcej, bo trzeba założyć kapelusz, poprawić loki, no i ciężko wciąga się spódnicę na pumpy.

— To mnie nie martwi, ważny jest czas na to pierwsze. Jak ci mówiłem, gram do szóstego dołka. Kobieta w brązowym jest teraz przy siódmym punkcie startowym. Przechodzi na drugą stronę i czeka. Sessle w swojej błękitnej kurtce podchodzi do niej. Przez chwilę stoją razem, a potem ruszają ścieżką i znikają za drzewami. Hollaby zostaje sam na polu. Mija kilka minut. Jestem teraz na polu. Człowiek w błękitnej kurtce wraca i podejmuje grę, okropnie partacząc. Ściemnia się coraz bardziej. Zbliżyliśmy się z moim partnerem do tamtych graczy. Obaj są przed nami. Sessle ścina, przestrzeliwuje i robi wszystko, czego nie powinien robić. Widzę, jak przy ósmym polu schodzi z pola i znika za żywopłotem. Co mu się stało, że naraz zaczął grać jak zupełnie kto inny?

— Kobieta w brązowym — albo mężczyzna, jeśli sądzisz, że to był mężczyzna.

— No właśnie. Miejsca, gdzie stali, nie było widać, pamiętaj, że ci dwaj z tyłu nie widzieli ich. Tak, tam jest wielka kępa krzaków. Można tam wrzucić ciało i mieć pewność, że nikt go nie zauważy aż do rana.

— Tommy! A więc myślisz, że to się stało wtedy! Ale ktoś by przecież usłyszał...

— Co usłyszał? Lekarze zgodzili się, że śmierć musiała nastąpić natychmiast. Widziałem na wojnie mężczyzn, którzy ginęli natychmiast. Zwykle nie krzyczą przy tym, tylko wydają charkot albo jęk, może to być nawet westchnienie albo lekki kaszel. Sessle podchodzi do siódmego punktu startowego. Kobieta zbliża się i rozmawia z nim. On, być może, rozpoznaje w niej przebranego mężczyznę, którego zna. Ciekaw jest, o co chodzi i czemu ma służyć to przebranie, i pozwala się odciągnąć poza zasięg wzroku. Jedno uderzenie śmiertelnościaną szpilką, gdy idą ścieżką. Sessle upada, martwy. Ten drugi wciąga jego ciało w krzaki, zdejmuje z niego błękitną kurtkę, a potem ściąga z siebie spódnicę, kapelusz i perukę. Wkłada znaną wszystkim błękitną kurtkę Sessle'a oraz czapkę i wraca na pole golfowe. Wystarczyłyby na to trzy minuty. Inni nie widzą jego twarzy, tylko kurtkę, której kolor dobrze znają. Nie mają wątpliwości, że to Sessle. Tylko, że ten człowiek nie gra w golfa tak jak kapitan. Wszyscy mówili, że grał jak inny człowiek. Oczywiście, że tak. Bo to był inny człowiek.

— Ale...

— Punkt drugi. Sprawa ze sprowadzeniem tam dziewczyny też była dziełem innego człowieka. To nie Sessle spotkał Doris Evans w kinie i namówił ją do przyjazdu do Sunningdale. To był człowiek, który tylko przedstawił się jako Sessle. Pamiętaj, Doris Evans aresztowano dopiero dwa tygodnie po morderstwie. Nigdy nie widziała ciała. Gdyby je widziała, może zdumiałaby wszystkich oświadczeniem, że to nie jest mężczyzna, który tamtego wieczoru zabrał ją na pole golfowe i szaleńczo mówił o samobójstwie. To była starannie utkana intryga. Dziewczyna została zaproszona na środę, gdy w domu Sessle'a nie było nikogo. Użyto szpilki, żeby zasugerować działanie kobiety.

Morderca spotyka dziewczynę i zabiera ją do domu na kolację. Następnie prowadzi ją na pole golfowe i gdy dociera do miejsca zbrodni, zaczyna, wymachiwać rewolwerem. Śmiertelnie przerażona dziewczyna bierze nogi za pas, a jemu pozostaje tylko wyciągnąć ciało i zostawić je leżące przy punkcie startowym. Rewolwer wrzuca w krzaki. Potem zawija spódnicę w ładną paczkę i — teraz przyznaję, że zgaduję — według wszelkiego prawdopodobieństwa idzie do Woking, które jest oddalone od Sunningdale zaledwie o sześć czy siedem mil, i stamtąd wraca do domu.

— Poczekaj chwilę — powiedziała Tuppence. — Nie wyjaśniłeś jednej rzeczy. Co z Hollabym?

— Z Hollabym?

— Tak. Przyznaję, że ci z tyłu nie widzieli, czy to Sessle, czy nie. Ale nie przekonasz mnie, że mężczyznę, który z nim grał, tak zahipnotyzowała niebieska kurtka, że nie spojrzał na jego twarz.

— Kochana staruszko — odparł Tommy. — Właśnie o to chodzi. Hollaby bardzo dobrze o tym wiedział. Widzisz, przyjąłem twoją teorię, że to Hollaby i jego syn zdefraudowali pieniądze. Morderca musiał być bliskim znajomym Sessle'a. Wiedział na przykład o tym, że służący wyjeżdżają w środy i że jego żony nie było w domu. Musiał to być także ktoś, kto był w stanie zdobyć odcisk klucza do domu Sessle'a. Myślę, że młodszy Hollaby spełnia wszystkie te warunki. Jest podobnej postury, co Sessle, i obydwaj byli gładko ogoleni. Doris Evans prawdopodobnie widziała kilka fotografii zamordowanego reprodukowanych przez prasę, ale jak sama zauważyłaś, widać na nich tylko tyle, że to mężczyzna.

— A czy nigdy nie widziała Hollaby'ego w sądzie?

— Syn w ogóle nie pojawił się na rozprawie. Skąd miałby się tam wziąć? Nie był świadkiem. Cała uwaga skupiona była na starszym Hollabym, który miał niepodważalne alibi. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby go zapytać, co jego syn robił tego wieczoru.

— Wszystko się zgadza — przyznała Tuppence. Przez chwilę milczała, po czy dodała: — Czy masz zamiar powiedzieć o tym policji?

— Nie wiem, czy zechcą mnie wysłuchać.

— Owszem, zechcą — odezwał się niespodziewanie jakiś głos za jego plecami.

Tommy odwrócił się i stanął twarzą w twarz z inspektorem Marriotem, który siedział przy sąsiednim stoliku. Przed nim stał talerzyk z jajkiem w koszulce.

— Często wpadam tu na lunch — powiedział inspektor. — Jak mówiłem, chętnie byśmy was wysłuchali. Właściwie to już was wysłuchałem. Przyznam się wam bez oporów, że przez cały czas nie byliśmy zadowoleni z rezultatów kontroli Porcupine Co. Widzicie, mieliśmy swoje podejrzenia co do tych Hollabych, ale żadnych dowodów. Byli dla nas za sprytni. Potem wydarzyło się to morderstwo i mieliśmy wrażenie, że to wywraca wszystkie nasze koncepcje do góry nogami. Ale dzięki wam skonfrontujemy młodego Hollaby'ego z Doris Evans i zobaczymy, czy dziewczyna go rozpozna. Myślę, że tak. Bardzo inteligentnie wypadliście na ten manewr z niebieską kurtką.

Dopilnuję, żeby cała chwała spadła na Błyskotliwych Detektywów Blunta.

— Jest pan bardzo miłym człowiekiem, inspektorze — powiedział Tommy z wdzięcznością.

— My tam w Yardzie bardzo was cenimy — odrzekł inspektor bez emocji. — Bylibyście zdziwieni, gdybyście wiedzieli, jak bardzo. Jeśli mogę zapytać, co znaczy ten kawałek sznurka?

— Nie — spłoszył się Tommy, wsuwając sznurek do kieszeni. — Taki mój brzydki nawyk. A co do drożdżówki i mleka... jestem na diecie. Niestrawność na tle nerwowym. Przepracowani ludzie zwykle są męczennikami tej choroby.

— Aha. Myślałem, że może czytał pan... mniejsza o to, to nie ma znaczenia.

Jeżeli nie miało, to dlaczego inspektor wyraźnie mrugnął prawym okiem?

Rozdział siedemnasty

Dom, w którym czai się śmierć

— Co... — zaczęła Tuppence i urwała.

Weszła właśnie do prywatnego gabinetu pana Blunta z sąsiedniego pomieszczenia, na drzwiach którego widniał napis „Personel”, i ze zdumieniem zauważyła swego pana i władcę z okiem przyklejonym do szpary w ścianie.

— Ćśś — szepnął Tommy ostrzegawczo. — Nie słyszałaś brzęczyka? To jest dziewczyna. Dostyc ładna dziewczyna. Właściwie mam wrażenie, że to bardzo piękna dziewczyna. Albert właśnie opowiada jej te wszystkie bzdury o Scotland Yardzie.

— Daj mi też popatrzeć — zażądała Tuppence. Tommy niechętnie odsunął się na bok. Tuppence zajęła jego miejsce przy szparach.

— Jest niezła — przyznała. — A jej ubranie to po prostu ostatni krzyk mody.

— Jest absolutnie doskonała — poprawił ją Tommy.

— Taka, jak te dziewczyny, o których pisze Mason — wiesz, piękne, wybitnie inteligentne i obdarzone niezwykle wrażliwym sercem, a przy tym nie nazbyt wyzywające. Tak, wydaje mi się... właściwie jestem pewny, że dzisiaj będę wielkim Hannaudem.

— Hm — mruknęła Tuppence. — Jeśli istnieje jakiś detektyw, którego absolutnie w niczym nie przypominasz, powiedziałabym, że jest to właśnie Hannaud. Czy potrafisz zupełnie zmienić osobowość w mgnieniu oka?

Czy jesteś w stanie wcielić się w wielkiego komika, chłopca z ulicy, poważnego, pełnego współczucia przyjaciela — i to wszystko w ciągu pięciu minut?

— Jestem tego pewien — odrzekł Tommy, stukając głośno w biurko. — Nie zapominaj, Tuppence, że jestem kapitanem tego statku. Niech tu wejdzie.

Przycisnął brzęczyk na biurku. Albert wprowadził dziewczynę do środka. Niezdecydowanie zatrzymała się w drzwiach. Tommy wyszedł przed biurko.

— Proszę wejść, *mademoiselle* — powiedział uprzejmie. — Może zechce pani tutaj usiąść.

Tuppence zakrztusiła się. Tommy odwrócił się w jej stronę, zmieniając nagle wyraz twarzy, i odezwał się oficjalnym tonem:

— Czy pani coś mówiła, panno Robinson? Ach, mnie się też wydawało, że nie.

Znów zwrócił się do dziewczyny.

— Nie ma potrzeby zachowywać oficjalnego nastroju — powiedział. — Po prostu opowie nam pani o wszystkim, a potem zastanowimy się, jak najlepiej można pani pomóc.

— Jest pan bardzo miły — odrzekła dziewczyna.

— Przepraszam, ale czy jest pan cudzoziemcem? Tuppence znów się zakrztusiła. Tommy kątem oka posłał jej groźne spojrzenie.

— Niezupełnie — powiedział z trudem. — Ale w ciągu ostatnich lat wiele czasu spędziłem za granicą. W pracy używam metod Surete.

— Och! — zawołała dziewczyna. Najwyraźniej zrobiło to na niej duże wrażenie.

Była, jak Tommy zauważył, niezwykle czarująca, młoda i szczupła. Miała duże, poważne oczy. Spod małego, brązowego kapelusika z filcu wymykało się pasmo złocistych włosów. Wyraźnie było widać, że jest zdenerwowana. Splatała i rozplatała drobne dłonie i nerwowo bawiła się zamkiem lakierowanej torebki.

— Po pierwsze, panie Blunt, muszę panu powiedzieć, że moje nazwisko brzmi Lois Hargreaves. Mieszkam na głębokiej prowincji w wielkim, starym, eklektycznym domu, który nazywa się Thurnly Grange. Niedaleko jest wioska Thurnly, mała i bez znaczenia. Można u nas w zimie polować, a w lecie grać w tenisa, i nigdy nie czułam się tam osamotniona. W gruncie rzeczy wiejskie życie odpowiada mi o wiele bardziej niż miejskie. Mówię to panu po to, żeby pan sobie uświadomił, że w wiosce takiej jak nasza wszystko, co się wydarza, wydaje się ogromnie ważne. Mniej więcej tydzień temu dostałam pudełko czekoladek przysłane pocztą. Nie było w nim niczego, co by wskazywało na nadawcę. Ja sama nie przepadam za czekoladkami, ale inni domownicy je lubią, więc ich poczęstowałam. W rezultacie wszyscy, którzy jedli czekoladki, pochorowali się. Posłaliśmy po lekarza i po długim dociekaniu, co kto jeszcze zjadł, lekarz zabrał resztę czekoladek ze sobą i oddał je do analizy. Panie Blunt, te czekoladki zawierały arsenik! Za mało, by kogokolwiek zabić, ale wystarczająco wiele, by spowodować chorobę.

— To nadzwyczajne — skomentował Tommy.

— Doktor Burton był niezwykle przejęty tą sprawą. Zdaje się, że to był trzeci taki przypadek w okolicy. Za każdym razem wybierano duży dom i wszyscy domownicy chorowali po zjedzeniu czekoladek. Wyglądało na to, że ktoś z okolicy, poszkodowany na umyśle, robił szczególnie złośliwe kawały.

— Owszem, panno Hargreaves.

— Doktor Burton złożył to na karb agitatorów socjalistycznych, ale ja uważałam ten pomysł za dosyć absurdalny. Choć w wiosce Thurnly jest kilku malkontentów i wydawało się możliwe, że to oni mieli z tym coś wspólnego. Doktor Burton nalegał, żebym złożyła sprawę w ręce policji.

— Bardzo naturalna sugestia — powiedział Tommy. — Ale zdaje się, że nie zrobiła pani tego?

— Nie — przyznała dziewczyna. — Nie znoszę zamieszania i rozgłosu, jaki musiałby wtedy wyniknąć. A poza tym, widzi pan, znam naszego lokalnego inspektora policji i nie potrafię sobie wyobrazić, żeby on cokolwiek wykrył. Często widywałam w gazetach wasze reklamy i powiedziałam doktorowi Burtonowi, że o wiele lepiej będzie sprowadzić prywatnego detektywa.

— Rozumiem.

— W ogłoszeniach zapewniacie o waszej dyskrecji. Rozumiem, że... że... to znaczy, nie będziecie niczego rozgłaszać publicznie bez mojej zgody?

Tommy spojrział na nią z zaciekawieniem, ale to Tuppence się odezwała.

— Myślę — powiedziała cicho — że panna Hargreaves powinna opowiedzieć nam wszystko.

Położyła szczególny nacisk na ostatnie słowo. Lois Hargreaves zaczerwieniła się nerwowo.

— Tak — dodał szybko Tommy. — Panna Robinson ma rację. Musi nam pani powiedzieć wszystko.

— Ale nie... — zawahała się dziewczyna.

— Wszystko, co pani powie, będzie objęte absolutną dyskrecją.

— Dziękuję. Wiem, że powinnam być zupełnie szczerą. Miałam powód, żeby nie iść na policję. Panie Blunt, to pudełko czekoladek przysłał ktoś z moich domowników!

— Skąd pani o tym wie, mademoiselle?

— To bardzo proste. Mam zwyczaj rysowania bardzo głupiego rysunku — trzech splecionych ze sobą ryb — gdy tylko mam ołówek w ręku. Niedawno przysłano mi z pewnego londyńskiego sklepu paczkę jedwabnych pończoch. Wszyscy byliśmy wtedy przy stole i jedli śniadanie. Zaznaczałam właśnie coś w gazecie i bezmyślnie zaczęłam rysować moje ryby na etykietce firmy naklejonej na papierze, w który zawinięta była paczka, zanim jeszcze przecięłam sznurek i otworzyłam ją. Zupełnie o tym zapomniałam, ale potem, gdy oglądałam brązowy papier, w który opakowane były czekoladki, zauważyłam róg tamtej firmowej nalepki — większość z niej została oddarta. Ale na tym fragmencie były moje rybki. Tommy przysunął swoje krzesło bliżej.

— To bardzo poważna sprawa. Można stąd wyprowadzić, jak pani powiedziała, bardzo pewne założenie, że nadawca czekoladek jest pani domownikiem. Wybacz mi jednak, jeśli powiem, że nadal nie rozumiem, dlaczego mimo wszystko nie zdecydowała się pani powiadomić policji?

Panna Hargreaves spojrziała mu prosto w oczy.

— Powiem panu, dlaczego. Możliwe, że będę chciała uciszyć tę sprawę.

Tommy znów się odsunął.

— W takim razie — mruknął — wiemy, gdzie jesteśmy. Sądzę, że nie ma pani ochoty powiedzieć mi, kogo pani podejrzewa?

— Nikogo, ale są różne możliwości.

— Oczywiście. Czy może mi pani szczegółowo opisać domowników?

— Cała służba, z wyjątkiem pokojówki, jest z nami od wielu lat. Muszę panu wyjaśnić, panie Blunt, że wychowała mnie ciotka, lady Radclyffe, ogromnie bogata. Jej mąż zrobił wielki majątek i otrzymał szlachectwo. To on kupił Thurnly Grange, ale zmarł dwa lata po przeniesieniu się tam i wówczas lady Radclyffe posłała, po mnie, bym zamieszkała z nią. Byłam jej jedyną żyjącą krewną. Mieszkał z nią także Dennis Radclyffe, bratanek jej męża. Zawsze nazywałam go kuzynem, ale oczywiście nie jesteśmy naprawdę spokrewnieni. Ciotka Lucy zawsze mówiła otwarcie, że ma zamiar zostawić wszystkie swoje pieniądze Dennisowi, oprócz niewielkiego spadku dla mnie. Mówiła, że są to pieniądze Radclyffe'ów, więc powinny trafić do Radclyffe'a. Jednak, gdy Dennis miał dwadzieścia dwa lata, pokłóciła się z nim bardzo ostro — zdaje się, że o jakieś długi, w które wpadł. Gdy rok później umarła, ze zdumieniem przekonałam się, że zostawiła testament, w którym zapisała wszystkie pieniądze mnie. Wiem, że był to wielki cios dla Dennisa, i bardzo źle się z tego powodu czułam. Oddałabym mu te pieniądze, gdyby tylko chciał je wziąć, ale zdaje się, że czegoś takiego nie da się przeprowadzić. Jednak gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat, sporządziłam testament na jego korzyść. Tyle przynajmniej mogłam zrobić. Więc jeśli przejedzie mnie samochód, Dennis odzyska swoje pieniądze.

— Zgadza się — odrzekł Tommy. — Jeśli mogę zapytać, kiedy skończyła pani dwadzieścia jeden lat?

— Trzy tygodnie temu.

— Ach — rzekł Tommy. — Czy może pani teraz opisać mi dokładnie wszystkie osoby, które mieszkają w domu?

— Służbę, czy... innych?

— Wszystkich.

— Służba, jak już mówiłam, jest z nami od dawna. Jest stara pani Holloway, kucharka, i jej siostrzenica Rose, pomoc kuchenna. Dalej są dwie starsze pokojówki i Hanna, która była pokojówką mojej ciotki i zawsze była mi bardzo oddana. Jest jeszcze jedna pokojówka. Nazywa się Esther Quant i wydaje się, że to bardzo spokojna dziewczyna. Co do nas samych, jest panna Logan, która była damą do towarzystwa ciotki Lucy, a teraz zarządza domem w moim imieniu, i kapitan Radclyffe — to znaczy Dennis, o którym mówiłam. Jest jeszcze moja przyjaciółka ze szkoły, która z nami mieszka, Mary Chilcott.

Tommy zastanawiał się przez chwilę.

— Wszystko tu wydaje się zupełnie jasne, panno Hargreaves — powiedział po kilku minutach. — Przyjmuję, że nie ma pani żadnych szczególnych powodów, by podejrzewać jakąś konkretną osobę, obawia się pani jedynie, że może się okazać, iż... hm... powiedzmy, nie jest to nikt ze służby?

— Właśnie tak, panie Blunt. Naprawdę nie mam żadnego pojęcia, kto użył tego kawałka brązowego papieru. Adres napisany był drukowanymi literami.

— Wydaje mi się, że jest tylko jedna rzecz do zrobienia — powiedział Tommy. — Muszę być tam na miejscu.

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco. Tommy podążał za własną myślą.

— Proponuję, żeby zapowiedziała pani przyjazd... powiedzmy, państwa van Dusen, przyjaciół z Ameryki. Czy może to pani przeprowadzić w naturalny sposób?

— Och, tak. Nie będzie z tym żadnych kłopotów. Kiedy państwo przyjadą, jutro czy pojutrze?

— Jutro, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Nie mamy czasu do stracenia.

— W takim razie wszystko jest ustalone. Dziewczyna wstała i wyciągnęła rękę.

— Jeszcze jedno, panno Hargreaves. Niech pani pamięta, żeby nikomu nie wspominać o tym ani słowem — ani jednym słowem. Nikt nie może się dowiedzieć, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy.

Tommy odprowadził dziewczynę do drzwi.

— Co o tym myślisz, Tuppence? — zapytał, gdy wyszła.

— Nie podoba mi się to — odrzekła Tuppence zdecydowanie. — Szczególnie nie podoba mi się, że w tych czekoladkach było tak mało arszeniku.

— Co przez to rozumiesz?

— Nie widzisz? Te czekoladki były rozsyłane po sąsiedztwie dla zamaskowania, żeby wszyscy myśleli, że to robota jakiegoś miejscowego maniaka. Potem, gdyby ktoś naprawdę otruł tę dziewczynę, wyglądałoby, że to ta sama osoba. Gdyby nie odrobina szczęścia, nikt by nigdy nie zgadł, że czekoladki wysłał ktoś z jej domowników.

— Masz rację, to był łut szczęścia. Czy uważasz, że ta intryga wymierzona jest bezpośrednio w dziewczynę?

— Obawiam się, że tak. Pamiętam, że czytałam w gazetach o testamencie lady Radclyffe. Ta dziewczyna odziedziczyła kolosalne pieniądze.

— A trzy tygodnie temu stała się pełnoletnia i napisała testament. To wskazuje na Dennisa Radclyffe'a. On zyskuje na jej śmierci.

Tuppence skinęła głową.

— Najgorsze jest to, że ona też tak myśli. Dlatego nie chciała zawiadamić policji. Ona już go podejrzewa. Musi być w nim zakochana, w innym wypadku tak by się nie zachowywała.

— W takim razie — powiedział Tommy z zadumą — dlaczego, do diabła, on się z nią nie ożeni? Byłoby to o wiele prostsze i bezpieczniejsze wyjście.

Tuppence wpatrzyła się w niego.

— Powiedziałeś coś ważnego — zauważyła. — O mój Boże! Jak widzisz, przygotowuję się do roli pani van Dusen.

— Po co uciekać się do zbrodni, skoro pod ręką jest legalne wyjście?

Tuppence zastanawiała się przez chwilę.

— Już wiem — obwieściła. — On na pewno ożenił się z jakąś barmanką podczas pobytu w Oxfordzie. Dlatego pokłócił się z ciotką. To wszystko wyjaśnia.

— Więc dlaczego nie wysłał zatrutych czekoladek barmance? — zasugerował Tommy. — To by było o wiele praktyczniejsze. Wolałbym, Tuppence, żebyś nie wyciągała wniosków zbyt pośpiesznie.

— To są dedukcje — odparła Tuppence z godnością. — To twoja pierwsza corrida, przyjacielu, ale gdy już wytrzymasz na arenie dwadzieścia minut...

Tommy rzucił w nią poduszką.

Rozdział osiemnasty

Dom, w którym czai się śmierć (dokończenie)

— Tuppence, Tuppence, chodź tu szybko!

Był poranek następnego dnia. Tuppence wybiegła z sypialni. Tommy chodził po pokoju z rozłożoną gazetą w ręku.

— Co się dzieje?

Tommy obrócił się na pięcie i wcisnął jej gazetę do ręki, wskazując na nagłówek.

TAJEMNICZY PRZYPADEK OTRUCIA

ŚMIERĆ SPOWODOWANA KANAPKAMI Z PASTA FIGOWA

Tuppence czytała dalej. Tajemniczy przypadek zatrucia ptomainami wydarzył się w Thurnly Grange. Do tej pory odnotowano śmierć dwóch osób: właścicielki domu, panny Lois Hargreaves i pokojówki Esther Quant. Kapitan Radclyffe i panna Logan byli poważnie chorzy. Przyczyną zatrucia prawdopodobnie była pasta figowa używana do kanapek, gdyż inna dama, panna Chilcott, która ich nie jadła, czuje się zupełnie dobrze.

— Musimy tam natychmiast pojechać — powiedział Tommy. — Ta dziewczyna! Ta piękna, rozkwitająca dziewczyna! Dlaczego, do diabła, nie pojechałem z nią tam od razu wczoraj?

— Gdybyś pojechał, to prawdopodobnie ty też zjadłbyś do herbaty kanapki z pastą figową i już byś nie żył — odrzekła Tuppence. — Chodź, ruszajmy od razu. Tu jest napisane, że Dennis Radclyffe także jest poważnie chory.

— Prawdopodobnie udaje, brudny intrygant. Przyjechali do wioski Thurnly około południa. Drzwi otworzyła im starsza kobieta z zaczerwienionymi oczami.

— Niech pani posłucha — powiedział Tommy szybko, nie dając jej dojść do głosu — nie jestem reporterem ani niczym takim. Panna Hargreaves była u mnie wczoraj i prosiła, żebym tu przyjechał. Czy jest tu ktoś, z kim mógłbym się zobaczyć?

— Jest doktor Burton, jeśli ma pan ochotę z nim porozmawiać — odpowiedziała kobieta z powątpiewaniem. — Albo panna Chilcott. Ona się teraz wszystkim zajmuje.

Tommy podchwycił pierwszą propozycję.

— Doktor Burton — powiedział stanowczo. — Jeśli tu jest, chciałbym się z nim natychmiast

zobaczyć.

Kobieta zaprowadziła ich do małego saloniku. Pięć minut później drzwi otworzyły się i wszedł przez nie wysoki, starszy mężczyzna o przygarbionych ramionach i miłej, choć zmartwionej twarzy.

Tommy wyjął swoją wizytówkę.

— Doktor Burton? Panna Hargreaves była u mnie wczoraj w sprawie zatrutych czekoladek. Przyjechałem tu, by zająć się tą sprawą na jej życzenie — niestety, za późno.

Lekarz spojrzał na niego przenikliwie.

— Czy to pan Blunt?

— Tak. A to jest moja asystentka, panna Robinson. Doktor uklonił się Tuppence.

— W tych okolicznościach nie ma sensu zachowywać dyskrecji. Gdyby nie ten epizod z czekoladkami, mógłbym uwierzyć, że śmierć była wynikiem ostrego zatrucia ptomainami jakiegoś niezwykle złośliwego rodzaju. Wystąpiło zapalenie żołądkowo-jelitowe i krwotok. W każdym razie zabieram pastę figową do analizy.

— Czy podejrzewa pan zatrucie arszenikiem?

— Nie. Trucizna, jeśli użyto tu trucizny, była o wiele i silniejsza i szybsza w działaniu. Wygląda to raczej na jakąś silną truciznę roślinną.

— Rozumiem. Chciałbym pana zapytać, doktorze, czy jest pan zupełnie pewien, że kapitan Radclyffe cierpi na zatrucie tego samego rodzaju? Doktor spojrzał na niego.

— Kapitan Radclyffe nie cierpi już na żadne zatrucie.

— Aha — powiedział Tommy — ja...

— Kapitan Radclyffe zmarł dzisiaj rano o piątej.

Tommy był zupełnie ogłuszony. Lekarz przygotowywał się do odejścia.

— A druga ofiara, panna Logan? — zapytała Tuppence.

— Mam wszelkie podstawy do nadziei, że skoro przeżyła do tej pory, to wyjdzie z tego. To starsza kobieta i może dlatego trucizna nie zadziałała na nią tak silnie. Powiadomię pana o rezultatach analizy, panie Blunt. Tymczasem, jestem pewien, że panna Chilcott udzieli panu wszelkich informacji.

W tej samej chwili w drzwiach pojawiła się dziewczyna. Była wysoka, miała opaloną twarz i spokojne, błękitne oczy.

Doktor Burton dokonał prezentacji.

— Cieszę się, że pan przyjechał, panie Blunt — powiedziała dziewczyna. — To wszystko jest takie okropne. Czy jest coś, co mogę panu powiedzieć?

— Skąd pochodziła pasta figowa?

— To specjalny rodzaj, który sprowadzamy z Londynu. Często jej używaliśmy. Nikt nie podejrzewał, że ten akurat słoik różnił się od innych. Ja sama nie lubię zapachu fig. To wyjaśnia, dlaczego jej nie jadłam. Nie rozumiem, w jaki sposób Dennis się zatruł, bo nie było go na herbacie. Sądzę, że zjadł kanapkę, gdy wrócił do domu.

Tommy poczuł, że Tuppence leciutko przycisnęła dłoń do jego ramienia.

— O której wrócił? — zapytał.

— Nie mam pojęcia. Mogę się dowiedzieć.

— Dziękuję, panno Chilcott. To nie ma znaczenia. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że zadam kilka pytań służbie?

— Proszę robić, co tylko uzna pan za stosowne, panie Blunt. Ja jestem zupełnie rozkojarzona. Proszę mi powiedzieć... czy sądzi pan, że to było... że ktoś to zrobił celowo?

W jej oczach odbijał się wielki niepokój.

— Nie wiem, co mam sądzić. Wkrótce się przekonamy.

— Tak, doktor Burton na pewno odda pastę do analizy.

Szybko przeprosiła i wyszła na zewnątrz, by porozmawiać z ogrodnikiem.

— Ty zajmij się służbą, Tuppence — powiedział Tommy — a ja pójdę do kuchni. Muszę powiedzieć, że panna Chilcott nie wygląda na zdenerwowaną, mimo, że tak twierdzi.

Tuppence bez słowa skinęła głową. Spotkali się pół godziny później.

— Co do rezultatów moich poszukiwań — powiedział Tommy — to kanapki były przygotowane do herbaty i pokojówka zjadła jedną. W ten sposób i jej się dostało. Kucharka jest pewna, że gdy Dennis Radclyffe wrócił do domu, wszystko było już posprzątane po herbacie. Dziwne — w jaki sposób się zatruł?

— Wrócił za piętnaście siódma — powiedziała Tuppence. — Pokojówka widziała go z okna. Przed kolacją wypił koktajl w bibliotece. Właśnie teraz sprzątała szklankę i na szczęście zabrałam ją, zanim zdążyła umyć. Potem zaczął narzekać, że źle się czuje.

— Dobrze. Zaraz dam tę szklankę Burtonowi. Coś jeszcze?

— Chciałabym, żebyś się zobaczył z Hanną, tą pokojówką. Ona... ona jest dziwna.

— Co to znaczy: dziwna?

— Wygląda na to, że postradała zmysły.

— Idę ją zobaczyć.

Tuppence zaprowadziła go na górę. Hanna miała własny mały pokój. Siedziała wyprostowana na krześle z wysokim oparciem. Na jej kolanach leżała otwarta Biblia. Nie spojrzała na nich, gdy wchodzili, tylko dalej czytała głośno:

— Niech spadną na nich rozżarzone węgle, niech będą wrzuceni do ognia i do przepaści, i niech nigdy więcej nie powstaną.

— Czy mógłbym z panią przez chwilę porozmawiać? — zapytał Tommy.

Hanna niecierpliwie machnęła ręką.

— Nie ma czasu. Powiadam wam, że czas jest bliski. Będę ścigał moich wrogów i pognębię ich, i nie odwrócę się, dopóki ich nie zniszczę. Tak jest napisane. Słowa Pana do mnie nadeszły. Jam jest mieczem Bożym.

— Zupełnie zwariowała — mruknął Tommy.

— Tak jest przez cały czas — odszepnęła Tuppence. Tommy podniósł otwartą książkę, która leżała na stole grzbietem do góry. Spojrzał na tytuł i wsunął książkę do kieszeni.

Naraz kobieta podniosła się i zwróciła w ich stronę:

— Wynoście się stąd. Albowiem czas jest bliski! Jam jest miecz Boży. Wiatr wieje poprzez ziemię; tak i ja niszczę. Niegodni muszą szczeznąć. Zaiste, to jest dom zła! Drzyjcie przed gniewem Pana, którego jam służebnicą.

Wstała i z groźną miną skierowała się w ich stronę. Tommy uznał, że najlepiej będzie ułagodzić ją i wycofać się. Gdy zamykał drzwi, zauważył, że Hanna znów podniosła Biblię.

— Ciekawe, czy ona zawsze taka była — mruknął i wyciągnął z kieszeni książkę, którą zabrał ze stołu.

— Spójrz na to. Dziwna lektura jak na niewykształconą pokojówkę.

Tuppence wyjęła książkę z jego ręki.

— *Materia medica* — mruknęła i spojrzała na skrzydełko obwoluty. — Edward Logan. To stara książka. Tommy, czy sądzisz, że moglibyśmy się zobaczyć z panną Logan? Doktor Burton powiedział, że czuje się już lepiej.

— Może powinniśmy zapytać panny Chilcott?

— Nie. Znajdźmy starszą pokojówkę i wyślijmy ją, żeby zapytała.

Po krótkiej chwili powiedziano im, że panna Logan może się z nimi zobaczyć. Zaprowadzono ich do wielkiej sypialni z oknem wychodzącym na trawnik. W łóżku leżała białowłosa staruszka o delikatnej twarzy ściągniętej cierpieniem.

— Byłam bardzo chora — powiedziała słabym głosem. — Nie mogę dużo mówić, ale Ellen powiedziała mi, że jesteście detektywami. A więc Lois poszła się was poradzić? Mówiła, że tak zrobi.

— Tak, panno Logan — odrzekł Tommy. — Nie chcemy pani męczyć, ale może mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań. Ta pokojówka, Hanna. Czy ona jest zdrowa na umyśle?

Panna Logan spojrzała na nich z wyraźnym zdumieniem.

— Och, tak. Jest bardzo religijna, ale nic złego się z nią nie dzieje.

Tommy pokazał jej książkę, którą zabrał ze stołu.

— Czy to należy do pani?

— Tak. To jedna z książek mojego ojca. Był wielkim lekarzem, jednym z pionierów terapii za pomocą serum.

W głosie starszej damy dzwięczała duma.

— Rozumiem — powiedział Tommy. — Wydawało mi się, że skądś znam to nazwisko. Czy pożyczyła pani tę książkę Hannie?

— Hannie? — panna Logan uniosła się na łóżku z oburzeniem. — Ależ nie, skądże! Hanna nie zrozumiałaby z tego ani słowa. To książka dla specjalistów.

— Tak, zauważyłem to. A jednak znalazłem ją w pokoju Hanny.

— Oburzające — powiedziała panna Logan. — Nie będę tolerować tego, żeby służba grzebała w moich rzeczach.

— Gdzie tą książka powinna się znajdować?

— Na półce w moim salonie... albo, zaraz... pożyczyłam ją Mary. Ta dziewczyna bardzo interesuje się ziołami. Przeprowadziła nawet kilka eksperymentów w mojej kuchence. Wie pan, mam swoje miejsce, gdzie przyrządzam nalewki i robię przetwory według starych przepisów. Droga Lucy, to znaczy lady Radclyffe, nie mogła się nachwalić mojej herbatki z wrotycza. Znakomita rzecz na przeziębienia. Biedna Lucy była podatna na przeziębienia. Tak, jak i Dennis. Kochany chłopiec. Jego ojciec był moim bliskim kuzynem.

Tommy przerwał te wspomnienia.

— A ta pani kuchnia? Czy ktoś jeszcze jej używa oprócz pani i panny Chilcott?

— Hanna tam sprząta i gotuje wodę na poranną herbatę.

— Dziękuję, pani Logan — powiedział Tommy. — W tej chwili nie mam do pani więcej pytań. Mam nadzieję, że za bardzo pani nie zmęczyliśmy.

Wyszedł z pokoju i zszedł po schodach, marszcząc czoło.

— Jest w tym coś, mój drogi Ricardo, czego zupełnie nie rozumiem.

Tuppence wzdrygnęła się.

— Nie cierpię tego domu. Chodźmy na długi spacer i spróbujmy to wszystko przemyśleć.

Tommy zgodził się i wyszli z domu. Zostawili szklankę po koktajlu w domu lekarza i poszli na długi spacer przez pola.

— Jakoś to wszystko jest łatwiejsze, gdy się udaje głupiego — powiedział Tommy. — Cała ta sprawa z Hannaudem. Wielu ludziom pewnie by się wydawało, że to wszystko w ogóle mnie nie poruszyło. Ale tak nie jest, poruszyło mnie to bardzo. Wydaje mi się, że jakoś mogliśmy temu zapobiec.

— Myślę, że to głupie, co mówisz — odrzekła Tuppence. —: Przecież nie odradzaliśmy Lois Hargreaves pójścia do Scotland Yardu ani niczego w tym rodzaju. Nikt by jej nie przekonał do wmieszania w tę sprawę policji. Gdyby nie przyszła do nas, to nie zrobiłaby w ogóle nic.

— A rezultat byłby taki sam. Tak, masz rację, Tuppence. Nie ma sensu obwiniać się za coś, czemu nie można było zapobiec. Ale chciałbym przynajmniej teraz to naprawić.

— To nie będzie łatwe.

— Nie. Jest wiele możliwości, ale wszystkie wydają się szalenie nieprawdopodobne. Powiedzmy, że to Dennis Radclyffe zatrul kanapki. Wiedział, że nie będzie go w domu na herbacie. To wydaje się dosyć jasne.

— Tak, do tego momentu wszystko jest jasne. Ale przeciwko temu świadczy fakt, że on także został otruty. To wydaje się go wykluczać. Jest jedna osoba, o której nie wolno nam zapomnieć — mianowicie Hanna.

— Hanna?

— Ludzie ogarnięci manią religijną robią czasem różne dziwne rzeczy.

— W jej przypadku ta mania jest daleko posunięta — przyznał Tommy. — Powinniśmy wspomnieć

o tym doktorowi Burtonowi.

— Musiało to nadejść bardzo gwałtownie — powiedziała Tuppence. — To znaczy, jeśli wierzyć w to, co mówi panna Logan.

— Zdaje się, że tak właśnie bywa z religijnymi maniami — zauważył Tommy. — To znaczy, ktoś całymi latami śpiewa hymny religijne przy otwartych drzwiach sypialni, a pewnego dnia przekracza cienką linię i staje się niebezpieczny.

Tuppence zamyśliła się.

— Z pewnością więcej świadczy przeciwko Hannie niż przeciwko komukolwiek innemu. A jednak mam pewną myśl... — urwała.

— Tak? — zaciekawił się Tommy.

— To właściwie nie jest myśl. Sądzę, że to raczej coś w rodzaju uprzedzenia.

— Uprzedzenia do kogoś? Tuppence skinęła głową.

— Tommy, czy polubiłeś Mary Chilcott? Tommy zastanowił się.

— Tak, chyba tak. Sprawiała na mnie wrażenie bardzo kompetentnej i rzeczowej osoby — może nawet odrobinę za bardzo, ale można na niej polegać.

— Czy nie wydawało ci się dziwne, że nie była bardziej zdenerwowana?

— No cóż, w jakiś sposób to świadczy na jej korzyść. To znaczy, gdyby to ona coś zrobiła, wówczas bardzo by się starała wyglądać na zdenerwowaną, nawet do przesady.

— Może masz rację — powiedziała Tuppence.

— W każdym razie nie miała żadnego motywu. Nie widać, żeby ta masowa jatka miała jej przynieść jakikolwiek pożytek.

— Sądzę, że nie można brać pod uwagę nikogo ze służby?

— Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Wyglądają na spokojnych i odpowiedzialnych. Ciekawa jestem, jaka była Esther Quant, ta pokojówka.

— Chodzi ci o to, że jeśli była młoda i ładna, to mogła być w to jakoś zamieszana?

— Właśnie tak — westchnęła Tuppence. — To wszystko jest bardzo zniechęcające.

— Myślę, że policja w końcu dotrze do prawdy.

— Prawdopodobnie. Wolałabym, żebyśmy to my do niej dotarli. Aha, czy zauważyłeś czerwone

kropki na przedramieniu panny Logan?

— Chyba nie. Dlaczego pytasz?

— Wyglądały jak ślady ukłuć po strzykawce — odpowiedziała Tuppence.

— Pewnie doktor Burton dał jej jakiś zastrzyk.

— Och, na pewno. Ale nie dałby jej czterdziestu.

— Nałóg kokainowy — zasugerował Tommy z nadzieją w głosie.

— Myślałam o tym, ale w jej oczach nic nie było widać. Gdyby to była kokaina albo morfina, dałoby się od razu zauważyć. Poza tym ona nie wygląda na taką osobę.

— Jest bardzo szacowna i bogobojna — przytaknął Tommy.

— To wszystko jest bardzo trudne — powtórzyła Tuppence. — Rozmawiamy i rozmawiamy i nie posunęliśmy się ani o krok naprzód. Żebyśmy tylko nie zapomnieli w drodze powrotnej zajrzeć do doktora.

Drzwi domu lekarza otworzył chudy, mniej więcej j piętnastoletni chłopak.

— Pan Blunt? — zapytał. — Doktor wyszedł, ale zostawił kartkę na wypadek, gdyby pan tu zajrzał.

Podał im list. Tommy rozerwał kopertę.

Drogi panie Blunt,

mam powody, by przypuszczać, że zastosowaną trucizną była rycyna, toksalbumoza roślinna o bardzo silnym działaniu. Proszę na razie zatrzymać tę wiadomość dla siebie.

Tommy wypuścił kartkę z ręki, ale szybko znów ją podniósł.

— Rycyna — mruknął. — Wiesz coś o tym, Tuppence? Kiedyś dość dobrze znałaś się na tych rzeczach.

— Rycyna — powtórzyła Tuppence w zamyśleniu.

— Zdaje się, że truciznę uzyskuje się z nasion rącznika.

— Nigdy nie miałem przekonania do rącznika — powiedział Tommy. — A teraz jestem do niego nastawiony jeszcze gorzej.

— Rośliny są w porządku. Truciznę uzyskuje się z nasion. Chyba widziałam te rośliny dzisiaj rano w ogrodzie — takie duże, z błyszczącymi liśćmi.

— To znaczy, że ktoś wyprodukował truciznę na miejscu. Czy Hanna mogłaby to zrobić?

Tuppence potrząsnęła głową.

— Nie wydaje mi się. Nie ma wystarczającej wiedzy.

Nagle Tommy wydał z siebie okrzyk.

— Ta książka. Czy nadal mam ją w kieszeni? Tak.

— Wyjął książkę i pośpiesznie przerzucił kartki. — Tak mi się zdawało. Na tej stronie była otwarta dziś rano. Widzisz, Tuppence? Rącznik!

Tuppence wyrwała mu książkę z ręki.

— Potrafisz coś z tego zrozumieć? Bo ja nie.

— Dla mnie jest to dosyć jasne — odrzekła Tuppence. Szła dalej, jedną ręką przytrzymując się Tommy'ego i czytając z zapalem. Po chwili z trzaskiem zamknęła książkę. Zbliżali się już do domu.

— Tommy, czy możesz zostawić to mnie? Tylko ten jeden raz. Widzisz, to ja jestem bykiem, który wytrzymał dwadzieścia minut na arenie.

Tommy skinął głową.

— Zostajesz kapitanem statku, Tuppence — odpowiedział poważnie. — Musimy odkryć prawdę.

— Po pierwsze — powiedziała Tuppence, gdy wchodzili do domu — muszę zadać panie Logan jeszcze jedno pytanie.

Pobiegła na górę, zastukała głośno do drzwi sypialni panny Logan i weszła. Tommy szedł za nią.

— Czy to ty, moja droga? — zapytała staruszka. — Wiesz, jesteś o wiele za młoda i za ładna, żeby być detektywem. Czy coś odkryłaś?

— Owszem — odpowiedziała Tuppence. — Odkryłam.

Panna Logan spojrzała na nią pytająco.

— Nie wiem, czy jestem ładna — ciągnęła Tuppence — ale ponieważ jestem młoda, podczas wojny pracowałam w szpitalu i wiem coś o terapii surowicą. Przypadkiem wiem także, że jeśli wstrzykuje się truciznę z rącznika podskórnym w małych dawkach, tworzy się antyrycyna i organizm staje się uodporniony. Na tym opiera się terapia surowicą. Pani o tym wiedziała, panno Logan. Od jakiegoś czasu wstrzykiwała pani sobie rycynę podskórnym. Potem zatrula się pani wraz z innymi. Pomagała pani w pracy swojemu ojcu, wiedziała pani o rączniku i o tym, jak otrzymywać truciznę z nasion. Wybrała pani dzień, gdy Dennisa Radclyffe'a nie było na herbacie. Nie mógł zostać otruty jednocześnie z innymi, bo mógłby umrzeć wcześniej niż Lois Hargreaves. Jeśli ona umarła pierwsza,

on dziedziczył jej pieniądze, a po jego śmierci przechodziły na panią jako najbliższą krewną. Powiedziała nam pani dziś rano, że ojciec Dennisa był pani bliskim krewnym.

Staruszka wpatrywała się w Tuppence ze złością w oczach.

Naraz z sąsiedniego pokoju wybiegła dzika postać. To była Hanna, wymachująca gorączkowo trzymaną w ręku pochodnią.

— Prawda została powiedziana. Ona jest tą przekłątą. Widziałam, jak czytała książkę i uśmiechała się do siebie, i wiedziałam. Znalazłam tę książkę i tę stronę, ale mnie to nic nie mówiło. Ale głos Pana do mnie przemówił. Ona nienawidziła mojej pani. Zawsze była zazdrosna i zawistna. Ona nienawidziła mojej słodkiej panny Lois. Ale przekłęci szczeną. Pożre ich ogień Pana.

Wymachując pochodnią przyskoczyła do łóżka.

Staruszka krzyknęła.

— Zabierzcie ją stąd — zabierzcie ją! To prawda, ale zabierzcie ją!

Tuppence rzuciła się na Hannę, ale zanim zdążyła wyrwać jej pochodnię z ręki i przydeptać, pokojówce udało się podpalić zasłony łóżka. Z podestu na schodach wpadł do pokoju Tommy. Zerwał zasłony i ugasił płomień dywanikiem. Rzucił się na pomoc Tuppence i razem obezwładnili Hannę.

Do pokoju wpadł doktor Burton. Kilka słów wystarczyło, by zrozumiał sytuację. Podbiegł do łóżka, ujął dłoń panny Logan i wykrzyknął.

— Ogień był dla niej zbyt dużym szokiem. Nie żyje. W tych okolicznościach chyba szczęśliwie się złożyło.

— To najlepsze, co się mogło zdarzyć — powiedział Tommy, gdy już przekazali Hannę pod opiekę doktora i znaleźli się sami. — Tuppence, byłaś po prostu wspaniała.

— Nie było to za bardzo w stylu Hannauda — przyznała Tuppence.

— To zbyt poważna sprawa na odgrywanie ról. Wciąż nie mogę znieść myśli o tej dziewczynie. Nie będę o niej myślał. Ale, jak już powiedziałem, byłaś wspaniała. Cały honor spada na ciebie. Użyję — znanego cytatu: „Wielką jest przewagą być inteligentnym i nie wyglądać na to”.

— Tommy, jesteś potworem — odrzekła Tuppence.

Rozdział dziewiętnasty

Niepodważalne alibi

Tommy i Tuppence zajęci byli przeglądaniem korespondencji.

Naraz Tuppence wykrzyknęła i podała Tommy'emu list.

— Nowy klient — powiedziała z dumą.

— Ha! — zawołał Tommy. — Czegóż możemy dowiedzieć się z tego listu, drogi Watsonie? Niewiele, oprócz dosyć oczywistego faktu, że pan... hm... Montgomery Jones nie jest mistrzem świata w ortografii, co dowodzi, że odebrał kosztowne wykształcenie.

— Montgomery Jones? — powtórzyła Tuppence. — Co ja o nim wiem? Ach tak, już mam. Wydaje mi się, że wspominała o nim Janet St Vincent. Jego matką była lady Aileen Montgomery, bardzo nobliwa i religijna dama, złote krzyże i te rzeczy. Wyszła za mąż za ogromnie bogatego człowieka o nazwisku Jones.

— W gruncie rzeczy ta sama stara historia — odrzekł Tommy. — Zaraz, sprawdźmy, o której pan Montgomery Jones chce się z nami zobaczyć. Aha, o jedenastej trzydzieści.

Punktualnie o jedenastej trzydzieści bardzo wysoki młody mężczyzna o przyjaznym, jowialnym sposobie bycia wszedł do biura i zwrócił się do Alberta:

— Słuchaj, znaczy... czy mógłbym się zobaczyć z panem Bluntem?

— Czy był pan umówiony? — zapytał Albert.

— Nie jestem pewien. Zdaje się, że tak. To znaczy, napisałem list...

— Jak brzmi pańskie nazwisko?

— Montgomery Jones.

— Podam pańskie nazwisko panu Bluntowi.

Po krótkiej chwili Albert wrócił.

— Czy mógłby pan poczekać kilka minut? Pan Blunt w tej chwili bierze udział w niezmiernie ważnej konsultacji.

— Och... tak, eee... oczywiście — odpowiedział pan Montgomery Jones.

Gdy Tommy uznał, że zrobił już wystarczająco duże wrażenie na swoim kliencie, przycisnął brzęczyk na biurku i Albert wprowadził pana Montgomery'ego Jonesa do gabinetu.

Tommy wstał i ściskając mu serdecznie dłoń, wskazał wolne krzesło.

— Słucham pana. Co mogę dla pana zrobić?

Pan Montgomery Jones spojrzał niepewnie na trzecią osobę obecną w pokoju.

— To moja zaufana sekretarka, panna Robinson — wyjaśnił Tommy. — Może pan przy niej mówić zupełnie swobodnie. Sądzę, że chodzi o jakąś sprawę rodzinną o delikatnym charakterze?

— Hm... niezupełnie — odrzekł pan Montgomery Jones.

— Zaskakuje mnie pan. Mam nadzieję, że pan sam nie jest w żadnych kłopotach?

— Och, raczej nie.

— No cóż, może w takim razie zechciałby pan... hm... przedstawić nam fakty.

Wydawało się jednak, że jest to ostatnia rzecz, jaką pan Montgomery Jones jest w stanie zrobić.

— Chciałem was prosić o coś okropnie dziwnego — powiedział z wahaniem. — Ja... eee... naprawdę nie wiem, jak zacząć.

— Nie zajmujemy się sprawami rozwodowymi — powiedział Tommy.

— O Boże, nie — odparł pan Montgomery Jones.

— Nie o to mi chodzi. Tylko, że... no, to jest strasznie dziwny żart. Cała ta sprawa.

— Czy ktoś zrobił panu dziwny kawał? — poddał Tommy, ale pan Montgomery Jones znów potrząsnął głową.

— No cóż — powiedział Tommy, wycofując się z wdziękiem — proszę się nie spieszyć i opowiedzieć nam to własnymi słowami.

Nastąpiła pauza.

— Widzi pan — powiedział w końcu Montgomery Jones — to było podczas kolacji. Siedziałem obok dziewczyny.

— No i? — zapytał Tommy zachęcająco.

— Ona była — och, nie potrafię jej opisać, ale to była jedna z najrówniejszych dziewczyn, jakie w życiu spotkałem. Australijka. Jest tu z koleżanką, mieszkają razem przy Clarges Street. Ona jest zdolna do wszystkiego. Naprawdę nie potrafię opisać wrażenia, jakie ta dziewczyna na mnie zrobiła.

— Potrafimy to sobie wyobrazić, panie Jones — wtrąciła łagodnie Tuppence, zdążyła już bowiem dojść do wniosku, że jeśli kłopoty pana Jonesa mają zostać ujawnione, niezbędna będzie pomoc współczującej kobiety, zupełnie odmienna od rzeczowych pytań Tommy'ego.

— Potrafimy to zrozumieć — powtórzyła zachęcająco.

— Okropnie mnie to zdumiało — ciągnął pan Jones — że dziewczyna może... tak na człowieka podzielać. Była co prawda inna dziewczyna... właściwie dwie. Jedna była bardzo wesoła i w ogóle, ale nie podobał mi się jakoś kształt jej brody. Co prawda świetnie tańczyła i znam ją całe życie, a w takiej sytuacji mężczyzna czuje się bezpiecznie, rozumiecie. A potem była jeszcze jedna dziewczyna z kabaretu. Okropnie wesoła, ale oczywiście byłoby masę kłótni z matką, a zresztą i tak nie chciałem się żenić z żadną z nich, ale różne rzeczy przychodziły mi do głowy, rozumiecie, i nagle, ni stąd ni zowąd — siedziałem obok tej dziewczyny i...

— ...cały świat stanął na głowie — odpowiedziała Tuppence ze szczerym przejęciem.

Tommy poruszył się niecierpliwie na krześle. Był już nieco znudzony listą romansów pana Montgomery'ego Jonesa.

— Bardzo dobrze to pani powiedziała — rozpromienił się pan Jones. — Dokładnie tak to było. Tylko wie pani, nawet nie marzyłem, że ona zwróci na mnie uwagę. Może tego nie widać, ale ja nie jestem zbyt bystry.

— Och, niech pan nie będzie taki skromny — odrzekła Tuppence.

— Ja wiem, że żaden ze mnie facet — ciągnął Montgomery Jones z zaraźliwym uśmiechem. — Nie dla takiej świetnej dziewczyny. Dlatego właśnie myślę, że muszę to zrobić. To moja jedyna szansa. To taka dziewczyna, która nigdy nie złamie słowa.

— Oczywiście, życzymy panu szczęścia i wszystkiego dobrego — powiedziała Tuppence. — Ale nadal nie rozumiem, co mamy dla pana zrobić.

— Och, Boże — przestraszył się pan Montgomery Jones. — Jeszcze tego nie wyjaśniłem?

— Nie, nie wyjaśnił pan — rzucił Tommy.

— No więc to było tak. Rozmawialiśmy o historiach detektywistycznych. Una, ona ma tak na imię, lubi je tak samo jak ja. Zaczęliśmy rozmawiać o jednej konkretnie. Potem mówiliśmy o alibi i fałszywym alibi, i ja powiedziałem — nie, to ona powiedziała — zaraz, które z nas to powiedziało?

— Mniejsza o to — mruknęła Tuppence.

— Powiedziałem, że okropnie trudno byłoby przedstawić fałszywe alibi. Ona się sprzeciwiła i powiedziała, że trzeba tylko trochę pomyśleć. Zaczęliśmy się o to sprzeczać i w końcu ona powiedziała tak: „Mam pewien pomysł. O co się założysz, że przedstawię alibi, którego nikt nie podważy?” Ja powiedziałem: „O co chcesz”, i założyliśmy się. Ona przez cały czas była okropnie pewna siebie i mówiła, że wszelkie szansę są po jej stronie. „Nie bądź taka pewna” —

powiedziałem. „A jeśli przegrasz i będę mógł poprosić, o co tylko zechcę?” Ona roześmiała się i powiedziała, że wszystko w porządku, bo pochodzi z rodziny hazardzistów i dotrzyma słowa.

Pan Montgomery Jones przerwał i spojrzał na Tuppence z prośbą w oczach.

— Nie rozumie pani? Wszystko zależy ode mnie. To dla mnie jedyna szansa, żeby taka dziewczyna jak ona w ogóle zechciała na mnie spojrzeć. Nie ma pani pojęcia, jaka ona jest nadzwyczajna. W zeszłym roku była na łódkach i założyła się z kimś, że wyskoczy przez burtę i dopłynie do brzegu w ubraniu, i tak zrobiła.

— To bardzo ciekawe — odezwał się Tommy. — Ale nadal nie jestem pewien, czy wszystko rozumiem.

— To bardzo proste — wyjaśnił pan Montgomery Jones. — Na pewno robicie coś takiego przez cały czas. Sprawdzacie fałszywe alibi i próbujecie je podważyć.

— Och... tak... hm... oczywiście — odrzekł Tommy. — Często zajmujemy się takimi rzeczami.

— Ktoś to musi za mnie zrobić — powiedział pan Jones. — Ja sam zupełnie się do tego nie nadaję. Musicie ją tylko na czymś przyłapać i wszystko będzie w porządku. Chyba sądzicie, że to jest bez sensu, ale dla mnie to jest bardzo ważne i gotów jestem zapłacić... eee... wiecie, wszystkie koszty i tak dalej.

— Nie ma problemu — powiedziała Tuppence. — Jestem pewna, że pan Blunt zechce się zająć tą sprawą.

— Oczywiście, oczywiście — zgodził się Tommy. — Ogromnie odświeżający problem, niezwykle odświeżający.

Pan Montgomery Jones westchnął z ulgą, wyciągnął z kieszeni plik papierów i rozłożył jeden z nich.

— To właśnie jest to — powiedział. — Ona powiedziała tak: „Daję ci dowody, że byłam w dwóch miejscach jednocześnie. Według jednej wersji zjadłam sama obiad w restauracji Bon Temps w Soho, poszłam do Teatru Książęcego, a potem na kolację do Savoyu z przyjacielem, panem Le Marchant. Jednocześnie mieszkałam w hotelu Castle w Torquay” i wróciłam do Londynu dopiero następnego dnia rano. Musisz sprawdzić, która z tych dwóch wersji jest prawdziwa i skąd się wzięła ta druga”.

— No więc — zakończył pan Montgomery Jones — teraz już wiecie, co macie dla mnie zrobić..

— Niezwykle zajmująca sprawa — powiedział Tommy. — Bardzo naiwna.

— To jest fotografia Uny. Będzie wam potrzebna.

— Jak brzmi jej nazwisko? — zapytał Tommy.

— Panna Una Drake. Mieszka przy Clarges Street.

— Dziękujemy. Zajmiemy się tą sprawą, panie Jones.

Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli dla pana dobre wiadomości.

— Niech pan posłucha eee..., tego..., będę niezmiernie wdzięczny — pan Montgomery Jones podniósł się i potrząsnął dłonią Tommy'ego. — Zdejmiecie mi wielki ciężar z serca.

Gdy klient już wyszedł i Tommy wrócił do gabinetu, zastał Tuppence przy półce zawierającej klasyczne pozycje.

— Inspektor French — powiedziała.

— Co takiego?

— Inspektor French, oczywiście — powtórzyła Tuppence. — On zawsze zajmuje się sprawdzaniem alibi. Znam dokładnie procedurę. Musimy wszystko posprawdzać. Na początku zawsze się wydaje, że wszystko się zgadza, ale gdy przyjrzeć się temu bliżej, znajdziemy luki.

— Nie powinno być z tym wiele trudności — przyznał Tommy. — To znaczy, od początku wiemy, że jedna wersja jest fałszywa i dlatego moim zdaniem sprawa jest pewna. To mnie właśnie martwi.

— Nie widzę w tym powodu do zmartwienia.

— Martwię się o tę dziewczynę — wyjaśnił Tommy.

— Prawdopodobnie będzie musiała wyjść za tego młodego człowieka, czy chce tego, czy nie.

— Kochanie, nie bądź głupi — odrzekła Tuppence.

— Kobiety nigdy nie są aż takimi hazardzistkami, na jakie wyglądają. Gdyby ta dziewczyna nie była do końca zdecydowana, że poślubi tego miłego, choć raczej bezmyślnego młodzieńca, nigdy by się nie dała wciągnąć w taki zakład. Ale wierz mi, Tommy, jeśli on wygra ten zakład, ona wyjdzie za niego z o wiele większym entuzjazmem i szacunkiem, niż gdyby musiała mu to ułatwić w jakiś inny sposób.

— Wydaje ci się, że wszystko wiesz — powiedział mąż.

— Bo tak jest.

— Przyjrzyjmy się więc danym — mruknął Tommy, przysuwając bliżej papiery. — Po pierwsze fotografia. Hm... całkiem ładna dziewczyna. Powiedziałbym także, że całkiem dobre zdjęcie, wyraźne i łatwe do rozpoznania.

— Musimy mieć kilka fotografii innych dziewczyn — powiedziała Tuppence.

— Po co?

— Zawsze się tak robi. Pokazujesz kelnerowi cztery albo pięć, a on wybiera właściwą.

— Czy myślisz, że naprawdę to robią, to znaczy, wybierają właściwą? — zapytał Tommy.

— W każdym razie w książkach tak robią.

— Szkoda, że prawdziwe życie tak bardzo różni się od książek — rzekł Tommy z żalem. — Co my tu mamy? Tak, to wersja londyńska. Obiad w Bon Temps, siódma trzydzieści. Poszła do Teatru Książęcego i obejrzała Błękitną ostróżkę. Kopia biletu załączona. Kolacja w Savoyu z panem Le Marchant. Sądzę, że powinniśmy z nim porozmawiać.

— To wszystko nic nam nie da — powiedziała Tuppence — bo jeśli on jej pomaga, to oczywiście niczego nie zdradzi. Możemy z góry przekreślić wszystko, co powie.

— Dalej mamy wersję z Torquay — ciągnął Tommy.

— Pociąg o dwunastej z Paddington, obiad w wagonie restauracyjnym, rachunek dołączony. Zatrzymała się na jedną noc w hotelu Castle. Znów rachunek.

— Myślę, że to wszystko nie jest bardzo mocne — powiedziała Tuppence. — Każdy może kupić bilet do teatru, a nie musi wcale iść na spektakl. Dziewczyna po prostu pojechała do Torquay i cała londyńska historia jest nieprawdziwa.

— Jeśli tak, to nie mamy wiele do roboty. Myślę, że jednak powinniśmy pójść porozmawiać z panem Le Marchant.

Pan Le Marchant był nonszalanckim młodym człowiekiem. Nie wyglądał na szczególnie zdziwionego ich widokiem.

— Una wymyśliła sobie jakąś zabawę, tak? — zapytał. — Nigdy nie wiadomo, co tej dziewczynie strzeli do głowy.

— Podobno, panie Le Marchant — powiedział Tommy — panna Drake była z panem na kolacji w Savoyu w zeszły wtorek.

— To prawda — potwierdził młody człowiek. — Pamiętam, że to był wtorek, bo Una wbijała mi to wtedy do głowy, a nawet kazała zapisać w notesie.

Pokazał im z dumą nabazgraną ołówkiem notatkę: „Kolacja z Una. Savoy. Wtorek dziewiętnastego”.

— Czy wie pan, gdzie panna Drake była wcześniej tego wieczoru?

— Była na jakimś głupim spektaklu. Nazywało się to Różowe peanie czy coś w tym stylu. Powiedziała mi, że to straszna bzdura.

— Czy jest pan zupełnie pewien, że panna Drake była z panem tamtego wieczoru?

Pan Le Marchant spojrział na niego ze zdumieniem.

— Ależ oczywiście. Przecież wam mówię.

— Może to ona prosiła pana, żeby pan tak powiedział — zasugerowała Tuppence.

— Właściwie to powiedziała coś bardzo dziwnego. Powiedziała tak: „Wydaje ci się, Jimmy, że siedzisz tutaj i jesz ze mną kolację, ale tak naprawdę ja jestem o dwieście mil stąd, w Devonshire”. Nie sądzicie, że to bardzo dziwne? Coś jak z tymi ciałami astralnymi. A najdziwniejsze jest to, że mój znajomy, Dick Rice, twierdzi, że ją tam widział.

— Kim jest pan Rice?

— Och, to taki mój kolega. Był w Torquay u ciotki. Staruszka z gatunku tych, co to wiecznie mają zamiar umrzeć i nigdy nie umierają. Dicky pojechał ją odwiedzić jako kochający siostrzeniec. Powiedział tak: „Widziałem któregoś dnia tę Australijkę — Unę jakoś tam. Chciałem podejść i porozmawiać z nią, ale ciotka mnie zgarnęła, żebym pogadał z jakimś starym babskiem na wózku inwalidzkim”. Zapytałem go, kiedy to było, a on odpowiedział, że we wtorek w porze herbaty. Mówiłem mu, oczywiście, że musiał się pomylić, ale to dziwne, prawda? W dodatku Una tamtego wieczoru wspomniała o Devonshire.

— Bardzo dziwne — rzeki Tommy. — Panie Le Marchant, proszę mi powiedzieć, czy może był wtedy w Savoyu ktoś znajomy, kto siedział niedaleko was?

— Przy sąsiednim stoliku siedzieli Oglanderowie.

— Czy oni znają pannę Drake?

— Tak, znają ją. Ale nie są bliskimi przyjaciółmi ani nic w tym rodzaju.

— Dobrze. Jeśli nic więcej nie ma nam pan do powiedzenia,, to myślę, że pożegnamy się z panem.

Gdy wyszli na ulicę, Tommy powiedział:

— Albo ten facet jest doskonałym łgarzem, albo mówił prawdę.

— Ja też tak myślę — zgodziła się Tuppence. — Zmieniłam zdanie. Teraz wydaje mi się, że Una Drake naprawdę jadła tamtego wieczoru kolację w Savoyu.

— Pójdziemy teraz do Bon Temps — oznajmił Tommy. — Odrobina pożywienia jest bardzo wskazana dla wygłodzonych detektywów. Ale najpierw musimy zdobyć kilka fotografii dziewcząt.

Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczali. W kilku zakładach fotograficznych ich prośba o zdjęcia spotkała się z chłodną odmową.

— Dłaczego rzeczy, które w książkach są bardzo proste, w życiu okazują się takie trudne? — jęknęła Tuppence. — Oni wszyscy patrzyli na nas okropnie podejrzliwie. Ciekawa jestem, co, ich zdaniem, chcieliśmy zrobić z tymi zdjęciami? Może lepiej chodźmy zrobić rewizje u Jane.

Jane, przyjaciółka Tuppence, okazała im przyjazne zrozumienie. Pozwoliła Tuppence przeszukać szufladę i zabrać cztery podobizny byłych przyjaciółek, które zostały pospiesznie wyrzucone sprzed oczu i z serca. Uzbrojeni w tę galaktykę damskiej urody pojechali do Bon Temps, gdzie czekały na nich nowe trudności i dodatkowe koszty. Tommy podchodził do wszystkich kelnerów po kolei, dawał napiwek i pokazywał fotografie. Rezultaty nie były zadowalające. Przynajmniej trzy spośród dziewcząt mogły tu jeść obiad w zeszły wtorek. Wrócili do biura i Tuppence zagłębiła się w lekturze kolejowego rozkładu jazdy.

— Paddington, dwunasta. Torquay, trzecia trzydzieści pięć. To ten pociąg. Przyjaciół Le Marchanta, pan Sago czy Tapioka, czy jak mu tam, widział ją mniej więcej o tej porze.

— Pamiętaj, że nie sprawdziliśmy tego — przypomniał jej Tommy. — Sama mówiłaś, że Le Marchant jest przyjacielem panny Drake, a skoro tak, to mógł po prostu wymyślić tę historię.

— Znajdziemy pana Rice — mruknęła Tuppence. — Ale mam przeczucie, że Le Marchant mówił prawdę. Nie, teraz chodzi mi o coś innego. Una Drake wyjeżdża z Londynu pociągiem o dwunastej, być może bierze pokój w hotelu i rozpakowuje się. Potem wsiada w pociąg do Londynu i wraca na czas, by zdążyć na kolację do Savoyu. Jest pociąg o czwartej czterdzieści, który przyjeżdża do Paddington o dziewiątej dziesięć.

— A potem? — zapytał Tommy.

— A potem — zmarszczyła brwi Tuppence — potem to jest trudniejsze. Jest pociąg z Paddington o północy, ale to za wcześnie, nie zdążąłaby.

— Szybki samochód — zasugerował Tommy.

— Hm — mruknęła Tuppence. — To tylko około dwustu mil.

— Zawsze słyszałem, że Australijczycy jeżdżą jak wariaci.

— Och, myślę, że to by się dało zrobić. Przyjechałaby tam około siódmej rano.

— Czy sądzisz, że udałoby jej się wejść do hotelu i przemknąć do łóżka tak, żeby nikt jej nie widział? Czy też miałaby tam przyjechać i wyjaśnić, że nie było jej przez całą noc i bardzo prosi o rachunek?

— Tommy — powiedziała Tuppence. — Jesteśmy idiotami. Ona wcale nie musiała jechać do Torquay. Mogła wysłać kogoś znajomego do hotelu, żeby zabrał jej bagaż i zapłacił za nocleg. Stąd się wziął rachunek z odpowiednią datą.

— Myślę, że generalnie rzecz biorąc doszliśmy do bardzo mocnej hipotezy — odrzekł Tommy. — Jutro o dwunastej na Paddington musimy wsiąść do pociągu do Torquay i zweryfikować nasze

błyskotliwe wnioski.

Następnego ranka Tommy i Tuppence, uzbrojeni w teczkę pełną fotografii, usadowili się w przedziale pierwszej klasy i zarezerwowali miejsca na drugi lunch.

— Prawdopodobnie będzie inna obsługa — zauważył Tommy. — To by było za wiele szczęścia. Pewnie przez kilka dni będziemy musieli jeździć do Torquay i z powrotem, żeby trafić na właściwą zmianę.

— To sprawdzanie alibi jest bardzo męczące — poskarżyła się Tuppence. — W książkach zajmuje to tylko dwa albo trzy akapity. Inspektor Jakiśtam wsiadł do pociągu do Torquay, przepytął obsługę wagonu restauracyjnego i w ten sposób zakończył sprawę.

Tym razem jednak szczęście im dopisało. Okazało się, że kelner, który przyniósł im rachunek za lunch, miał służbę w poprzedni wtorek. Po zastosowaniu tego, co Tommy nazywał siłą perswazji dziesięciu szylingów, Tuppence wyciągnęła fotografie.

— Chciałbym wiedzieć — powiedział Tommy — czy któraś z tych pan jadła lunch w pociągu w zeszły wtorek?

W sposób godny najlepszej fikcji kryminalnej mężczyzna natychmiast wskazał fotografię Uny Drake.

— Tak, proszę pana, pamiętam tę panią, i pamiętam, że to był wtorek, bo ta pani zwróciła mi na to uwagę, mówiąc, że to dla niej najszczęśliwszy dzień tygodnia.

— Na razie nieźle — powiedziała Tuppence, gdy wrócili do przedziału. — Prawdopodobnie okaże się także, że naprawdę wynajęła pokój w hotelu. Trudniej będzie udowodnić, że wróciła do Londynu, ale może zapamiętał ją jakiś bagażowy na stacji.

Na stacji jednak nie dowiedzieli się niczego. W drodze na położony wyżej peron Tommy wypytał kontrolera biletów i rozmaitych bagażowych. Po rozdaniu na wstępie kilku półkoronówek dwóch bagażowych oznajmiło, że dwie inne damy spośród przedstawionych na fotografiach mogły podróżować owego popołudnia do Londynu pociągiem o czwartej czterdzieści, nikt jednak nie rozpoznał Uny Drake.

— Ale to niczego nie dowodzi — powiedziała Tuppence, gdy już wyszli ze stacji. — Mogła jechać tym pociągiem, tylko, że nikt jej nie zauważył.

— Mogła też jechać z drugiej stacji, Torre.

— To możliwe — zgodziła się Tuppence — ale zanim to sprawdzimy, chodźmy najpierw do hotelu.

Hotel Castle był wielki, z widokiem na morze. Wzięli pokój na jedną noc i wpisali się do książki gości, po czym Tommy zauważył uprzejmie:

— Wydaje mi się, że nasza znajoma była tu w ostatni wtorek. Panna Una Drake.

Młoda kobieta siedząca za biurkiem rozpromieniła się.

— Ach tak, pamiętam ją dobrze. Wydaje mi się, że to była młoda Australijka.

Na znak Tommy'ego Tuppence wyjęła fotografię.

— To bardzo dobre zdjęcie, prawda?

— Och, bardzo ładne, rzeczywiście, bardzo stylowe.

— Jak długo tu została? — zapytał Tommy.

— Tylko tę jedną noc. Następnego ranka wróciła ekspresem do Londynu. To dość daleka podróż jak na tak krótki pobyt, ale oczywiście Australijki muszą być przyzwyczajone do podróżowania.

— To bardzo energiczna dziewczyna, lubi przygody — powiedział Tommy. — Kiedyś poszła z przyjaciółmi na kolację, potem wybrała się na przejażdżkę samochodem, wjechała w jakąś dziurę i nie mogła się z niej wydostać aż do rana. Ale to chyba nie było tutaj, prawda?

— Och, nie — odrzekła młoda kobieta. — Panna Drake jadła kolację tutaj, w hotelu.

— Jest pani tego pewna? To znaczy, skąd pani wie?

— Widziałam ją.

— Pytałem, bo wydawało mi się, że jadła kolację u przyjaciół w Torquay — wyjaśnił Tommy.

— Och, nie, była tutaj. — Kobieta zaśmiała się i zarumieniła lekko. — Pamiętam, że miała na sobie przepiękną sukienkę z szyfonu w bratki, ostatni krzyk mody.

— Tuppence, to nas pogrąża — powiedział Tommy, gdy już zaprowadzono ich na górę do pokoju.

— Raczej tak. Oczywiście, ta kobieta może się mylić. Zapytamy kelnera przy kolacji. O tej porze roku na pewno nie ma tu zbyt wielu gości.

Tym razem Tuppence rozpoczęła atak.

— Może pan wie, czy moja przyjaciółka była tu w zeszły wtorek? — zapytała kelnera z rozbrajającym uśmiechem. — Panna Drake. Zdaje się, że była ubrana w sukienkę w bratki. Ta dama. — Wyciągnęła fotografię.

Kelner natychmiast uśmiechnął się szeroko.

— Tak, tak, panna Drake, pamiętam ją bardzo dobrze. Powiedziała mi, że pochodzi z Australii.

— Jadła tu kolację?

— Tak. To było w ostatni wtorek. Pytała, co tu można zrobić wieczorem w mieście.

— Tak?

— Powiedziałem jej, że jest teatr Pavillion, ale w końcu zrezygnowała z wyjścia i została, żeby posłuchać naszej orkiestry.

— A niech to! — mruknął Tommy pod nosem.

— Nie pamięta pan, o której jadła obiad? — zapytała Tuppence.

— Przyszła trochę późno. Musiało to być około ósmej.

— Wszyscy diabli, piekło i szatani — powiedziała Tuppence, gdy wychodzili z restauracji. — Tommy, to wszystko zmierza w złym kierunku. A wydawało się, że to taka piękna, oczywista sprawa.

— Chyba powinniśmy byli wiedzieć, że nie będzie to takie proste.

— Ciekawe, czy jest jeszcze później jakiś pociąg, którym mogła wyjechać?

— Nie ma takiego, który byłby w Londynie na tyle wcześnie, żeby mogła zdążyć do Savoyu.

— No cóż — powiedziała Tuppence — jako ostatnia deska ratunku pozostała nam pokojówka. Una Drake mieszkała na tym samym piętrze, co my.

Pokojówka była gadatliwa i chętna do udzielania informacji. Tak, całkiem dobrze pamięta tę młodą kobietę. Zgadza się, to jej zdjęcie. Bardzo miła dziewczyna, ogromnie wesoła i rozmowna. Opowiadała dużo o Australii i o kangurach. Około wpół do dziesiątej zadzwoniła i poprosiła, by włożyć jej do łóżka termofor oraz by obudzić ją następnego dnia rano o wpół do ósmej. Zażyła też sobie kawę zamiast herbaty.

— Czy gdy pani przyszła tu rano, zastała ją pani w łóżku? — zapytała Tuppence.

— Ależ tak, proszę pani, oczywiście.

— Och, zastanawiałam się tylko, czy ona się gimnastykuje albo coś w tym rodzaju — wyjaśniła Tuppence pospiesznie. — Wiele osób robi to wcześnie rano.

Gdy pokojówka wyszła, Tommy powiedział:

— No cóż, wydaje mi się, że to wszystko jest nie do podważenia. Można z tego wysnuć tylko jeden wniosek. To londyńska wersja musi być fałszywa.

— To znaczy, że pan Le Marchant jest o wiele lepszym kłamcą, niż nam się wydawało — odrzekła Tuppence.

— Jest sposób, by sprawdzić to, co mówił. Powiedział, że przy sąsiednim stoliku siedzieli ludzie,

których Una zna przelotnie. Jak oni się nazywali — aha, Oglander. Musimy znaleźć tych Oglanderów i powinniśmy także zapytać w jej mieszkaniu, na Clarges Street.

Następnego ranka zapłacili rachunek i wyjechali, nieco przygnębieni.

Odnalezienie Oglanderów z pomocą książki telefonicznej okazało się łatwe. Tym razem Tuppence przeszła do ataku, wcielając się w przedstawicielkę nowego pisma ilustrowanego. Odwiedziła panią Oglander i zapytała o kilka szczegółów ich kameralnej, stylowej kolacji w Savoyu we wtorek wieczorem. Pani Oglander udzieliła tych informacji z najwyższą przyjemnością. Już przy wyjściu Tuppence zapytała mimochodem:

— Zaraz, czy przypadkiem panna Drake nie siedziała przy sąsiednim stoliku? Czy to prawda, że jest zaręczona z księciem Perth? Zna ją pani, oczywiście?

— Znam ją przelotnie — odpowiedziała pani Oglander. — Czarująca dziewczyna. Tak, siedziała obok nas z panem Le Marchant. Moje córki znają ją lepiej niż ja.

Następnym portem Tuppence stało się mieszkanie przy Clarges Street. Tu powitała ją panna Marjory Leicester, przyjaciółka, z którą panna Drake mieszkała.

— Proszę mi powiedzieć, o co tu chodzi? — zapytała panna Leicester błagalnym tonem. — Una wymyśliła sobie jakąś zabawę, a ja nie mam o niczym pojęcia. Oczywiście, że nocowała tu we wtorek.

— Czy widziała ją pani, gdy wróciła?

— Nie, byłam już w łóżku. Ona ma swój klucz, rzecz jasna. Zdaje się, że wróciła około pierwszej.

— Kiedy ją pani widziała?

— Następnego ranka około dziewiątej. Może nawet było bliżej dziesiątej.

Tuppence wychodząc zderzyła się z wysoką, postawną kobietą.

— Przepraszam panią bardzo — powiedziała kobieta.

— Czy pani tu pracuje? — zapytała Tuppence.

— Tak, panienko, przychodzę codziennie.

— O której godzinie rano pani tu przychodzi?

— Zaczynam pracę o dziewiątej. Tuppence wsunęła w jej dłoń półkoronówkę.

— Czy panna Drake była tu w zeszły wtorek rano, gdy pani przyszła?

— Ależ tak, proszę pani, była. Spała mocno w swoim łóżku i obudziła się dopiero wtedy, gdy

przyniosłam jej herbatę.

— Dziękuję — odrzekła Tuppence i niepocieszona zeszła ze schodów. Umówiona była z Tommym na lunch w małej restauracji w Soho i tam porównali wiadomości.

— Spotkałem się z tym Rice'm. Rzeczywiście widział z pewnej odległości Unę w Torquay.

— Sprawdziliśmy to alibi dokładnie. Daj mi ołówek i kawałek papieru. Musimy to wszystko ładnie zapisać. Detektywi zwykle tak robią.

1.30 po południu. — Widziano Unę Drake w wagonie restauracyjnym pociągu.

4.00 — Przyjechała do hotelu Castle.

5.00 — Widział ją pan Rice.

8.00 — Widziana w hotelu przy obiedzie.

9.30 — Poprosiła o termofor.

11.30 — Widziano ją w Savoyu z panem Le Marchantem.

7.30 rano. — Widziała ją pokojówka w hotelu Castle.

9.00 — Widziała ją sprzątaczką w mieszkaniu przy Clarges Street.

Spojrzeli na siebie.

— Wygląda na to, że Błyskotliwi Detektywi Blunta zostali pokonani — powiedział Tommy.

— Nie wolno się poddawać. Ktoś tu musi kłamać!

— Co najdziwniejsze, jestem przekonany, że nikt nie kłamał. Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo szczerych i prostolinijnych.

— Ale gdzieś tu musi być błąd. Myślałam już nawet o takich rzeczach, jak prywatne samoloty, ale to wcale nie posuwa nas do przodu.

— Ja się przychyłam do teorii ciała astralnego.

— Chyba musimy odłożyć to do jutra — powiedziała Tuppence. — Podczas snu pracuje podświadomość.

— Hm — odrzekł Tommy. — Jeśli twoja podświadomość do jutra dostarczy ci prawidłowej odpowiedzi na tę zagadkę, zdejmę przed tobą kapelusz.

Przez cały wieczór oboje byli milczący. Tuppence wciąż na nowo oglądała kartkę z zapisem godzin i robiła jakieś notatki na skrawkach papieru, mrucząc coś do siebie i z zapalem kartkując

rozkład jazdy. W końcu jednak poszli spać nie mając najmniejszego pojęcia, jak może wyglądać rozwiązanie tego problemu.

— To bardzo zniechęcające — powiedział Tommy.

— Jeden z najgorszych wieczorów w moim życiu — wyznała Tuppence.

— Powinniśmy byli pójść do music hallu. Kilka niezłych dowcipów o teściowych, bliźniętach i butelkach piwa dobrze by nam zrobiło.

— Zobaczysz, że koncentracja w końcu przyniesie skutki. Nasza podświadomość będzie bardzo zajęta w ciągu najbliższych ośmiu godzin!

I z tym optymistycznym akcentem położyli się spać.

— Czy twoja podświadomość do czegoś doszła? — zapytał Tommy następnego ranka.

— Mam pewien pomysł — odpowiedziała Tuppence.

— Ach, tak. Co to za pomysł?

— Dosyć zabawny. Niczego takiego nigdy nie czytałam w żadnej powieści detektywistycznej. W gruncie rzeczy to ty poddałeś mi ten pomysł.

— W takim razie musi być dobry — odrzekł Tommy z przekonaniem. — No już, Tuppence, powiedz mi, o co chodzi.

— Będę musiała nadać telegram, żeby to sprawdzić. Nie, nie powiem ci. To bardzo głupi pomysł, ale jedyny, który pasuje do wszystkich faktów.

— Muszę iść do biura — rzekł Tommy. — Nie można dopuścić do tego, by pokój wypełnił się rozczarowanymi, czekającymi na próżno klientami. Zostawiam tę zagadkę w rękach mojej obiecującej podwładnej.

Tuppence pogodnie skinęła głową.

Przez cały dzień nie pokazała się w biurze. Gdy Tommy około wpół do szóstej wrócił do domu, czekała na niego, niezwykle podniecona.

— Udało się, Tommy. Rozwiązałam zagadkę alibi! Możemy sobie podliczyć te półkoronówki i dziesięcioszylingówki i zażądać od pana Montgomery'ego Jonesa poważnego honorarium za nasze usługi, a on może iść i wziąć sobie tę dziewczynę.

— Jakie jest rozwiązanie? — zawołał Tommy.

— Bardzo proste — odparła Tuppence. — Bliźnięta.

— Co to znaczy: bliźnięta?

— Po prostu. Oczywiście, to jedyne możliwe rozwiązanie. Muszę przyznać, że to ty poddałeś mi ten pomysł wczoraj wieczorem, gdy mówiłeś o teściowych, bliźniakach i butelkach piwa. Zadepeszowałam do Australii i otrzymałam informacje, o które prosiłam. Una ma siostrę bliźniaczkę, Verę, która w zeszły poniedziałek przyjechała do Londynu. Dlatego mogła tak spontanicznie zgodzić się na ten zakład. Sądziła, że wywrze tym wielkie wrażenie na biednym Montgomerym Jonesie. Jej siostra pojechała do Torquay, a ona sama została w Londynie.

— Czy myślisz, że będzie bardzo rozpaczać z powodu przegranej? — zapytał Tommy.

— Nie, nie sądzę. Powiedziałam ci już, co o tym myślę. Cała chwała spadnie na Montgomery'ego Jonesa. To powiększy jej szacunek do niego. Zawsze uważałam, że podstawą życia małżeńskiego powinien być szacunek dla zdolności męża.

— Cieszę się, że udało mi się wzbudzić w tobie takie przekonanie, Tuppence.

— To nie jest naprawdę satysfakcjonujące rozwiązanie. Nie ma tu genialnego potknięcia, które wykryłby inspektor French.

— Bzdura — obruszył się Tommy. — Myślę, że pokazywałem te zdjęcia kelnerowi w restauracji dokładnie w taki sposób, jak zrobiłby to inspektor French.

— On nie musiałby użyć nawet połowy z tych półkoronówek i banknotów dziesięcioszylingowych, co my — westchnęła Tuppence.

— Mniejsza o to. Możemy je wszystkie wraz z innymi dodatkami wpisać na rachunek pana Montgomery'ego Jonesa. On będzie tak ogłupiały ze szczęścia, że zapłaci nawet największe honorarium bez mrugnięcia okiem.

— I słusznie — powiedziała Tuppence. — Czyż Błyskotliwi Detektywi Blunta nie osiągnęli błyskotliwego sukcesu? Och, Tommy, wydaje mi się, że wykazaliśmy wyjątkową bystrość. Chwilami aż mnie to przeraża.

— Następną sprawą będzie w stylu Rogera Sheringhama, i to ty nim będziesz, Tuppence...

— Będę musiała dużo mówić — zauważyła Tuppence.

— Robisz to bez trudu. A teraz proponuję, żebyśmy wprowadzili w życie mój program z ostatniego wieczoru i poszukali jakiegoś musie hallu, gdzie będzie mnóstwo dowcipów o teściowych, piwie i bliźniętach.

Rozdział dwudziesty

Córka pastora

Tuppence melancholijnie snuła się po biurze.

— Chciałabym, żebyśmy zaprzyjaźnili się z, jakąś córką pastora — powiedziała.

— Dlaczego? — zapytał Tommy.

— Może o tym zapomniałeś, ale ja sama byłam kiedyś córką pastora. Pamiętam, jak to jest. Stąd wzięły się we mnie te altruistyczne zapędy — ten duch głębokiego zrozumienia dla innych — ten...

— Widzę, że przygotowujesz się do roli Rogera Sheringhama — powiedział Tommy. — Jeśli wybaczysz mi krytykę, mówisz tak samo dużo jak on, tyle że nie tak samo dobrze.

— Wręcz przeciwnie — oburzyła się Tuppence. — W tym, co mówię, jest kobieca subtelność, pewne *je ne sais quoi*, którego żaden gruboskórny mężczyzna nie byłby w stanie osiągnąć. Co więcej, posiadam umiejętności obce mojemu prototypowi — czy mam na myśli „prototyp”? Słowa są tak niejasne, często brzmią dobrze, lecz oznaczają przeciwieństwo tego, co ma się na myśli.

— Mów dalej — powiedział Tommy uprzejmie.

— Mówię. Zrobiłam tylko przerwę na wzięcie oddechu. Chcę dzisiaj użyć moich mocy na to, by dopomóc córce pastora. Zobaczysz, Tommy, że pierwszą osobą, jaka dzisiaj się do nas zgłosi, będzie córka pastora.

— Założę się, że nie.

— Zakład stoi. Sza! Wszyscy na stanowiska! O, Izraelu! Nadchodzi.

Praca wrzała w biurze pana Blunta, gdy Albert otworzył drzwi i zapowiedział:

— Panna Monica Deane.

W drzwiach stanęła niepewnie szczupła, niepozorna dziewczyna, ubrana raczej tanio. Tommy podniósł się zza biurka.

— Dzień dobry, panno Deane. Zechce pani usiąść i powiedzieć, co możemy dla pani zrobić. Pozwoli pani, że przedstawię moją zaufaną sekretarkę, pannę Sheringham.

— Niezmiernie mi miło panią poznać, panno Deane — powiedziała Tuppence. — Sądzę, że ojciec pani był duchownym?

— Tak, to prawda. Ale skąd pani o tym wie?

— Och, mamy swoje metody. Niech pani nie zwraca uwagi na moje spostrzeżenia. Pan Blunt lubi się przysłuchiwać temu, co mówię. Zawsze powtarza, że to naprowadza go na pomysły.

Dziewczyna nie spuszczała wzroku z Tuppence. Była drobną istotą, niezbyt piękną, ale obdarzoną pewną melancholijną urodą. Miała gęste, ciemnopopielate włosy i piękne szafirowe oczy, ale cienie pod nimi świadczyły o kłopotach i zdenerwowaniu.

— Zechce nam pani opowiedzieć, co panią tu sprowadza — powiedział Tommy.

Dziewczyna odwróciła się do niego z wdzięcznością.

— To dosyć długa i zawiła historia. Nazywam się Monica Deane. Mój ojciec był proboszczem w Little Hampsley w Suffolk. Zmarł trzy lata temu. Moja matka i ja zostałyśmy bez grosza. Pracowałam jako guwernantka, ale moja matka stała się inwalidką i musiałam wrócić do domu, żeby się nią opiekować.

Byłyśmy rozpaczliwie biedne, ale pewnego dnia przyszedł list od prawnika z wiadomością, że zmarła ciotka mojego ojca i że dziedziczą po niej wszystko. Często słyszałam o tej ciotce. Pokłóciła się z ojcem wiele lat temu i wiedziałam, że była bardzo bogata, więc wydawało się, że nasze kłopoty się skończyły. Okazało się jednak, że nie jest tak dobrze, jak miałyśmy nadzieję. Odziedziczyłam dom, w którym ciotka mieszkała, ale po spłaceniu kilku drobnych zapisów zostaliśmy prawie bez pieniędzy. Podejrzywałam, że ciotka straciła wszystko podczas wojny, albo może żyła z kapitału. W każdym razie został nam dom i prawie natychmiast pojawiła się szansa bardzo korzystnej sprzedaży. Odrzuciłam jednak tę ofertę, być może lekkomyślnie. Przedtem mieszkaliśmy w maleńkim, lecz droгим mieszkaniu i sądziłam, że o wiele przyjemniej będzie się przenieść do Red House, gdzie moja matka miałaby wygodę i mogłybyśmy prowadzić pensjonat, by pokryć koszty utrzymania. Trzymałam się tego planu pomimo kolejnych kuszących ofert od dżentelmena, który wyrażał chęć kupna domu. Wprowadziłyśmy się tam i dałam ogłoszenia o pensjonacie. Przez jakiś czas wszystko szło dobrze, i było kilku lokatorów; stara służąca mojej ciotki została z nami i we dwie wykonywałyśmy wszystkie prace domowe. A potem zaczęły się dziać różne nie wyjaśnione rzeczy.

— Jakie?

— Przedziwne. Wyglądało na to, że dom jest nawiedzony. Obrazy spadały ze ścian, naczynia przelatowały przez pokój i tłukły się; pewnego ranka zastałyśmy wszystkie meble poprzerastawiane. Na początku wyglądało na to, że ktoś nam robi głupie kawały, ale musiałyśmy zmienić zdanie. Czasem, gdy wszyscy w domu siadali do kolacji, nad głową rozlegał się potworny huk. Gdy poszliśmy na górę, nikogo nie było, tylko jakiś rozbity mebel.

— *Poltergeist* — zawołała zafascynowana Tuppence.

— Tak właśnie powiedział doktor O'Neill, chociaż nie wiem, co to znaczy.

— To taki zły duch, który robi sobie dowcipy — wyjaśniła Tuppence, która w gruncie rzeczy

wiedziała na ten temat bardzo niewiele i nie była nawet pewna, czy nie przekreśliła słowa *poltergeist*.

— W każdym razie skutki były opłakane. Nasi goście wystraszyli się śmiertelnie i wyjechali przy pierwszej okazji. Przyjechali nowi, ale ci też wkrótce się wynieśli. Byłam w rozpacz, a na dodatek straciłyśmy nasz mały, ale stały dochód. Okazało się, że firma, w którą był zainwestowany, zbankrutowała.

— Biedne dziecko — powiedziała Tuppence ze współczuciem. — Jakie to musiało być dla ciebie okropne. Czy chcesz, żeby pan Blunt zainteresował się tymi „duchami”?

— Niezupełnie. Widzi pan, trzy dni temu odwiedził nas pewien dżentelmen. Przedstawił się jako doktor O’Neill. Powiedział, że jest członkiem Towarzystwa Badań Fizycznych i że słyszał o dziwnych zjawiskach, jakie miały miejsce w tym domu i bardzo go to zainteresowało. Do tego stopnia, że był gotów kupić od nas dom, by przeprowadzić w nim serię eksperymentów.

— No i cóż?

— Oczywiście, w pierwszej chwili nie posiadałam się z radości. Wydawało mi się, że to jest sposób na wyjście z wszystkich naszych kłopotów. Ale...

— Tak?

— Może pan sobie pomyśli, że mam bujną wyobraźnię. Może tak jest, ale... och, jestem pewna, że się nie mylę. To był ten sam człowiek!

— Który?

— Ten sam, który chciał kupić dom wcześniej. Jestem pewna, że mam rację.

— Ale co w tym złego?

— Nie rozumie pan? To byli z wyglądu dwaj zupełnie różni mężczyźni, inne nazwiska, wiek, zachowanie. Ten pierwszy był dosyć młody, po trzydziestce, bystry i ciemny. Doktor O’Neill ma około pięćdziesięciu lat, siwą brodę, nosi okulary i utyka. Ale gdy mówił, zauważyłam w jego ustach po jednej stronie złoty ząb. Widać go tylko wtedy, gdy się śmieje. Tamten mężczyzna miał taki sam ząb w tym samym miejscu. A potem spojrzałam na jego uszy. Zwróciłam uwagę na uszy tamtego, bo miały bardzo charakterystyczny kształt, prawie bez płątka. Doktor O’Neill ma zupełnie takie same. To nie może być zbieg okoliczności, prawda? Myślałam i myślałam, i w końcu napisałam do niego, że dam mu odpowiedź za tydzień. Jakiś czas temu zauważyłam ogłoszenie pana Blunta — właściwie to zauważyłam je w starej gazecie, którą wyłożona była szuflada w kuchni. Wycięłam je i przyjechałam tutaj.

— Miała pani zupełną rację — Tuppence energicznie pokiwała głową. — Trzeba się tym zająć.

— Bardzo interesująca sprawa, panno Deane — zauważył Tommy. — Zajmiemy się nią z przyjemnością, prawda, panno... Sheringham?

— Oczywiście, i dotrzemy do sedna.

— Rozumiem, panno Deane — podjął Tommy — że w całym domu przebywa tylko pani, matka pani i służąca. Czy może mi pani powiedzieć coś bliższego o służącej?

— Nazywa się Crockett. Pracowała u mojej ciotki przez jakieś osiem czy dziesięć lat. To starsza kobieta, niezbyt miła w obejściu, ale dobrze pracuje. Trochę zadziera nosa, bo jej siostra wyszła dobrze za męża. Ma siostrzeńca, o którym zawsze mówi, że to „prawdziwy dżentelmen”.

— Hm — mruknął Tommy, nie bardzo wiedząc, o co zapytać.

Tuppence popatrzyła na dziewczynę przenikliwie i odezwała się zdecydowanym tonem:

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli panna Deane zje ze mną lunch. Jest już pierwsza. Dowiem się wszystkich szczegółów.

— Oczywiście, panno Sheringham — zgodził się Tommy. — Znakomity pomysł.

— Niech pani posłucha — powiedziała Tuppence, gdy już usiadły wygodnie w restauracji naprzeciwko — chciałabym wiedzieć, czy jest jakiś szczególny powód, dla którego zależy pani na wyjaśnieniu tej sprawy?

Monica oblała się rumieńcem.

— Proszę mówić śmiało — zachęciła ją Tuppence.

— No cóż, są dwaj mężczyźni, którzy... chcą mnie poślubić.

— Podejrzewam, że to ta sama stara historia? Jeden biedny, drugi bogaty, a pani woli tego biednego?

— Nie rozumiem, skąd pani o tym wszystkim wie — wymamrotała dziewczyna.

— Takie są prawa natury — wyjaśniła Tuppence.

— To się zdarza każdemu. Mnie też się to zdarzyło.

— Widzi pani, nawet gdybym sprzedała dom, to nie wystarczy nam na życie. Gerald jest kochany, ale rozpaczliwie biedny — chociaż jest bardzo zdolnym inżynierem, i gdyby tylko miał trochę pieniędzy, jego firma przyjąłaby go na wspólnika. Ten drugi mężczyzna, pan Partridge, to z pewnością bardzo dobry człowiek... i zamożny, i gdybym za niego wyszła, skończyłyby się wszystkie moje kłopoty. Ale... ale...

— Wiem — powiedziała Tuppence ze współczuciem.

— To byłoby zupełnie nie to samo. Może sobie pani powtarzać, że to dobry i wartościowy człowiek, i dodawać do siebie wszystkie jego zalety, jakby to było działanie matematyczne, ale to

razem tylko coraz bardziej panią mrozi.

Monica skinęła głową.

— No cóż — powiedziała Tuppence — chyba najlepiej będzie, jeśli pojedziemy tam i przyjrzymy się sprawie z bliska. Jaki jest adres?

— Red House, Stourton-in-the-Marsh.

Tuppence zapisała adres w notesie.

— Nie zapytałam jeszcze — Monica zaczerwieniła się — o warunki...

Nasze honorarium zależne jest od wyników działań — powiedziała Tuppence poważnie. — Jeśli tajemnica Red House dotyczy czegoś cennego, jak się to wydaje, sądząc po tak uporczywym dążeniu do nabycia tej posiadłości, będziemy oczekiwać niewielkiego procentu, w innym wypadku — niczego!

— Bardzo dziękuję — odrzekła dziewczyna z wdzięcznością.

— Niech się pani nie martwi — powiedziała Tuppence. — Wszystko będzie dobrze. Zajmijmy się jedzeniem i porozmawiajmy o czymś interesującym.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Córka pastora (dokończenie)

Tommy wyrzał przez okno gospody Pod Koroną i Kotwicą.

— No cóż — powiedział — jesteśmy więc w tej Dziurze Ropuchy, czy jak ta przeklęta wioska się nazywa.

— Uporządkujmy sobie całą sprawę — zaproponowała Tuppence.

— Dobrze. Na początek, pozwól, że zacznę, ja podejrzewam matkę inwalidkę!

— Dlaczego?

— Droga Tuppence, przyjmij na chwilę, że cała sprawa z *poltergeistem* była inscenizacją, stworzoną po to, by przekonać dziewczynę do sprzedaży domu. W takim razie ktoś musiał rzucać przedmiotami. Dziewczyna mówiła, że wszyscy byli przy kolacji, ale jeśli matka jest zupełną inwalidką, to była na górze w swoim pokoju.

— Jeśli jest inwalidką, to nie mogłaby rzucać meblami.

— Ach, ale chodzi mi o to, że tak naprawdę nie jest inwalidką, tylko udaje!

— Po co?

— Tu mnie zagięłaś — przyznał mąż. — Po prostu snułem przypuszczenia według dobrze znanej zasady, że podejrzewać należy najmniej prawdopodobną osobę.

— Ty ze wszystkiego robisz sobie zabawę — odrzekła Tuppence surowo. — Musi być coś, co sprawia, że jacyś ludzie tak kręcą się wokół tego domu. Może ciebie nie interesuje, co się za tym kryje, ale mnie tak. Podoba mi się ta dziewczyna. Jest dobra i miła. Tommy poważnie skinął głową.

— Zgadzam się. Ale nigdy nie mogę się powstrzymać, Tuppence, żeby się z tobą trochę nie podroczyć. Oczywiście, w tym domu jest coś dziwnego i cokolwiek by to było, trudno się do tego dostać. Inaczej wystarczyłoby zwykłe włamanie. Ale jeśli ktoś chce kupić dom, to znaczy, że albo ma zamiar zrywać podłogi i burzyć ściany, albo pod ziemią w ogrodzie jest kopalnia węgla.

— Nie chcę, żeby to była kopalnia węgla. Zakopany skarb jest o wiele bardziej romantyczny.

— Hm — mruknął Tommy. — W takim razie chyba powinienem złożyć wizytę miejscowemu dyrektorowi banku, wyjaśnić, że przyjechałem tu na święta, że chyba kupię Red House, i przedyskutować z nim kwestię otwarcia konta.

— Ale dlaczego...?

— Poczekaj, to zobaczysz.

Tommy wrócił po półgodzinie, mrugając wesoło.

— Robimy postępy, Tuppence. Rozmowa przebiegała według wyznaczonej linii. Potem mimochodem zapytałem dyrektora, czy ma dużo wkładów w złocie, jak to się teraz często zdarza w małych bankach na prowincji — wiesz, drobni farmerzy, którzy zabezpieczali się w czasie wojny. Stąd zupełnie naturalnie przeszliśmy do ekstrawagancji starszych dam. Wymyśliłem sobie ciotkę, która w chwili wybuchu wojny pojechała do sklepów wojskowych wózkiem i przywiozła szesnaście szynek. On zaś natychmiast wspomniął o pewnej swojej klientce, która uparła się, że wycofa z banku wszystko co do grosza, o ile to możliwe, w złocie, a także wszystkie papiery wartościowe, bony na okaziciela i tym podobne, i zabrała to wszystko do domu. Wykrzyknąłem, że to strasznie głupie, a on nadmienił, że to właśnie była poprzednia właścicielka Red House. Widzisz, Tuppence? Wyjęła z banku wszystkie swoje pieniądze i gdzieś je ukryła. Pamiętasz, jak Monica Deane powiedziała, iż była zaskoczona, że zostało tak mało pieniędzy? Tak, one są ukryte gdzieś w Red House i ktoś o tym wie. Mogę zupełnie dobrze odgadnąć, kto to taki.

— Kto?

— A co powiesz o wiernej Crockett? Na pewno wiedziała o wszystkich dziwactwach swojej pani.

— A ten doktor O'Neill ze złotym zębem?

— To oczywiście siostrzeniec—dżentelmen! Tylko gdzie ona mogła to schować? Wiesz więcej o starszych damach, niż ja. Gdzie one chowają rzeczy?

— Pod materacem, zawinięte w pończochy i halki.

Tommy skinął głową.

— Podejrzewam, że masz rację. Ale ona nie mogła tego zrobić, bo znaleziono by to przy przeglądaniu jej rzeczy. Martwi mnie to. Widzisz, taka staruszka nie mogła zdjąć podłogi ani kopać dołów w ogrodzie. A mimo wszystko to jest gdzieś w Red House. Crockett jeszcze tego nie znalazła, ale wie, że tam jest i gdy już ona i jej ukochany siostrzeniec będą mieli cały dom dla siebie, przewrócą go do góry nogami i znajdą to, czego szukają. Chodź, Tuppence, pójdziemy do Red House.

Powitała ich Monica Deane. Jej matce i pani Crockett zostali przedstawieni jako ewentualni nabywcy posiadłości. Wyjaśniało to fakt, że oprowadzono ich po całym domu z przyległościami. Tommy nie wyjawiał przed Moniką wniosków, do których doszedł, ale zadawał jej wiele wnikliwych pytań. Część ubrań i prywatnych rzeczy zmarłej oddano pani Crockett, a inne wysłano różnym biednym rodzinom. Wszystko zostało bardzo dokładnie przejrane.

— Czy pani ciotka zostawiła jakieś papiery?

— Biurko było pełne, i jeszcze trochę w szufladzie w sypialni, ale nie znalazłam wśród nich

niczego ważnego.

— Czy te papiery zostały wyrzucone?

— Nie, moja matka nigdy nie wyrzuca żadnych starych papierów. Były tam jakieś staroświeckie przepisy, które ma zamiar przejrzeć.

— To dobrze — powiedział Tommy z aprobatą i wskazał na starego człowieka, który pracował przy jednej z grządek w ogrodzie. — Czy ten mężczyzna był tu ogrodnikiem w czasach pani ciotki?

— Tak, przychodził trzy razy w tygodniu. Mieszka w wiosce. Biedny staruszek, już dawno nie nadaje się do żadnej pożytecznej pracy. Przychodzi tu teraz raz na tydzień, żeby trochę uporządkować ogród. Nie możemy sobie pozwolić na nic więcej.

Tommy mrugnął do Tuppence, sygnalizując, że powinna zatrzymać Monice przy sobie, a sam podszedł do ogrodnika. Wymienił z nim kilka uprzejmych słów, zapytał, czy pracował tu dla starej pani, a potem powiedział mimochodem:

— Zakopał pan tu kiedyś dla niej skrzynkę, prawda?

— Nie, proszę pana, nigdy żem nic dla niej nie zakopywał. Po co by miała zakopywać skrzynkę?

Tommy potrząsnął głową i ze zmarszczonym czołem wrócił do domu. Pozostawała tylko nadzieja, że przejrzanie papierów staruszki przyniesie jakieś rezultaty — inaczej rozwiązanie problemu mogło nastęrczyć wiele trudności. Dom był staroświecki, ale nie aż tak stary, by mógł zawierać sekretny pokój lub korytarzyk.

Zanim wyszli, Monica przyniosła im duże, tekturowe pudło związane sznurkiem.

— Zebrałam wszystkie papiery — wyjaśniła szeptem. — Są tutaj. Pomyślałam, że możecie je zabrać ze sobą i będziecie mieli mnóstwo czasu, żeby je przejrzeć, ale jestem pewna, że nie znajdziecie tu niczego, co mogłoby w jakiś sposób wyjaśnić dziwne rzeczy, które działy się w tym domu...

Przerwał jej okropny huk na górze. Tommy szybko wbiegł po schodach. Dzbanek i miednica w jednym z frontowych pokoi leżały na podłodze, roztrzaskane. W pokoju nie było nikogo.

— Duch znów wyczynia swoje sztuczki — mruknął z ironicznym uśmiechem i zamyślony wrócił na dół.

— Ciekaw jestem, panno Deane, czy mógłbym przez chwilę porozmawiać z tą pokojówką, panią Crockett.

— Oczywiście. Poproszę ją, żeby tu przyszła. Monica wyszła do kuchni i wróciła ze starszą kobietą, która wcześniej otworzyła im drzwi.

— Zastanawiamy się nad kupnem tego domu — powiedział Tommy uprzejmie — i moja żona była

ciekawa, czy w takim wypadku zgodziłaby się pani tu pozostać?

Na szacownej twarzy pani Crockett nie ukazał się nawet cień żadnego uczucia.

— Dziękuję pani — odpowiedziała. — Jeśli mogę, to chciałabym to przemyśleć.

Tommy zwrócił się do Moniki.

— Jestem zachwycony domem, panno Deane. Rozumiem, że ma pani jeszcze jednego chętnego do kupna. Wiem, jaką sumę pani zaoferował, i chętnie zapłacę o sto funtów więcej. I proszę pamiętać, że daję pani dobrą cenę.

Monica wymruczała coś niezobowiązującego i państwo Beresford opuścili posiadłość.

— Miałem rację — powiedział Tommy, gdy wyjeżdżali sprzed bramy — Crockett w tym siedzi. Czy zauważyłaś, że brakowało jej tchu? To dlatego, że zbiegła po schodach po rozbiciu dzbanka i miednicy. Bardzo możliwe, że czasem w tajemnicy wpuszczała swego siostrzeńca do domu i on bawił się w *poltergeista*, czy jak to się nazywa, podczas gdy ona była niewinnie z rodziną. Zobaczysz, że jeszcze dzisiaj doktor O'Neill przedstawi kolejną ofertę.

Okazało się, że Tommy miał rację. Po obiedzie przyniesiono im list od Moniki:

Przed chwilą otrzymałam wiadomość od doktora O'Neill. Podnosi swoją poprzednią ofertę o 150 funtów.

— Siostrzeniec musi być zamożnym człowiekiem — powiedział Tommy z namysłem. — I powiem ci coś, Tuppence, nagroda, której szuka, musi być warta zachodu.

— Och! Och! Och! Gdybyśmy tylko potrafili ją odnaleźć!

— No cóż, zajmijmy się pracą fizyczną. Przeglądanie zawartości wielkiego pudła było dość nużącym zajęciem, gdyż papiery były powrzucone do środka bez ładu i składu, niezależnie od treści i rodzaju. Co kilka minut porównywali znaleziska.

— Co masz nowego, Tuppence?

— Dwa stare zapłacone rachunki, trzy nieistotne listy, przepis na przechowywanie młodych ziemniaków i drugi na sernik cytrynowy. A co u ciebie?

— Jeden rachunek, wiersz o wiośnie, dwa wycinki z gazet: „Dlaczego kobiety kupują perły — rozsądna inwestycja” i „Niezwykła historia człowieka, który miał cztery żony”, oraz przepis na konserwę z zająca.

— Można się załamać — mruknęła Tuppence i znów wrócili do papierów. Po chwili pudło było puste. Spojrzeli na siebie.

Tommy pokazał pół strony wyrwanej z notatnika.

— Odłożyłem to na bok, bo wydało mi się to szczególne. Ale nie sądzę, żeby miało coś wspólnego z tym, czego szukamy.

— Przyjrzyjmy się. Och, to jedna z tych zabawnych rzeczy, jak to się nazywa? Anagramy, szarady czy coś takiego.

Przeczytała na głos:

Dwie pierwsze bez jednej — w niej całość spoczywa.

Początek zaś zwykle na końcu przebywa.

Całość z trzech się składa; nic nie znaczy trzecia.

Stawiasz je na ogniu i w zimie, i w lecie.

— Hm — mruknął Tommy krytycznie. — Nie mam wygórowanej opinii o rymach tego poety.

— Nie rozumiem jednak, dlaczego wydało ci się to szczególne — odrzekła Tuppence. — Jakieś pięćdziesiąt lat temu wszyscy mieli kolekcje podobnych rzeczy. Przechowywało się je na długie zimowe wieczory przy kominku.

— Nie chodziło mi o wierszyk. To słowa napisane poniżej uderzyły mnie jako dziwne.

— Św. Łukasz, XI, 9 — przeczytała Tuppence. — To tekst z Biblii.

— Właśnie. Czy nie wydaje ci się to zastanawiające? Czy starsza pani o religijnych przekonaniach zapisała by cytaty z Biblii tuż pod szaradą?

— To dość dziwne — przyznała Tuppence z namysłem.

— Sądzę, że ty, jako córka duchownego, masz ze sobą Biblię?

— Właśnie, że mam! Aha, nie spodziewałaś się tego? Zaraz zobaczymy.

Tuppence pobiegła do swojej walizki, wyjęła z niej niewielki, czerwony tom, wróciła do stołu i szybko przerzuciła kartki.

— To tutaj. Łukasz, rozdział XI, werset 9. Och, Tommy, spójrz!

Tommy pochylił się i spojrzał na cytat, który Tuppence wskazywała małym palcem.

— Szukajcie, a znajdziecie.

— To jest to — zawołała Tuppence. — Mamy! Trzeba rozwiązać kryptogram i skarb będzie nasz — czy też raczej Moniki.

— Zajmijmy się więc tym kryptogramem, jak go nazywasz. „Dwie pierwsze bez jednej — w niej

całość spoczywa.” Ciekawe, co to może znaczyć? Dalej: „Początek zaś zwykle na końcu przebywa”. Wydaje mi się, że to zwykły bełkot.

— To na pewno jest bardzo proste — odrzekła Tuppence uprzejmie. — Trzeba tylko wpaść na odpowiedni pomysł. Niech nad tym pomyślę.

Tommy chętnie podał jej kartkę. Tuppence rozsiadła się na fotelu, zmarszczyła brwi i zaczęła mruzczyć coś pod nosem.

— To rzeczywiście jest bardzo proste — powiedział Tommy po półgodzinie.

— Nie kracz! Nie jesteśmy odpowiednim pokoleniem do takich rzeczy. Mam szczerzy zamiar wrócić jutro do miasta i dać to jakiejś staruszce, która prawdopodobnie rozszyfruje zagadkę w mgnieniu oka. Tu po prostu jest jakiś haczyk.

— W każdym razie spróbujmy jeszcze raz.

— Nie ma tak wiele rzeczy, które stawia się na ogniu — powiedziała Tuppence z namysłem. — Woda, albo garnek, albo czajnik.

— Sądzę, że to musi się składać z dwóch sylab? Może więc drewno?

— Ale w drewnie nic nie może spoczywać.

— Woda też się nie nadaje, ale muszą być jakieś dwusylabowe rzeczy podobne do czajnika, które stawia się na ogniu.

— Rondle — zastanawiała się Tuppence. — Patelnie. Może to ma być garnek? Czy jest jakieś słowo pochodzące od garnka, które oznacza coś, co stawia się na ogniu?

— Glina — zasugerował Tommy. — Garncarze wypalają ją w ogniu. Czy to dobry strzał?

— Reszta zagadki nie pasuje. Garnuszki? Nie. Och, do licha!

Przerwało im wejście pokojówki, która powiedziała, że obiad będzie gotowy za kilka minut.

— Pani Lumley chciałaby wiedzieć, czy życzą sobie państwo frytki, czy też ziemniaki gotowane w mundurkach? Jest jedno i drugie.

— Gotowane w mundurkach — odrzekła Tuppence. — Uwielbiam ziemniaki... — Zastygła z otwartymi ustami.

— Co się stało, Tuppence? Czy zobaczyłaś ducha?

— Tommy — zawołała Tuppence. — Nie widzisz? To jest to! To słowo! Ziemniaki! „Dwie pierwsze bez jednej” — to ziemia. „W niej całość spoczywa.” „Początek zaś zwykle na końcu przebywa”. To Z, ostatnia litera alfabetu. „Całość z trzech się składa, nic nie znaczy trzecia”.

Oczywiście, bo trzecia sylaba to „ki”!

— Masz rację, Tuppence. Bardzo bystro to odgadłaś. Obawiam się jednak, że straciliśmy dużo czasu na próżno. Ziemniaki zupełnie nie pasują do zaginionych skarbów. Ale zaraz, chwileczkę. Co ty przed chwilą czytałaś, gdy przeglądaliśmy pudełko? Jakiś przepis na młode ziemniaki. Zastanawiam się, czy coś w tym może być.

Pośpiesznie przerzucił stos przepisów.

— Jest tu. „JAK PRZECHOWYWAĆ MŁODE ZIEMNIAKI. Włóż młode ziemniaki w metalowe puszki i zakop je w ogrodzie. Nawet w środku zimy będą smakowały jak nowe”.

— Mamy — wykrzyknęła Tuppence. — To jest to! Skarb został zakopany w ogrodzie, w metalowej puszcze.

— Przecież pytałem ogrodnika i on powiedział, że niczego nie zakopywał.

— Wiem, ale to dlatego, że ludzie nigdy nie odpowiadają na pytanie, które zadajesz, tylko na takie, które wydaje im się, że zadajesz. Ogrodnik wiedział, że nigdy nie zakopywał niczego niezwykłego. Jutro pójdziemy do niego i zapytamy, czy zakopywał ziemniaki.

Następnego dnia była wigilia Bożego Narodzenia. Po krótkim rozpytywaniu odnaleźli domek starego ogrodnika. Po jakichś dziesięciu minutach rozmowy Tuppence przeszła do tematu.

— Szkoda, że o tej porze roku nie ma już młodych ziemniaków — zauważyła. — Byłyby znakomite do indyka, prawda? Czy ludzie w tej okolicy zakopują je w ziemi w metalowych puszkach? Słyszałam, że to dobry sposób na zachowanie smaku.

— A tak, robi się tak — odrzekł ogrodnik. — Stara panna Deane, ta z Red House, zakopywała po trzy puszki co roku, a potem przeważnie zapomniała je odkopać!

— Najczęściej na grządce przy domu, prawda?

— Nie, tam pod murem przy świerku.

Gdy już zdobyli poszukiwane informacje, szybko pożegnali się z ogrodnikiem zostawiając mu pięć szylingów w upominku świątecznym.

— Teraz idziemy do Moniki — powiedział Tommy.

— Tommy, ty zupełnie nie masz dramatycznego wyczucia! Zostaw to mnie. Mam piękny plan. Czy myślisz, że udałoby ci się wyżebrać, pożyczyć albo ukraść łopatę?

Tommy posłusznie znalazł gdzieś łopatę i tego samego dnia, późną nocą dwie sylwetki zakradły się pod Red House. Bez kłopotu znaleźli miejsce, o którym mówił ogrodnik, i Tommy zabrał się do pracy. Po chwili łopata uderzyła o metal i w kilka sekund później na powierzchni stała duża puszka po herbatnikach. Była szczelnie zamknięta i oklejona dokoła przyklepcem, ale Tuppence udało się ją

otworzyć za pomocą noża Tommy'ego. Zajrzała do środka i jęknęła. Puszka była pełna ziemniaków. Wysypała je wszystkie, ale nic więcej w niej nie było.

— Kop dalej, Tommy.

Po dłuższej chwili poszukiwania zostały uwieńczone znalezieniem drugiej puszki. Tuppence otworzyła ją.

— No i co? — zapytał Tommy niecierpliwie.

— Znów ziemniaki!

— A niech to! — jęknął Tommy i znowu zaczął kopać.

— Trzeci raz będzie szczęśliwy — pocieszała go Tuppence.

— Zdaje się, że cała ta rzecz jest mrzonką — powiedział Tommy ponuro, ale nie przestawał kopać.

W końcu trzecia puszka znalazła się na powierzchni.

— Znów ziem... — zaczęła Tuppence, ale nagle urwała. — Och, Tommy, jest! Ziemniaki są tylko na wierzchu. Spójrz!

Wyciągnęła z puszki dużą, staroświecką sakiewkę z aksamitu.

— Zmykajmy do domu — zawołał Tommy. — Jest strasznie zimno. Zabierz ten woreczek ze sobą. Ja muszę zakopać doły. A jeśli otworzysz tę sakiewkę przed moim powrotem, Tuppence, to niech tysiąckrotne przekleństwo spadnie na twoją głowę!

— Będę grała fair. Och, jak zmarzłam! — szybko wycofała się ze sceny.

Nie musiała długo czekać po przybyciu do gospody. Tommy wrócił tuż po niej, spocony po kopaniu i szybkim biegu.

— A więc w końcu prywatni detektywi udowodnili, że do czegoś się nadają! — zawołał. — Otwórz to, pani Beresford.

W sakiewce znajdowała się paczka owinięta impregnowanym jedwabiem i drugi, ciężki woreczek z koźlącej skórki, który otworzyli najpierw. Pełen był złotych suwerenów. Tommy przeliczył je.

— Dwieście funtów. Sądzę, że tylko tyle bank zgodził się wypłacić jej w złocie. Otwórz paczkę.

Paczka była pełna ciasno zwiniętych banknotów. Obydwoje przeliczyli je starannie. Znajdowało się tam dokładnie dwadzieścia tysięcy funtów.

— Ho, ho! — zawołał Tommy. — Jakie to szczęście dla Moniki, że jesteśmy bogaci i uczeni! Co

tam jest zawinięte w bibułę?

Tuppence odwinęła małą paczkę i wyciągnęła z niej długi sznur wspaniałych, doskonale dobranych kształtem i wielkością pereł.

— Nie znam się za bardzo na takich rzeczach — powiedział Tommy powoli — ale jestem zupełnie pewien, że te perły są warte przynajmniej następne pięć tysięcy funtów. Spójrz tylko na ich wielkość. Teraz rozumiem, dlaczego staruszka trzymała ten wycinek z gazety o perłach jako dobrej inwestycji. Musiała sprzedać wszystkie swoje papiery wartościowe i zamienić je na banknoty i perły.

— Och, Tommy, czy to nie jest cudowne? Kochana Monica. Teraz może wyjść za tego miłego młodego człowieka i być już zawsze szczęśliwa, tak jak ja.

— To miło, że tak mówisz, Tuppence. Więc jesteś ze mną szczęśliwa?

— Właściwie tak — odrzekła Tuppence. — Ale nie miałam zamiaru tego mówić. Wymknęło mi się. Jestem podniecona, jest wigilia i...

— Jeśli naprawdę mnie kochasz, czy odpowiesz mi na jedno pytanie?

— Nienawidzę takich haczyków — odrzekła Tuppence — ale... cóż... niech będzie.

— Skąd wiedziałaś, że Monica jest córką duchownego?

— Och, oszukałam cię po prostu — wyznała radośnie Tuppence. — Otworzyłam jej list z prośbą o spotkanie, a niejaki pan Deane był kiedyś wikarym mojego ojca i miał córeczkę o imieniu Monica, cztery czy pięć lat młodszą ode mnie. Więc po prostu dodałam dwa do dwóch.

— Ty zupełnie nie masz wstydu — powiedział Tommy. — Oho, bije dwunasta. Szczęśliwego Bożego Narodzenia, Tuppence.

— Szczęśliwego Bożego Narodzenia, Tommy. Dla Moniki także będą to szczęśliwe święta, a wszystko dzięki NAM. Cieszę się. Biedactwo, taka była zmartwiona. Wiesz, Tommy, gdy o tym pomyślę, czuję się dziwnie i ściska mnie w gardle.

— Kochana Tuppence.

— Kochany Tommy. Robimy się okropnie sentymentalni.

— Boże Narodzenie jest tylko raz w roku — powiedział Tommy sentencjonalnie. — Tak mówiły nasze prababki, i podejrzewam, że jest w tym wiele prawdy.

Rozdział dwudziesty drugi

Buty ambasadora

— Mój drogi przyjacielu, mój drogi przyjacielu — powiedziała Tuppence wymachując bułeczką grubo posmarowaną masłem.

Tommy przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, po czym na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Musimy zachować najwyższą ostrożność — wymruczał.

— To prawda — rozpromieniła się Tuppence.

— Zgadłeś. Jestem słynnym doktorem Fortune, a ty nadinspektorem Bellem.

— Dlaczego to ty masz być Reginaldem Fortune?

— Właściwie dlatego, że mam ochotę na gorące masło w dużych ilościach.

— To ta przyjemna strona — powiedział Tommy. — Ale jest jeszcze druga. Będziesz musiała oglądać potwornie zmasakrowane twarze i badać dziesiątki trupów.

W odpowiedzi Tuppence rzuciła mu list. Tommy uniósł brwi ze zdziwieniem.

— Randolph Wilmott, ambasador amerykański. Ciekawe, czego chce.

— Dowiemy się jutro o jedenastej.

Dokładnie o umówionej porze w gabinecie pana Blunta pojawił się pan Randolph Wilmott, ambasador Stanów Zjednoczonych przy Dworze Świętego Jakuba. Odchrząknął i przemówił z charakterystyczną rozważą w głosie:

— Przyszedłem do pana, panie Blunt... Mówię do pana Blunta we własnej osobie, nieprawdaż?

— Oczywiście — odrzekł Tommy. — Jestem Theodore Blunt, szef tej firmy.

— Zawsze wolałem rozmawiać bezpośrednio z szefami — powiedział pan Wilmott. — Przynosi to o wiele lepsze efekty. Chciałem powiedzieć, panie Blunt, że ta sprawa bardzo mnie irytuje. Nie ma powodu, by zawracać nią głowę Scotland Yardowi — nie straciłem przez to ani grosza, i prawdopodobnie była to tylko zwykła pomyłka. Mimo wszystko jednak nie rozumiem, jak ta pomyłka mogła się wydarzyć. Sądzę, że nie ma tu żadnego przestępstwa, ale chciałbym rzecz wyjaśnić. Bardzo mnie to denerwuje, gdy nie potrafię znaleźć przyczyn jakiegoś zjawiska.

— Oczywiście — zgodził się Tommy.

Pan Willmot mówił dalej, powoli i rozwlekle. W końcu Tommy'emu udało się wtrącić słowo.

— Rozumiem, że sytuacja wygląda następująco: tydzień temu przyplłynął pan tu transatlantykiem *Nomadic*. W jakiś sposób pańska torba i torba innego dżentelmena, pana Ralpa Westerhama, który ma takie same inicjały jak pan, zostały zamienione. Pan wziął torbę Ralpa Westerhama, a on pańską. Pan Westerham natychmiast odkrył pomyłkę, odesłał pańską torbę do ambasady i zabrał swoją. Czy dotychczas wszystko się zgadza?

— Dokładnie tak to się wydarzyło. Obie torby musiały być prawie identyczne i obie nosiły inicjały R.W., nietrudno więc zrozumieć, że mogła się przytrafić pomyłka. Ja sam nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do chwili, gdy mój służący powiedział mi, że pan Westerham — jest senatorem i człowiekiem, dla którego żywiej najwyższy podziw — przysłał po swoją torbę i oddał moją.

— W takim razie nie rozumiem...

— Zaraz pan zrozumie. To dopiero początek historii. Wczoraj przez przypadek spotkałem senatora Westerhama i żartem wspomniałem o tej sprawie. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie miał pojęcia, o czym mówię, a gdy wyjaśniłem, zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczył. Nie zabrał przez pomyłkę mojej torby ze statku — co więcej, w ogóle nie miał takiej torby w swoim bagażu.

— To niezwykle!

— Panie Blunt, to naprawdę niezwykle. Wydaje mi się, że nie ma w tym zupełnie żadnego sensu. Gdyby ktokolwiek chciał ukraść moją torbę podręczną, mógłby to zrobić z łatwością, bez uciekania się do tak okrutnego sposobu. W każdym razie torba nie została skradziona, zwrócono mi ją. Z drugiej strony, jeśli zabrano ją przez pomyłkę, po co używano nazwiska senatora Westerhama? To zwariowana historia i z czystej ciekawości chciałbym się dowiedzieć, o co tu naprawdę chodzi. Mam nadzieję, że ta sprawa nie wydaje się panu zbyt banalna, by warto się było nią zajmować?

— Absolutnie nie. To bardzo intrygujący problem. Jak pan powiedział, może tu istnieć wiele prostych wyjaśnień, jednak na pierwszy rzut oka zupełnie nie wiadomo, co o tym wszystkim myśleć. Podstawowa kwestia to oczywiście powody do zamiany, jeśli była to zamiana. Powiedział pan, że niczego nie brakowało w pańskiej torbie, gdy już ją pan odzyskał?

— Mój służący mówi, że nie. On by wiedział.

— Jeśli mogę zapytać, co w niej było?

— Przede wszystkim buty.

— Buty — powtórzył Tommy ze zniechęceniem.

— Tak — potwierdził pan Wilmott. — Buty. Dziwne, prawda?

— Wybacz pan, że pytam, ale czy nie miał pan ze sobą jakichś tajnych papierów albo czegoś w

tym rodzaju, ukrytego w podszewce buta albo w wydrażonym obcasie?

To pytanie wyraźnie rozbawiło ambasadora.

— Mam nadzieję, że tajna dyplomacja nie funkcjonuje na tym poziomie.

— Jedyne w książkach — Tommy uśmiechnął się nieco przepraszająco. — Ale widzi pan, musimy to jakoś wyjaśnić. Kto przyszedł po torbę, to znaczy po tę drugą torbę?

— Ktoś, kto podawał się za służącego pana Westerhama. Zwykły, spokojny człowiek, takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Mój służący nie zauważył w nim niczego podejrzanego.

— Nie wie pan, czy torba była rozpakowywana?

— Tego nie potrafię powiedzieć. Ale może chciałby pan zadać kilka pytań mojemu kamerdynerowi? On powie panu o tej sprawie więcej, niż ja.

— Myślę, że to dobry pomysł.

Ambasador napisał na kartce kilka słów i podał ją Tommy'emu.

— Sądzę, że będzie pan wolał pójść do ambasady i tam przeprowadzić dochodzenie? Jeśli nie, przyślę mojego pokojowego tutaj. Nazywa się Richards.

— Nie, dziękuję, panie Wilmott. Wolę pójść do ambasady.

Ambasador podniósł się i spojrzał na zegarek.

— Boże, spóźnię się na spotkanie. Cóż, do widzenia panu, panie Blunt. Zostawiam tę sprawę w pańskich rękach.

Wyszedł szybko. Tommy spojrzał na Tuppence, która jako panna Robinson siedziała skromnie na uboczu, pisząc— coś w notatniku.

— Co o tym myślisz, staruszko? — zapytał. — Czy widzisz w tym wszystkim choćby cień sensu?

— Absolutnie żadnego — odparła Tuppence pogodnie.

— W każdym razie jest to jakiś początek! Coś mi mówi, że w głębi tej sprawy kryje się coś poważnego.

— Tak myślisz?

— To jest ogólnie przyjęta hipoteza. Przypomnij sobie Sherlocka Holmesa i jak głęboko masło wsiąkło w pietruszkę, to znaczy na odwrót. Zawsze pożerało mnie pragnienie, by się dowiedzieć wszystkiego o tej sprawie. Może któregoś dnia Watson spisze ją ze swoich notatników. Wtedy umrę szczęśliwy. Ale musimy się wziąć do roboty.

— Masz rację. Ten Wilmott nie jest bardzo błyskotliwy, ale solidny.

— Ona zna się na ludziach — zauważył Tommy. — Czy też może powinienem powiedzieć: on zna się na ludziach? To bardzo mylące, gdy wcielasz się w postać detektywa—mężczyzny.

— Och, mój drogi przyjacielu, mój drogi przyjacielu!

— Nieco więcej działania, Tuppence, a nieco mniej powtórek.

— Klasyki nigdy za wiele — odrzekła Tuppence z godnością.

— Zjedz bułeczkę — podsunął Tommy uprzejmie.

— O jedenastej przed południem? Dziękuję. To głupia sprawa. Widzisz: buty. Dlaczego akurat buty?

— A dlaczego nie?

— To do niczego nie pasuje. Buty. — Potrząsnęła głową. — Wszystko nie tak. Komu są potrzebne cudze buty? Szaleństwo.

— Może to miała być inna torba — podsunął Tommy.

— To możliwe. Ale jeśli chodziło o dokumenty, bardziej prawdopodobna byłaby kradzież. Z ambasadorami przeważnie kojarzą się wyłącznie dokumenty.

— Buty sugerują ślady stóp — zamyślił się Tommy. — Czy myślisz, że chcieli zostawić gdzieś ślady stóp Wilmotta?

Tuppence porzuciła swoją rolę i przez chwilę myślała nad tym, po czym potrząsnęła głową.

— To wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobne. Nie. Sądzę, że musimy przyjąć założenie, iż buty nie mają tu nic do rzeczy.

— No cóż — westchnął Tommy — w następnej kolejności trzeba porozmawiać z naszym przyjacielem Richardsem. Może on rzuci trochę światła na tę tajemnicę.

Po okazaniu listu ambasadora Tommy został wpuszczony do ambasady. Po chwili na przesłuchanie zgłosił się blady młody człowiek o pełnych uszanowania manierach i zniżonym głosie.

— Jestem Richards, proszę pana, kamerdyner pana Wilmotta. Chciał się pan ze mną widzieć?

— Tak. Pan Wilmott był u mnie dziś rano i zaproponował, żebym tu przyszedł i zadał panu kilka pytań. Chodzi o tę sprawę z torbą podręczną.

— Wiem, proszę pana, że pan Wilmott był tym dosyć mocno zdenerwowany. Nie bardzo rozumiem dlaczego, gdyż nie poniósł żadnej straty. Wyraźnie usłyszałem od człowieka, który przyszedł po tę

drugą torbę, że należała ona do senatora Westerhama, ale oczywiście mogą się mylić.

— Co to był za człowiek?

— W średnim wieku. Siwe włosy. Powiedziałbym, że wysoko urodzony — bardzo szacowny. Odniosłem wrażenie, że jest kamerdynerem senatora Westerhama. Zostawił torbę pana Wilmotta i zabrał tę drugą.

— Czy torba była otwierana?

— Która, proszę pana?

— Właściwie miałem na myśli tę, którą przyniósł pan ze statku, ale interesuje mnie także ta druga, torba pana Wilmotta. Czy wydaje się panu, że ją otwierano?

— Powiedziałbym, że nie, proszę pana. Wyglądała tak samo, jak wtedy, gdy zamykałem ją na statku. Powiedziałbym, że ten pan — ktokolwiek to był — po prostu otworzył ją, zauważył, że to nie jego, i znowu zamknął.

— Niczego nie brakowało? Żadnego drobiazgu?

— Wydaje mi się, że nie, proszę pana. Właściwie jestem tego zupełnie pewien.

— A teraz ta druga torba. Czy zaczął pan ją rozpakowywać?

— Prawdę mówiąc, proszę pana, właśnie ją otwierałem w chwili, gdy przyszedł człowiek od pana Westerhama. Zdażyłem tylko odpiąć paski.

— Czy ją pan otworzył?

— Otworzyliśmy ją razem, żeby się upewnić, czy tym razem nie zaszła żadna pomyłka. Ten człowiek powiedział, że wszystko jest w porządku, zapiął ją i zabrał.

— Co było w środku? Także buty?

— Nie, proszę pana, wydaje mi się, że głównie przybory toaletowe. Widziałem puszkę soli kąpielowych.

Tommy porzucił tę linię śledztwa.

— Przypuszczam, że nie zauważył pan, żeby ktoś grzebał w rzeczach ambasadora na pokładzie statku?

— Och, nie, proszę pana.

— Nie wydarzyło się nic podejrzanego?

Sam jestem ciekaw, co przez to rozumiem — pomyślał Tommy z lekkim rozbawieniem. Coś podejrzanego — po prostu słowa!

Mężczyzna stojący przed nim zawahał się jednak.

— Gdy teraz o tym myślę...

— To... — podchwycił szybko Tommy. — Co takiego?

— To chyba nie ma nic do rzeczy. Ale była pewna młoda kobieta.

— Tak? Młoda kobieta, mówi pan? I co ona robiła?

— Zasłabła, proszę pana. Bardzo miła młoda kobieta. Nazywała się panna Eileen O'Hara. Delikatna, niewysoka, z czarnymi włosami. Wyglądała odrobinę z cudzoziemska.

— No i? — zapytał Tommy z jeszcze większym zapałem.

— Jak mówiłem, zasłabła. Tuż przed kabiną pana Wilmotta. Poprosiła mnie, żebym znalazł lekarza. Posadziłem ją na sofie i' wyszedłem. Znalazłem lekarza dopiero po chwili i gdy go przywodziłem, ta kobieta już prawie doszła do siebie.

— Och! — zawołał Tommy.

— Nie myśli pan chyba...

— Trudno powiedzieć, co należałoby tu pomyśleć — odpowiedział Tommy obojętnie. — Czy panna O'Hara podróżowała sama?

— Tak, chyba tak, proszę pana.

— Nie widział pan jej od tego czasu?

— Nie, proszę pana.

Tommy zadumał się.

— No cóż — powiedział wreszcie. — Myślę, że to wszystko. Dziękuję, panie Richards.

— To ja panu dziękuję.

Po powrocie do biura Tommy powtórzył Tuppence swoją rozmowę z Richardsem. Słuchała go uważnie.

— Co o tym myślisz, Tuppence?

— Och, drogi przyjacielu, my, lekarze, zawsze bardzo sceptycznie odnosimy się do nagłych zasłabnięć! To takie wygodne. Eileen, i w dodatku O'Hara. Niemal za bardzo irlandzkie, nie sądzisz?

— Wreszcie jest coś, na czym można się oprzeć. Czy wiesz, Tuppence, co mam zamiar zrobić? Dam ogłoszenie do gazety.

— Co takiego?

— Tak. Wszelkie informacje dotyczące panny Eileen O'Hara, która podróżowała takim to a takim statkiem, w takim to a takim terminie. Albo zgłosi się ona sama, jeśli istnieje naprawdę, albo ktoś inny poda nam informacje na jej temat. Na razie jest to jedyna nadzieja na odnalezienie jakiegoś śladu.

— Pamiętaj, że dla niej będzie to ostrzeżenie.

— No cóż, czasem trzeba zaryzykować. Tuppence zmarszczyła czoło.

— Nadal nie widzę w tym żadnego sensu. Jeśli banda przestępców przechwyciła torbę ambasadora na parę godzin, a potem odesłała ją z powrotem, to jaki mogli mieć w tym cel? Chyba, że były tam dokumenty, które chcieli skopiować, ale pan Wilmott przysięga, że niczego takiego nie miał ze sobą.

Tommy popatrzył na nią w zamyśleniu.

— Dobrze to uporządkowałaś, Tuppence — powiedział w końcu. — Podsunęłaś mi pewną myśl.

Minęły dwa dni. Tuppence wyszła na lunch, a Tommy, siedząc samotnie w surowym gabinecie pana Blunta, rozszerzał swoje horyzonty myślowe czytając najnowszą powieść sensacyjną.

Drzwi gabinetu otworzyły się i pojawił się w nich Albert.

— Jakaś młoda dama chce się z panem widzieć, proszę pana. Panna Cicely March. Mówi, że przyszła w odpowiedzi na ogłoszenie.

— Wprowadź ją tu natychmiast — zawołał Tommy, szybko wrzucając książkę do szuflady.

Po chwili Albert wprowadził młodą kobietę. Tommy zdążył jedynie zauważyć, że była bardzo ładna i jasnowłosa, gdy zdarzyła się dziwna rzecz.

Drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Albert, otworzyły się z impetem i pojawiła się w nich malownicza postać — wielki, smagły mężczyzna, z wyglądu Hiszpan, w płomiennoczerwonym krawacie. Twarz miał wykrzywioną z wściekłości, a w ręku trzymał lśniący pistolet.

— A więc to jest biuro pana Szperacza Blunta — powiedział znakomitą angielszczyzną. Głos miał niski i drżący z furii. — Natychmiast ręce do góry albo będę strzelał.

Groźba nie wyglądała na bluff. Tommy posłusznie podniósł ręce do góry. Dziewczyna, która przywarła do ściany, teraz jęknęła z przerażenia.

— Ta młoda dama pójdzie ze mną — powiedział napastnik. — Tak, moja droga, zrobisz to. Nigdy mnie jeszcze nie widziałaś, ale to nie ma znaczenia. Nie mogę pozwolić, by taka głupia mała istota jak ty zrujnowała wszystkie moje plany. Zdaje się, że byłaś jedną z pasażerek *Nomadica*. Na pewno wtykałaś nos w sprawy, które nic cię nie powinny obchodzić, ale nie mam zamiaru dopuścić do tego, byś zdradziła jakieś tajemnice temu tutaj Bluntowi. Pan Blunt jest bardzo sprytny i wymyślił sobie błyskotliwe ogłoszenie. Ale tak się składa, że ja zawsze przeglądam kolumny ogłoszeń. W ten sposób dowiedziałem się o tej niewinnej zabawie.

— Niezmiernie mnie pan zaciekawia — powiedział Tommy. — Zechce pan mówić dalej?

— Nic już panu nie pomoże, panie Blunt. Od tej chwili jest pan napiętnowany. Niech pan da sobie spokój z tym dochodzeniem, a zostawimy pana w spokoju. W przeciwnym razie niech Bóg ma pana w swojej opiece! Śmierć przychodzi szybko do tych, którzy zagrażają naszym planom.

Tommy nie odpowiedział, tylko patrzył ponad ramieniem mężczyzny, jakby zobaczył upiora.

Rzeczywiście to, co tam ujrzał, napełniło go większą grozą, niż mogłaby to uczynić jakakolwiek zjawia. Do tej chwili nie brał w ogóle pod uwagę Alberta jako elementu w tej rozgrywce. Sądził, że tajemniczy obcy poradził sobie już z chłopcem. Jeśli w ogóle o nim pomyślał, to tylko wyobrażając

sobie ogłuszonego na dywanie w sąsiednim pomieszczeniu.

Teraz natomiast zobaczył, że Albert w cudowny sposób uchronił się przed uwagą obcego, ale zamiast wybiec i sprowadzić policjanta według najlepszych brytyjskich tradycji, postanowił zadziałać na własną rękę. Drzwi za plecami obcego uchyliły się bezszelestnie i ukazał się w nich Albert ze zwojem liny.

Tommy wydał z siebie zdławiony okrzyk protestu, ale było już za późno. Pełen entuzjazmu Albert zarzucił pętlę na głowę intruza i szarpnął. Obcy zachwiał się i nastąpiło nieuniknione. Pistolet wystrzelił z hukiem. Przelatująca kula drasnęła Tommy'ego w ucho, po czym utkwiała w gipsowej ścianie.

— Mam go, proszę pana — wykrzyknął triumfalnie zaczerwieniony Albert. — Złapałem go na lasso. Ćwiczyłem rzucanie lassem w wolnych chwilach. Czy może mi pan pomóc? On się bardzo szarpie.

Tommy pośpiesznie rzucił się na pomoc swemu wiernemu współnikowi, zapisując sobie w pamięci, że na przyszłość należy zadbać o to, by Albert miał jak najmniej wolnych chwil.

— Ty przekłety idioto — powiedział. — Dlaczego nie wyszedłeś poszukać policjanta? Przez to twoje głupie działanie o mało nie trafił mnie w głowę! Uff! Nigdy jeszcze nie byłem tak blisko śmierci.

— Złapałem go na to lasso od razu — pisał się Albert, zupełnie nie pognębiony. — Ci faceci na preriach potrafią robić z lassem niesamowite rzeczy, proszę pana.

— Zgadza się, ale ty nie jesteś na prerii. Tak się składa, że żyjemy w bardzo cywilizowanym mieście. A teraz, drogi panie — zwrócił się do obezwładnionego więźnia — co mamy z panem zrobić?

Jedyną odpowiedzią był stek przekleństw w obcym języku.

— Cicho — powiedział Tommy. — Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz, ale mam nieodparte wrażenie, że nie jest to język, jakiego używa się w obecności damy. Wybacz mi pani, prawda? Wie pani, w całym tym zamieszaniu i zdenerwowaniu zupełnie zapomniałem, jak się pani nazywa.

— March — odpowiedziała dziewczyna. Nadal była blada i drżąca, podeszła jednak bliżej i stanęła obok Tommy'ego, patrząc na ogłuszonego obcego, który leżał rozciągnięty na podłodze. — Co ma pan zamiar z nim zrobić?

— Mógłbym teraz skoczyć po gliniarza — zaproponował zachęcająco Albert.

Tommy jednak podniósłszy wzrok zauważył, że dziewczyna lekko potrząsnęła głową i postąpił zgodnie z tą wskazówką.

— Tym razem go wypuścimy — powiedział. — Niemniej nie daruję sobie przyjemności kopnięcia

go tak, żeby spadł po schodach aż na dół — choćby po to, by nauczyć go zasad dobrego wychowania w obecności kobiety.

Odwiązał linę, pociągnął ofiarę za nogi i szybko przeciągnął ją przez pokój Alberta.

Dobiegła ich seria przeraźliwych okrzyków, a potem głuchy łomot. Tommy wrócił, zarumieniony i uśmiechnięty.

Dziewczyna wpatrywała się w niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

— Czy pan... wyrządził mu jakąś krzywdę?

— Mam nadzieję — odrzekł Tommy. — Ale ci cudzoziemcy zawsze krzyczą, zanim jeszcze coś im się stanie, więc nie mogę być tego zupełnie pewny. Może wrócimy do mojego biura, panno March, i do rozmowy, którą nam przerwano? Wydaje mi się, że nikt już więcej nie będzie nam przeszkadzał.

— Na wszelki wypadek będę miał łąsko w pogotowiu, proszę pana — powiedział Albert usłużnie.

— Odłóż je — nakazał Tommy surowo.

Poszedł za dziewczyną do gabinetu i usiadł przy biurku, a ona na krześle naprzeciwko niego.

— Nie bardzo wiem, od czego zacząć — powiedziała. — Tak, jak ten człowiek powiedział, byłam pasażerką *Nomadica*. Kobieta, o którą chodziło panu w ogłoszeniu, panna O'Hara, także była na tym statku.

— Zgadza się — powiedział Tommy. — O tym już wiemy, ale sądzę, że musi pani mieć jeszcze inne informacje, w przeciwnym bowiem razie ten malowniczy dżentelmen nie śpieszyłby się tak, żeby nam przerwać.

— Powiem panu wszystko. Na pokładzie był ambasador amerykański. Pewnego dnia, gdy przechodziłam obok jego kabiny, zauważyłam w środku tę kobietę. Robiła coś tak niezwykłego, że zatrzymałam się, żeby popatrzeć. Miała w ręku but męski...

— But? — wykrzyknął Tommy z podnieceniem. — Przepraszam, panno March, proszę mówić dalej.

— Przecinała podszewkę małymi nożyczkami. Potem wydawało mi się, że wpycha coś do środka. W tej chwili korytarzem nadszedł lekarz z jakimś drugim człowiekiem. Ona natychmiast opadła na sofę i zaczęła jęczeć. Poczekalam i z tego, co zostało powiedziane, wywnioskowałam, że udawała zasłabnięcie. Powiedziałam: udawała — bo w pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam, zupełnie nie wyglądała na osłabioną.

Tommy skinął głową.

— I co było dalej?

— Dalszy ciąg opowiem panu niechętnie. Zaciekawilo mnie to. Poza tym czytywałam głupie książki i zastanawiałam się, czy ona może włożyła bombę albo zatrutą igłę czy coś takiego do bagażu pana Wilmotta. Wiem, że to absurdalne, ale tak pomyślałam. W każdym razie, przy najbliższej okazji, gdy przechodziłam tamtędy i kabina była pusta, wśliznęłam się do środka i zajrzałam do torby. W podszewce buta znalazłam kawałek papieru. Gdy trzymałam go w ręku, usłyszałam, że nadchodzi steward, więc uciekłam, żeby mnie nie zobaczył. Nadal miałam w ręku zwinięty kawałek papieru. Gdy wróciłam do swojej kabiny, przyjrzałam mu się. Panie Blunt, otóż były to tylko cytaty z Biblii.

— Cytaty z Biblii? — zdumiał się zaintrygowany Tommy.

— W każdym razie tak mi się wydawało. Nie mogłam tego zrozumieć, ale pomyślałam, że może to robota jakiegoś maniaka religijnego. W każdym razie wydawało mi się, że nie ma sensu wkładać tego z powrotem na miejsce. Zatrzymałam tę kartkę, ale zupełnie o niej nie myślałam aż do wczoraj, gdy zrobiłam z niej łódeczkę dla mojego siostrzeńca, żeby się bawił w kąpiel. Gdy papier zamókł, zauważyłam, że pojawia się na nim dziwny wzór. Szybko wyjęłam łódeczkę z wanny i wygładziłam papier. Wyglądało to jak mapa, jak ujście rzeki do jakiejś zatoki. Zaraz potem przeczytałam pańskie ogłoszenie.

Tommy zerwał się z krzesła.

— Ależ to jest niesłychanie ważne! Wszystko już rozumiem. Ta mapa to prawdopodobnie plan jakichś ważnych umocnień obronnych na nadbrzeżu. Ta kobieta ją ukradła. Bała się, że ktoś ją śledzi, i nie odważyła się ukryć jej wśród swoich rzeczy, wymyśliła zatem ten schowek. Później udało jej się przechwycić torbę, w której zapakowany był but, ale okazało się, że papier zniknął. Proszę mi powiedzieć, panno March, czy przyniosła pani tę kartkę ze sobą?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Jest w moim miejscu pracy. Prowadzę salon piękności przy Bond Street. Właściwie to jestem agentką firmy Cyklamen z Nowego Jorku. Dlatego właśnie tam byłam. Pomyślałam, że ta kartka może się okazać ważna, więc zanim wyszłam, zamknęłam ją w sejfie. Czy nie powinniśmy powiadomić o tym Scotland Yardu?

— Tak, chyba ma pani rację.

— Więc może pójdziemy tam teraz, weźmiemy kartkę i zaniemiemy ją prosto do Scotland Yardu?

— Jestem bardzo zajęty dzisiejszego popołudnia — powiedział Tommy, zerkając na zegarek i przyjmując swój profesjonalny ton. — Biskup Londynu prosił, żebym się dla niego zajął pewną sprawą. Bardzo ciekawy problem, dotyczy pewnych ornatów i dwóch wikarych.

Panna March podniosła się.

— W takim razie pójdę sama. Tommy podniósł rękę w geście protestu.

— Miałem właśnie zamiar powiedzieć, że biskup będzie musiał poczekać. Zostawię wiadomość u Alberta. Jestem przekonany, panno March, że dopóki ten papier nie zostanie bezpiecznie przekazany

Scotland Yardowi, grozi pani poważne niebezpieczeństwo.

— Czy naprawdę pan tak sądzi? — spytała dziewczyna z powątpiewaniem.

— Nie sądzę, jestem tego pewien. Przepraszam bardzo. — Tommy napisał kilka słów na leżącym przed nim bloku, oderwał kartkę i złożył ją.

Wziął laskę i kapelusz, dając dziewczynie do zrozumienia, że jest gotów pójść za nią. Przed wyjściem z biura z wielką powagą podał kartkę Albertowi.

— Bardzo dobrze, proszę pana — Albert natychmiast podchwycił jego ton. — A co z perłami księżnej?

Tommy machnął ręką z irytacją.

— To także musi poczekać.

Obydwoje z panną March wyszli na ulicę. Gdy już byli w połowie schodów, spotkali wchodzącą na górę Tuppence. Tommy wyminął ją, rzucając w przelocie:

— Znow się pani spóźniła, panno Robinson. Wychodzę. Zostałem wezwany w ważnej sprawie.

Tuppence stanęła nieruchomo na schodach, patrząc za nimi. Potem, wciąż z uniesionymi wysoko brwiami, weszła do biura.

Na ulicy podjechała do nich taksówka. Tommy już miał zamiar ją zatrzymać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

— Czy lubi pani spacerować, panno March? — zapytał poważnie.

— Tak, dlaczego pan pyta? Może lepiej weźmy tę taksówkę? Będzie szybciej.

— Może pani nie zauważyła, ale ten taksówkarz przed chwilą odmówił wzięcia pasażera. Czekał tu na nas. Pani wrogowie są czujni. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, lepiej będzie, jeśli pójdziemy na Bond Street pieszo. Na zatłoczonych ulicach niewiele będą mogli nam zrobić.

— No dobrze — odpowiedziała dziewczyna niepewnie.

Poszli na zachód. Ulice były rzeczywiście zatłoczone i posuwali się naprzód powoli. Tommy bacznie rozglądał się na wszystkie strony. Od czasu, do czasu szybkim gestem nakazywał dziewczynie usunąć się na bok, chociaż ona sama nie widziała niczego podejrzanego.

Naraz zerknął na nią ze współczuciem.

— Wygląda pani na bardzo zmęczoną. Przeżyła pani wstrząs z powodu tego człowieka. Wejdźmy tu na filiżankę dobrej, mocnej kawy. Podejrzewam, że nie zechce pani napić się nieco brandy.

Dziewczyna potrząsnęła głową ze słabym uśmiechem.

— Niech więc będzie kawa — powiedział Tommy. — Myślę, że możemy zaryzykować otrucie.

Spędzili trochę czasu w kawiarni i w końcu wyszli, już szybszym krokiem.

— Myślę, że zgubiliśmy ich — powiedział Tommy, spoglądając przez ramię.

Cyklamen Ltd był małym gabinetem kosmetycznym przy Bond Street z blad różowymi kotarami z tafty. Na wystawie stało kilka słoików kremu do twarzy i kostka mydła.

Cicely March weszła do środka, a Tommy za nią. Pomieszczenie było bardzo małe. Po lewej stronie znajdowała się szklana lada z przyborami kosmetycznymi. Za ladą stała kobieta w średnim wieku o siwych włosach i znakomitej cerze. Powitała pannę Cicely March lekkim skinieniem głowy, po czym wróciła do przerwanej rozmowy z klientką. Klientka była niską, drobną, ciemnowłosą kobietą. Stała do nich tyłem i Tommy nie widział jej twarzy. Mówiła powoli, łamaną angielszczyzną. Po prawej stronie znajdowała się sofa i kilka krzeseł, a obok stolik, na którym leżały czasopisma. Przy stoliku siedziało dwóch mężczyzn — najwyraźniej byli to znudzeni mężowie czekający na swoje żony.

Cicely March przeszła przez drzwi na drugim końcu pomieszczenia i zostawiła je uchylone. Tommy poszedł za nią. W chwili, gdy przechodził przez drzwi, klientka wykrzyknęła: — Ach! ależ to chyba mój *amigo* — i pobiegła za nimi, wkładając stopę w drzwi, zanim je zamknięto. Jednocześnie mężczyźni podnieśli się. Jeden poszedł za nimi przez drzwi, drugi zbliżył się do kobiety za ladą i zakrył dłonią jej usta, żeby zagłuszyć okrzyk.

Tymczasem za drzwiami akcja rozwijała się szybko. Gdy Tommy wszedł do środka, zarzucono mu na głowę szmatę. W nozdrza uderzył go mdlący zapach. Natychmiast jednak ktoś zerwał szmatę z jego głowy i rozległ się kobiecy krzyk.

Tommy zamrugał oczami i odkaszlnął, obserwując rozgrywającą się przed nim scenę. Po prawej stronie ujrzał tajemniczego nieznanego sprzed kilku godzin. Jeden z mężczyzn poprzednio siedzących w poczekalni właśnie zapinał kajdanki na jego przegubach. Tuż przed nimi panna Cicely March na próżno usiłowała wyswobodzić się z mocnego uścisku klientki, w której zdumiony Tommy ujrzał Tuppence.

— Dobra robota, kochanie — uśmiechnął się, postępując krok do przodu. — Pozwól, że ci pomogę. Na pani miejscu nie próbowałbym się wyrywać, panno O'Hara — czy też woli pani nazwisko March?

— Tommy, to jest inspektor Grace — powiedziała Tuppence. — Gdy tylko przeczytałam kartkę, którą zostawiłeś, zadzwoniłam do Scotland Yardu i inspektor Grace z tym drugim panem spotkali się ze mną tutaj.

— Bardzo dobrze, że udało nam się dostać tego pana — odezwał się inspektor, wskazując na więźnia.

— Był poszukiwany. Ale nie mieliśmy żadnych powodów, by podejrzewać to miejsce. Sądziliśmy, że to prawdziwy salon kosmetyczny.

— Widzicie — wyjaśnił Tommy łagodnie — musimy być ogromnie podejrzliwi! Po co komu byłaby potrzebna torba ambasadora na jakąś godzinę? Odwróciłem ten problem. Przyjmijmy, że to ta druga torba była ważna. Ktoś chciał, żeby ta druga torba znalazła się w posiadaniu ambasadora na mniej więcej godzinę. To mnie oświeciło! Bagaż dyplomatyczny nie przechodzi przez niegodziwości kontroli celnej. Najwyraźniej chodziło o przemyt. Ale przemyt czego? Nie mogło to być nic dużej objętości. Natychmiast pomyślałem o narkotykach. Potem odegrano tę malowniczą komedię w moim biurze. Zauważono moje ogłoszenie i ktoś chciał zwieść mnie z tropu, a gdyby to się nie udało, pozbyć się mnie na dobre. Przypadkiem zauważyłem jednak błysk zupełnego zniechęcenia na twarzy tej czarującej damy, gdy Albert wystąpił z lassem. To nie bardzo pasowało do roli, którą odgrywała. Atak nieznanego miał powiększyć moje zaufanie do niej. Najlepiej, jak potrafiłem, zagrałem rolę naiwnego szpiega. Przelknąłem jej nieprawdopodobną historyjkę i pozwoliłem się tu zwabić, zostawiając dokładne instrukcje, jak należy postąpić w tej sytuacji. Opóźniałem nasze przyjście tutaj pod różnymi pretekstami, żeby dać wam dużo czasu.

Cicely March patrzyła na niego z kamienną twarzą.

— Pan jest szalony. Co pan się spodziewa tu znaleźć?

— Pamiętam, że Richards widział puszkę soli kąpielowych, więc co pani powie na to, żebyśmy zaczęli właśnie od soli, dobrze, inspektorze?

— Bardzo dobry pomysł, proszę pana.

Inspektor podniósł jedną z delikatnych różowych puszek i wysypał zawartość na stół. Dziewczyna roześmiała się.

— Prawdziwe kryształki, co? — zapytał Tommy. — Nic bardziej śmiernego niż węglan sodowy?

— Sprawdźcie w sejfie — podsunęła Tuppence.

W kącie pokoju znajdowała się mała szafka sejfu. Klucz tkwił w zamku. Tommy otworzył drzwiczki i wykrzyknął z zadowoleniem. Tylne ściany sejfu uchylała się, a za nią znajdowała się nisza wypełniona po brzegi jednakowymi puszkami soli kąpielowych. Było ich mnóstwo. Tommy wyjął jedną i otworzył wieczko. Na wierzchu były takie same różowe kryształki, ale pod spodem znajdował się miątki, biały proszek.

Inspektor wykrzyknął z radością.

— Trafił pan. Dziesięć do jednego, że ta puszka jest pełna kokainy. Wiedzieliśmy, że gdzieś w tej okolicy, niedaleko West Endu, był punkt dystrybucji, ale do tej pory nie udało nam się wpaść na właściwy trop. To piękne pańskie zwycięstwo.

— Raczej triumf Błyskotliwych Detektywów Blunta — powiedział Tommy do Tuppence, gdy

wyszli razem na ulicę. — Wspaniale jest być żonatym mężczyzną. Twoje uporczywe szkolenie nauczyło mnie nieomylnie rozpoznawać tlenione włosy. Złote włosy muszą być naturalne, żebym dał się nabrać. Musimy spłodzić rzeczowy list do ambasadora i wyjaśnić mu, że zajęliśmy się sprawą z dobrym skutkiem. A teraz, droga przyjaciółko, co byś powiedziała na herbatę i mnóstwo bułeczek z masłem?

Rozdział dwudziesty trzeci

Człowiek, który był numerem 16

Tommy i Tuppence siedzieli w prywatnym gabinecie szefa, który ciepło i przyjaźnie im gratulował.

— Odnieśliście godne podziwu sukcesy. Dzięki wam dostaliśmy w ręce co najmniej pięć niezmiernie interesujących osobistości i uzyskaliśmy od nich mnóstwo cennych informacji. Tymczasem jednak dowiedziałem się z wiarygodnego źródła, że sztab w Moskwie podniósł alarm, gdy urwał się ich kontakt z agentami. Myślę, że pomimo wszystkich naszych środków ostrożności zaczęli podejrzewać, że nie wszystko jest w porządku z tym, co mogę nazwać centrum dyspozycyjnym — biurem pana Theodora Blunta, czyli Międzynarodowym Biurem Detektywistycznym.

— No cóż — odrzekł Tommy. — Sądzę, że kiedyś musieli na to wpaść.

— Słusznie. Można się było tego spodziewać. Ale martwię się trochę o panią Beresford.

— Potrafię się nią opiekować, sir — zapewnił Tommy w tej samej chwili, gdy Tuppence rzekła z urazą: — Potrafię sobie sama dać radę.

— Hm — powiedział pan Carter. — Was dwoje zawsze cechowało przesadne zaufanie we własne siły. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy wasza sprawność i skuteczność działania wynika z nadludzkiej bystrości, czy też ma tu swój udział odrobina szczęścia. Nie zapominajcie jednak, że fortuna jest kapryśna. Ale nie będę się z wami sprzeczał. Znając panią Beresford sądzą, że nie ma najmniejszego sensu prosić ją, by przez następny tydzień lub dwa trzymała się w cieniu? Tuppence energicznie potrząsnęła głową.

— W takim razie mogę wam jedynie przekazać wszystkie informacje, jakie posiadam. Mam powody, by wierzyć, że z Moskwy wysłano do naszego kraju specjalnego agenta. Nie wiemy, pod jakim nazwiskiem podróżuje ani kiedy przyjedzie, ale coś niecoś o nim wiemy. To człowiek, który przysporzył nam wielu kłopotów podczas wojny, natrętny facet, który zawsze pojawiał się tam, gdzie najmniej chcieliśmy go widzieć. Z urodzenia jest Rosjaninem, ale to fenomenalny lingwista, utalentowany do tego stopnia, że nie zdradza go nawet cień obcego akcentu i można wziąć go za człowieka co najmniej sześciu innych narodowości, włącznie z naszą. Jest wybitnie inteligentny, arcy mistrz w sztuce kamuflażu. To właśnie on wymyślił kod z numerem 16.

— Kiedy i jak się pojawi, nie wiem, ale jestem zupełnie pewien, że się pojawi. Wiemy jedno — nie znał osobiście pana Theodore'a Blunta. Myślę, że pokaże się w waszym biurze pod pretekstem sprawy, do której zechce was zaangażować, i wypróbuje na was hasło. Pierwsza jego część, jak wiecie, to numer 16. Należy odpowiedzieć zdaniem zawierającym tę samą liczbę. Druga część, o której właśnie się dowiedzieliśmy, to pytanie, czy kiedykolwiek przekraczał pan Kanał. Należy na to odpowiedzieć: Byłem w Berlinie trzynastego dnia ostatniego miesiąca. O ile wiemy, to wszystko. Proponuję, żebyście odpowiedzieli właściwie i spróbowali wzbudzić jego zaufanie. Podtrzymujcie

fikcję tak długo, jak to możliwe, ale nawet gdyby się wam wydawało, że dał się nabrać, miejcie się na baczności. Nasz przyjaciel jest bardzo bystry i potrafi prowadzić podwójną grę tak samo dobrze jak wy, jeśli nie lepiej. W każdym wypadku jednak mam nadzieję, że uda mi się dotrzeć do niego przez was. Od dzisiaj wprowadzam szczególne środki ostrożności. Wczoraj wieczorem w waszym biurze zainstalowano podsłuch i jeden z moich ludzi w pokoju piętro niżej będzie słyszał wszystko, co u was się dzieje. W ten sposób, gdyby coś się zdarzyło, zostanę natychmiast poinformowany i będę mógł podjąć niezbędne kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa panu i pańskiej żonie, a jednocześnie zając się człowiekiem, o którego mi chodzi.

Po kilku jeszcze instrukcjach i ogólnej dyskusji nad taktyką para młodych ludzi wyszła i pośpieszyła do biura Błyskotliwych Detektywów Blunta.

Tommy spojrział na zegarek.

— Jest już późno. Prawie dwunasta. Dużo czasu zeszło nam u szefa. Mam nadzieję, że nie ominęła nas żadna szczególnie ciekawa sprawa.

— Ogólnie rzecz biorąc poszło nam nieźle — powiedziała Tuppence. — Któregoś dnia zrobiłam statystykę osiągnięć. Rozwiązaliśmy cztery zagadkowe morderstwa, odkryliśmy gang fałszerzy i przemytników...

— Dwa gangi — sprostował Tommy. — Rzeczywiście! Cieszy mnie to. Słowo „gang” brzmi tak profesjonalnie...

A Tuppence mówiła dalej, odliczając na palcach.

— Jedna kradzież klejnotów, dwa razy udało nam się uniknąć gwałtownej śmierci, jeden przypadek zaginionej kobiety, która traciła na wadze, jedna młoda dziewczyna zyskała przyjaciela, jedno wyjaśnione alibi i niestety! Jeden przypadek, gdy zrobiliśmy z siebie skończonych idiotów. Podsumowując, świetnie! Myślę, że jesteśmy bardzo inteligentni.

— Tak uważasz? — zdziwił się Tommy. — Ty zawsze tak myślisz. Ale mam dziwne wrażenie, że kilka razy mieliśmy po prostu szczęście.

— Nonsens — odrzekła Tuppence. — To wszystko małe, szare komórki.

— No cóż, ja raz miałem masę szczęścia. Tego dnia, gdy Albert dokonał swego wyczynu z lassem! Ale mówisz o tym, Tuppence, jakby to wszystko już się skończyło?

— Bo tak jest — odrzekła Tuppence, zniżając głos dla większego efektu. — To nasza ostatnia sprawa. Gdy już Marriot złapie superszpiega za pięty, wielcy detektywi odejdą na emeryturę i zajmą się hodowlą pszczoł lub kabaczków. Zawsze się tak robi.

— Zmęczona tym jesteś, co?

— Ta-ak, chyba tak. Poza tym, na razie odnosimy same sukcesy, a szczęście może się odwrócić.

— I kto teraz mówi o szczęściu? — zakpił Tommy z nutą triumfu w głosie.

Tuppence nie odpowiedziała, gdyż właśnie weszli do bramy budynku, w którym znajdowały się pomieszczenia Międzynarodowego Biura Detektywistycznego. Albert był na swoim stanowisku i wykorzystywał wolny czas na trening w utrzymywaniu biurowej linijki na czubku nosa. Pan Blunt wszedł do swego gabinetu z wyrazem dezaprobaty na twarzy. Zrzucił płaszcz i kapelusz i otworzył szafę, na półkach której spoczywała biblioteka klasycznych powieści detektywistycznych.

— Wybór jest coraz mniejszy — mruknął. — Na kim mam się dzisiaj wzorować?

— Tommy, który dzisiaj? — zapytała Tuppence nagle. Tommy odwrócił się raptownie, gdyż jej głos brzmiał dziwnie.

— Zaraz — jedenasty. A co?

— Spójrz na kalendarz.

Wiszący na ścianie kalendarz ze zrywaniem kartkami pokazywał niedzielę szesnastego. Tego dnia był poniedziałek.

— Do licha, to dziwne. Albert musiał zerwać za wiele kartek. Niestaranny łobuz.

— Nie wierzę, że to on — odpowiedziała Tuppence. — Ale zapytajmy.

Wezwany i przepytany Albert okazał wielkie zdumienie. Przysięgał, że zerwał tylko dwie kartki, sobotnią i niedzielą. Jego słowa zostały uwiarygodnione przez to, że dwie wspomniane przez niego kartki leżały na kominku, a wszystkie pozostałe ktoś poukładał schludnie w koszu na papiery.

— Porządny i metodyczny przestępca — powiedział Tommy. — Kto tu był dziś rano, Albercie? Czy przyszedł jakiś klient?

— Tylko jeden, proszę pana.

— Kto to był?

— Kobieta. Pielęgniarka szpitalna. Bardzo zdenerwowana i bardzo pilnie chciała się z panem zobaczyć. Powiedziała, że poczeka, aż pan przyjdzie. Wpuściłem ją do biura „Personelu”, bo tam było cieplej.

— A stamtąd mogła wejść tutaj, oczywiście, i nie widziałeś tego. Kiedy wyszła?

— Jakies pół godziny temu, proszę pana. Powiedziała, że przyjdzie jeszcze raz po południu. Miła kobieta o macierzyńskim wyglądzie.

— O macierzyńskim... och, wynoś się stąd, Albercie. Albert wycofał się, urażony.

— Dziwny początek — powiedział Tommy. — Wydaje się to trochę bezcelowe. Jakby chciał

obudzić naszą czujność. Sądzę, że nie ma tu bomby ukrytej w kominku ani niczego w tym rodzaju?

Na wszelki wypadek upewnił się co do tego, a potem usiadł przy biurku.

— *Mon ami*, oto stajemy twarzą w twarz ze sprawą najwyższej wagi. Przypominasz sobie zapewne człowieka, który był numerem 4? To jego zgniotłem w Dolomitach jak skorupkę od jajka za pomocą środków wybuchowych o dużej mocy, *bien entendu*. Ale on tak naprawdę nie zginął, och nie, ci super-przestępcy nigdy naprawdę nie umierają. To jest ten sam człowiek, jeszcze bardziej ten sam, jeśli mogę się tak wyrazić. To jest czwórka do kwadratu. Innymi słowy, on teraz stał się numerem 16. Rozumiesz, przyjacielu?

— Rozumiem cię doskonale — powiedziała Tuppence. — Jesteś wielkim Herculesem Poirot.

— Właśnie. Bez wąsów, ale za to z dużą ilością szarych komórek.

— Mam wrażenie, że akurat ta przygoda będzie nosiła tytuł *Triumf Hastingsa*.

— Nigdy — oburzył się Tommy. — To po prostu niemożliwe. Przyjaciel idiota nigdy nie przestaje być przyjacielem idiota. W tych sprawach obowiązuje ściśle zaszeregowanie. Przy okazji, *mon ami*, czy mogłabyś przedzielić włosy pośrodku zamiast na boku? Obecny efekt jest oburzająco niesymetryczny.

Brzęczyk na biurku Tommy'ego zadzwonił ostro. Tommy przycisnął guzik i Albert przyniósł wizytówkę.

— Książę Vladiroffsky — przeczytał Tommy cicho i spojrzał na Tuppence. — Ciekaw jestem... Wprowadź go, Albercie.

Do gabinetu wszedł mężczyzna średniego wzrostu, w wieku około trzydziestu pięciu lat. Miał jasną brodę i dużo wdzięku osobistego.

— Czy pan Blunt? — zapytał doskonałą angielszczyzną. — Polecano mi pana bardzo gorąco. Czy mógłby pan zająć się dla mnie pewną sprawą?

— Zechce pan podać szczegóły?

— Oczywiście. Rzeczą dotyczy córki mojego przyjaciela, szesnastoletniej dziewczyny. Rozumie pan, pragniemy uniknąć skandalu.

— Drogi panie — odrzekł Tommy — od szesnastu lat prowadzę to biuro z powodzeniem głównie dzięki temu, że jak najstaranniej przestrzegam tej właśnie zasady.

Wydawało mu się, że dostrzegł błysk w oku gościa. Nie był jednak tego pewien, gdyż błysk znikł równie szybko, jak się pojawił.

— Wydaje mi się, że macie swoje filie po drugiej stronie Kanału?

— Och, tak. W gruncie rzeczy — Tommy wypowiedział te słowa po lekkim wahaniu — sam byłem w Berlinie trzynastego ostatniego miesiąca.

— W takim razie nie widzę dalszej potrzeby podtrzymywania tej fikcji — powiedział obcy. — Możemy dać spokój córce mojego przyjaciela. Wie pan, kim jestem, a w każdym razie widzę, że uprzedzono pana o moim przybyciu.

Ruchem głowy wskazał kalendarz na ścianie.

— Owszem — potwierdził Tommy.

— Przyjaciele — przybyłem tu, by się dowiedzieć, jak sprawy stoją. Co się tu działo?

— Zdrada — odezwała się Tuppence, niezdolna dłużej zachować milczenia.

Uwaga Rosjanina przeniosła się na nią. Uniósł brwi.

— Aha, a więc to tak? Tak przypuszczałem. Czy to Sergiusz?

— Tak sądzimy — odrzekła Tuppence bez wahania.

— Nie zdziwiłoby mnie to. Ale wy sami, czy jesteście poza podejrzeniami?

— Wydaje mi się, że tak. Widzi pan, my zajmujemy się wieloma prawdziwymi sprawami — wyjaśnił Tommy.

Rosjanin skinął głową.

— To mądre. Mimo wszystko, sądzę, że lepiej będzie, jeśli więcej się tu nie pojawię. Na razie mieszkam u Blitza. Zabiorę Marisę — przypuszczam, że to jest Marisa?

Tuppence skinęła głową.

— Pod jakim nazwiskiem występuje tutaj?

— Panna Robinson.

— Znakomicie, panno Robinson, wróci pani ze mną do Blitza i zjemy tam lunch. Spotkamy się wszyscy w sztabie o trzeciej. Czy to jasne? — spojrzał na Tommy'ego.

— Zupełnie jasne — odrzekł Tommy, zastanawiając się, gdzie, do diabła, jest ten sztab. Odgadł jednak, że jest to miejsce, na odkryciu którego bardzo zależało panu Carterowi.

Tuppence podniosła się i włożyła długi, czarny płaszcz z kołnierzem z lamparta, po czym posłusznie zgłosiła gotowość pójścia z księciem. Wyszli razem, a Tommy, miotany sprzecznymi emocjami, został w biurze.

A jeśli podsłuch nie działa? A jeśli tajemnicza pielęgniarka jakimś sposobem dowiedziała się o jego istnieniu i zepsuła go? Pochwycił słuchawkę telefonu i wykręcił pewien numer. Po chwili ciszy odezwał się dobrze mu znany głos:

— Wszystko w porządku. Przyjdź natychmiast do Blitz.

Pięć minut później Tommy i pan Carter spotkali się na Palmowym Dziedzińcu hotelu Blitz. Szef mówił zwięźle, pragnąc dodać Tommy'emu otuchy.

— Spisaliście się znakomicie. Księżę i pańska żona jedzą lunch w restauracji. Dwaj moi ludzie są tam kelnerami. Czy on coś podejrzewa, czy też nie — a jestem prawie pewien, że nie — mamy go na widelcu. Dwaj mężczyźni są na górze i obserwują jego apartament, a kilku jeszcze jest na zewnątrz, gotowych do pójścia za nim, gdziekolwiek by się ruszył. Niech pan się nie martwi o żonę. Przez cały czas będzie pod obserwacją. Nie mam zamiaru podejmować żadnego ryzyka.

Od czasu do czasu któryś z mężczyzn ze Służby Specjalnej podchodził do nich, żeby zameldować o postępach. Za pierwszym razem był to kelner, który przyjmował od nich zamówienie na koktajle, za drugim modnie ubrany młody człowiek o bezmyślnej twarzy.

— Wychodzą — powiedział pan Carter. — Cofniemy się za ten słup na wypadek, gdyby chcieli tu usiąść, ale wydaje mi się, że on zabierze ją na górę do swojego pokoju. Ach właśnie, tak przypuszczałem.

Ze swojego miejsca Tommy zauważył Rosjanina i Tuppence, którzy przeszli przez hall i weszli do windy.

Po kilku minutach Tommy zaczął odczuwać zdenerwowanie.

— Czy naprawdę myśli pan, że... To znaczy, sami w tym pokoju...

— Jeden z moich ludzi jest w pokoju, schowany za sofą. Nie przejmuj się tak, człowieku.

W tym momencie zbliżył się do nich kelner.

— Dostaliśmy sygnał, że wjeżdżają na górę, proszę pana, ale nie dotarli tam. Czy wszystko jest w porządku?

— Co takiego?! Sam widziałem, jak wchodził do windy! — pan Carter obrócił się gwałtownie i spojrzał na zegar. — Dokładnie cztery i pół minuty temu. I nie pokazali się na górze...

Pospiesznie podbiegł do windy, która właśnie w tej chwili zjechała na dół, i zwrócił się do windziarza w mundurze.

— Kilka minut temu zawiózł pan na drugie piętro dżentelmena z jasną brodą i młodą kobietę.

— Nie na drugie, proszę pana. Ten pan prosił o trzecie piętro.

— Och! — szef wskoczył do windy i gestem przywołał Tommy'ego do siebie. — Proszę nas zawieźć na trzecie piętro.

— Nic nie rozumiem — mruknął pod nosem. — Ale należy zachować spokój. Wszystkie wyjścia z hotelu są pod obserwacją, a na trzecim piętrze także mam człowieka. Prawdę mówiąc, mam ludzi na wszystkich piętrach. Nie podejmowałem żadnego ryzyka.

Drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze. Wypadli z niej i pobiegli korytarzem. W połowie drogi na ich spotkanie wyszedł człowiek w stroju kelnera.

— Wszystko w porządku, szefie. Są w pokoju 318. Szef odetchnął z ulgą.

— To dobrze. Nie ma stamtąd innego wyjścia?

— To apartament, ale jest tam tylko dwoje drzwi na korytarz i gdyby wyszli przez któreś z nich, musieliby nas wyminąć w drodze do schodów albo do windy.

— To znaczy, że wszystko w porządku. Zadzwoń na dół i dowiedz się, kto zajmuje ten pokój.

Kelner wrócił po chwili.

— Pani Cortland van Snyder z Detroit. Pan Carter zamyślił się głęboko.

— Zastanawiam się, czy ta pani van Snyder jest pomocnikiem, czy też...

Zostawił zdanie niedokończone.

— Czy słyszeliście jakieś dźwięki ze środka? — zapytał nagle.

— Zupełnie nic. Ale te drzwi są szczelne. Nie ma nadziei, że się dużo usłyszysz.

Pan Carter nagle podjął decyzję.

— Nie podoba mi się to. Wchodzimy do środka. Czy masz przy sobie klucz uniwersalny?

— Oczywiście, proszę pana.

— Zawołaj Evansa i Clydesly'ego. Wzmocnieni przez owych dwóch dżentelmenów podeszli do drzwi apartamentu. Jeden z mężczyzn wsunął klucz do zamka i drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Znaleźli się w małym przedpokoju. Po prawej stronie mieli otwarte drzwi łazienki, a przed sobą mały salonik. Po lewej znajdowały się zamknięte drzwi, zza których wydobywał się słaby odgłos, brzmiący jak astmatyczne chwytnie powietrza. Pan Carter pchnął te drzwi i wszedł do środka.

Była to sypialnia z wielkim, podwójnym łóżkiem, przykrytym ozdobną, złoto-różową narzutą. Na łóżku, ze związanymi rękami i nogami, leżała modnie ubrana kobieta w średnim wieku. Była zakneblowana i oczy niemal wychodziły jej z orbit z przerażenia i bólu.

Na krótki rozkaz pana Cartera mężczyźni sprawdzili cały apartament. Tylko Tommy i szef weszli do sypialni. Carter pochylił się nad łóżkiem i usiłował rozwiązać więzy. Obrzucił wzrokiem pokój i na jego twarzy pojawiło się zdumienie. Pokój był pusty, jeśli nie liczyć olbrzymich ilości prawdziwie amerykańskiego bagażu. Po Rosjaninie i Tuppence nie było śladu.

W następnej chwili przybiegł kelner i zameldował, że pozostałe pokoje także są puste. Tommy podszedł do okna, ale cofnął się, potrząsając głową. Nie było balkonu — nic, tylko gładka ściana aż do ulicy na dole.

— Czy na pewno weszli do tego pokoju? — zapytał Szef.

— Na pewno. Poza tym... — mężczyzna wskazał kobietę na łóżku.

Za pomocą scyzoryka pan Carter rozciął dławiący ją szalik i natychmiast stało się jasne, że cierpienia, jakkolwiek mogły być wielkie, nie pozbawiły pani Cortland van Snyder możliwości używania języka.

Gdy już wyładowała pierwsze oburzenie, pan Carter odezwał się łagodnie:

— Czy mogłaby mi pani opowiedzieć dokładnie i od samego początku, co się wydarzyło?

— Sądzę, że zaskarżę za to hotel. To absolutnie woła o pomstę do nieba! Szukałam właśnie mojej butelki z lekarstwem na przeziębienia, gdy jakiś mężczyzna skoczył na mnie od tyłu i rozbił pod moim nosem małą buteleczkę. Zanim zdążyłam odetchnąć, zrobiło mi się niedobrze i zasłabłam. Gdy oprzytomniałam, leżałam tutaj, cała związana, i Bóg jeden wie, co się stało z moimi klejnotami! Zdaje się, że je zabrał.

— Mam wrażenie, że pani klejnoty są zupełnie bezpieczne — powiedział sucho pan Carter. Obrócił się na pięcie i podniósł coś z podłogi. — Gdzie pani dokładnie stała, gdy on na panią skoczył? Czy tu, gdzie ja teraz?

— .Właśnie tak — potwierdziła pani van Snyder.

Przedmiot podniesiony przez pana Cartera był kawałkiem cienkiego szkła. Powąchał go i podał Tommy'emu.

— Chlorek etylu — mruknął. — Znieczuła natychmiast, ale działa tylko przez krótką chwilę. Ten mężczyzna musiał być jeszcze w pokoju, gdy odzyskała pani przytomność, pani van Snyder?

— Przecież cały czas wam mówię! Och, myślałam, że oszaleję, widząc, jak on odchodzi, a ja nie jestem w stanie się ruszyć ani nic zupełnie zrobić!

— Wychodzi? — zapytał ostro pan Carter. — Którędy?

Pani van Snyder wskazała drzwi na przeciwległej ścianie.

— Przez te drzwi. Była z nim dziewczyna, ale wydawała się trochę bezwładna, jakby ona też

dostała porcję tego samego środka.

Carter spojrział pytająco na swego pomocnika.

— Te drzwi prowadzą do następnego apartamentu, proszę pana. Ale są podwójne i powinny być zaryglowane po obu stronach.

Pan Carter uważnie przyjrzał się drzwiom, po czym wyprostował się i odwrócił w stronę łóżka.

— Pani van Snyder — powiedział cicho — czy nadal utrzymuje pani, że ten człowiek tędy wyszedł?

— Ależ oczywiście, że tak było. Dlaczego nie?

— Bo te drzwi są zaryglowane akurat po tej stronie — powiedział pan Carter sucho, postukując klamką. Na twarzy pani van Snyder pojawił się wyraz najwyższego zdumienia.

— Nie mógł tędy wyjść — ciągnął pan Carter — chyba, że ktoś zamknął za nim drzwi.

Odwrócił się do Evansa, który właśnie wszedł do pokoju.

— Na pewno nie ma ich nigdzie tutaj? Czy są jeszcze jakieś inne drzwi komunikacyjne?

— Nie, proszę pana, jestem tego zupełnie pewien. Carter obrzucił pokój wzrokiem. Otworzył wielką szafę w ścianie, zajrzał pod łóżko, do kominka i za wszystkie zasłony. W końcu na jego twarzy pojawił się szybki błysk. Nie zważając na protesty pani van Snyder, otworzył wielki kufer i szybko przejrzał jego zawartość. Naraz Tommy, który przyglądał się drzwiom, wykrzyknął:

— Proszę tu podejść i spojrzeć na to. Rzeczywiście tędy wyszli.

Rygiel został bardzo sprytnie przepiłowany tuż przy zawiasie. Przecięcie było prawie niedostrzegalne.

— Drzwi nie chcą się otworzyć, bo są zamknięte po drugiej stronie — wyjaśnił Tommy.

W następnej chwili znów znaleźli się na korytarzu i kelner otworzył swoim kluczem sąsiednie drzwi. W apartamencie nikt nie mieszkał. Gdy podeszli do łączących drzwi, zobaczyli to samo. Rygiel był przepiłowany, drzwi zamknięte i klucz wyjęty z zamka. Nigdzie jednak nie było żadnego śladu Tuppence i jasnobrodego Rosjanina. Nie było też kolejnych drzwi komunikacyjnych, jedynie wyjście na korytarz.

— Ale widziałbym, gdyby wychodzili — zaklinał się kelner. — Nie mógłbym ich nie zauważyć! Mogę przysiąc, że tędy nie szli!

— A niech to wszyscy diabli! — zawołał Tommy. — Nie mogli się przecież rozpuścić w powietrzu!

Carter znów był spokojny, a jego bystry umysł pracował.

— Zadzwoń na dół i dowiedz się, kto ostatnio wynajmował ten apartament i kiedy.

Evans, który wyszedł z nimi, zostawiając Clydesly'ego na warcie w apartamencie pani van Snyder, pobiegł do telefonu. Po chwili podniósł głowę znad aparatu.

— Francuz, kaleka, pan Paul de Vazeze. Była z nim pielęgniarka. Wyjechali dzisiaj przed południem.

Drugi z mężczyzn, kelner, wydał z siebie okrzyk i pobladł śmiertelnie.

— Kaleki chłopak i pielęgniarka szpitalna — wymamrotał. — Ja... oni wyminęli mnie w przejściu. Nigdy bym nie pomyślał... tak często widywałem ich wcześniej.

— Czy jesteś pewien, że to byli ci sami? — wykrzyknął pan Carter. — Czy jesteś pewien, człowieku? Przyjrzałeś im się dobrze?

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Prawie na nich nie spojrzałem. Rozumie pan, czekałem na sygnał alarmowy dotyczący kogoś innego, człowieka z jasną brodą i dziewczyny.

Tommy z nagłym okrzykiem pochylił się i wyciągnął coś spod sofy. Było to małe, czarne zawiniątko. Gdy je rozwinął, okazało się, że był to długi, czarny płaszcz, który Tuppence miała na sobie tego dnia. Ze środka wypadła jej sukienka, kapelusz i długa jasna broda.

— Wszystko jest już jasne — powiedział z goryczą. — Mają ją. Mają Tuppence. Ten rosyjski diabeł wystawił nas do wiatru. Pielęgniarka i ten chłopak byli pomocnikami. Mieszkali tu przez kilka dni, żeby cała obsługa hotelu przyzwyczała się do ich obecności. Podczas lunchu ten człowiek musiał zauważyć, że jest obserwowany i przystąpił do wykonania swego planu. Prawdopodobnie liczył na to, że sąsiedni pokój będzie pusty, tak bowiem było, gdy przepiłowywał rygle. W każdym razie udało mu się uciszyć kobietę z sąsiedniego pokoju i Tuppence, przyprowadzić ją tutaj, przebrać w ubrania chłopca, zmienić swój wygląd i bezczelnie wyjść tuż przed naszym nosem. Ubrania musiały już tu czekać schowane. Ale nie bardzo rozumiem, jak zmusił Tuppence do posłuszeństwa.

— Ja rozumiem — odrzekł pan Carter, podnosząc z podłogi mały, stalowy przedmiot. — To jest kawałek igły do zastrzyków domięśniowych. Wstrzyknął jej coś.

— Boże! — jęknął Tommy. — I udało mu się stąd wydostać!

— Tego jeszcze nie wiemy — powiedział szybko pan Carter. — Niech pan pamięta, że wszystkie wyjścia są strzeżone.

— Ale czekają na mężczyznę i dziewczynę, nie na pielęgniarkę szpitalną i kalekiego chłopca. Do tej pory na pewno już ich nie ma w hotelu.

Po chwili okazało się, że Tommy miał rację. Pielęgniarka i jej pacjent odjechali taksówką jakieś pięć minut wcześniej.

— Niech pan posłucha, panie Beresford — powiedział pan Carter — na litość boską, niech pan weźmie się w garść. Wie pan, że przewrócę każdy kamień, żeby znaleźć tę dziewczynę. Natychmiast wracam do biura i za niecałe pięć minut wszystkie wydziały będą się tym zajmować. Jeszcze ich dostaniemy.

— Naprawdę pan tak myśli? Ten Rosjanin to sprytny diabeł. Niech pan tylko zobaczy, jak tutaj wszystko było przemyślnie urządzone. Ale wiem, że zrobi pan wszystko, co tylko będzie w pańskiej mocy. Tylko... módlmy się, żeby nie było za późno. Nieźle nas przechytrzyli.

Tommy wyszedł z hotelu Blitz i szedł ślepo ulicą, nie wiedząc, dokąd zmierza. Czuł się zupełnie sparaliżowany. Gdzie szukać? Co robić?

Wszedł do Green Parku i opadł na ławkę. Prawie nie zauważył, że ktoś siedzi na drugim jej końcu, i zdumiał się na dźwięk dobrze znanego głosu.

— Jeśli można, proszę pana, jeśli mogę się ośmielić... Tommy podniósł głowę.

— Cześć, Albert — powiedział bezbarwnym głosem.

— Wiem wszystko, proszę pana, ale niech się pan tak nie przejmuje.

— Nie przejmuje! — Tommy zaśmiał się krótko. — Łatwo to mówić, prawda?

— Ach, proszę pana, ale niech się pan zastanowi. Błyskotliwi Detektywi Blunta! Nie do pokonania. Pan wybaczy, że to mówię, podsłuchałem, o co pan i pani kłócili się dzisiaj rano. Pan Poirot i małe, szare komórki.

No więc, proszę pana, można użyć małych, szarych komórek i zobaczyć, co się da zrobić.

— Łatwiej używać tych szarych komórek w fikcji niż w życiu, mój chłopcze.

— No tak — powiedział trzeźwo Albert — ale ja nie wierzę, żeby ktoś mógł raz na zawsze załatwić panią. Wie pan, jaka ona jest, proszę pana, taka jak te gumowe kości, które się kupuje dla szczeniaków — gwarantowanie niezniszczalne.

— Albercie, rozweselasz mnie.

— Więc co pan na to, żeby trochę poużywać szare komórki, proszę pana?

— Wytrwały chłopiec z ciebie, Albercie. Udawanie głupiego do tej pory służyło nam nie najgorzej. Spróbujmy tego znowu. Uporządkujmy sobie fakty schludnie i metodycznie. Dokładnie dziesięć minut po drugiej nasza ofiara weszła do windy. Pięć minut później rozmawialiśmy z windziarzem, a po usłyszeniu tego co powiedział, także pojechaliśmy na trzecie piętro. Powiedzmy, jakieś dziewiętnaście po drugiej weszliśmy do apartamentu pani van Snyder. I teraz, jaki znaczący

fakt nas uderza?

Nastąpiła pauza, w trakcie której nie uderzył ich żaden znaczący fakt.

— Nie było w pokoju żadnej wielkiej walizki, prawda? — zapytał nagle Albert z rozświetlonymi oczami.

— *Mon ami* — odrzekł Tommy — nie rozumiesz psychologii Amerykanki, która właśnie wróciła z Paryża. Powiedziałbym, że w pokoju było jakieś dziewiętnaście walizek.

— Miałem na myśli to, że duży kufer jest bardzo przydatną rzeczą, jeśli ma się trupa do wyniesienia. Oczywiście ani przez chwilę nie pomyślałem, że pani nie żyje...

— Zajrzeliśmy do dwóch, które były wystarczająco duże, by pomieścić ciało. Jaki jest następny fakt w porządku chronologicznym?

— Zapomniał pan o jednym — gdy pani i ten facet przebrany za pielęgniarzkę szpitalną wyminęli kelnera w korytarzu.

— To musiało być na chwilę przedtem, zanim wyszliśmy z windy — powiedział Tommy. — Musieliśmy się minąć z nimi dosłownie o sekundy. Bardzo szybkie działanie. Ja... — urwał.

— Co takiego, proszę pana?

— Bądź cicho, *mon ami*. Mam pewną niewielką myśl — kolosalną, zdumiewającą — która zawsze, prędzej czy później, przychodzi Herculesowi Poirotowi do głowy. Ale jeśli tak... jeśli to... Och Boże, mam nadzieję, że zdążę na czas!

Wybiegł nagle z parku, a Albert popędził za nim i zdyszany wypytywał:

— Co się dzieje, proszę pana? Nie rozumiem.

— Wszystko w porządku. Nie musisz rozumieć. Hastings nigdy nie rozumiał. Gdyby twoje szare komórki nie były nieskończenie niższego rzędu niż moje, to jak myślisz, co w tym wszystkim byłoby dla mnie zabawnego? Mówię okropnie niegrzecznie, ale nic na to nie poradzę. Dobry z ciebie chłopak, Albercie. Wiesz, ile jest warta Tuppence — tuzin takich, jak ty i ja.

Mówiąc to w biegu, Tommy znów wpadł do bramy hotelu Blitz. Zauważył Evansa i rzucając pospiesznie kilka słów, odciągnął go na bok. Obydwaj mężczyźni weszli do windy, a Albert za nimi.

— Trzecie piętro — powiedział Tommy. Zatrzymali się przy drzwiach pokoju 318. Evans użył swojego klucza uniwersalnego. Bez żadnego ostrzeżenia weszli prosto do sypialni pani van Snyder. Kobieta nadal leżała na łóżku, ale teraz miała na sobie malowniczy neglig. Spojrzała na nich ze zdumieniem.

— Przepraszam, że nie zapukałem — powiedział Tommy uprzejmie — ale chciałbym odzyskać moją żonę. Czy mogłaby pani zejść z tego łóżka?

— Zdaje się, że pan zupełnie zwariował — odrzekła pani van Snyder.

Tommy przyjrzał jej się z namysłem, przechylając głowę na bok.

— Bardzo to artystyczne — oznajmił — ale nie uda się pani. Zaglądaliśmy pod łóżko, ale nie do środka. Pamiętam, że gdy byłem młody, sam używałem tego miejsca jako kryjówki. W poprzek łóżka, pod zagłówkiem. I ten piękny kufer, przygotowany, by później wynieść w nim ciało. Ale teraz byliśmy odrobinę za szybcy. Miała pani czas, by oszołomić czymś Tuppence, położyć ją pod zagłówkiem, pozwolić swoim współpracownikom za ścianą związać się i zakneblować, i przyznaję, że w pierwszej chwili gładko przełknęliśmy pani historjkę. Ale gdy się nad tym chwilę zastanowić porządnie i metodycznie, niemożliwe jest, by w ciągu pięciu minut oszołomić dziewczynę, przebrać ją w chłopięcy strój, zakneblować i związać inną kobietę oraz zmienić swój własny wygląd. To po prostu fizyczna niemożliwość. Pielęgniarka szpitalna i chłopiec mieli być zasłoną dymną. Mieliśmy pójść za tym śladem i okazać współczucie pani van Snyder jako ofierze. Pomóż pani wstać z łóżka, dobrze, Evans? Masz swój automat? Świetnie!

Pomimo wyrażanych przenikliwym głosem protestów pani van Snyder została ściągnięta z łóżka. Tommy zerwał pościel i zagłówek.

Pod spodem, w poprzek łóżka leżała Tuppence, z zamkniętymi oczami i woskową twarzą. Tommy przez chwilę poczuł przemożny strach, ale zauważył, że jej pierś unosi się lekko. Żyła, znajdowała się jedynie pod wpływem jakiegoś narkotyku.

Odwrócił się do Alberta i Evansa.

— A teraz, *messieurs* — powiedział dramatycznym głosem — finalny *coup*!

Szybkim, niespodziewanym ruchem pochwycił panią van Snyder za kunsztownie uczesane włosy. Zostały mu w ręku.

— Tak, jak myślałem — powiedział. — Numer 16!

Jakieś pół godziny później Tuppence otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą lekarza i Tommy'ego.

Nad wydarzeniami, które nastąpiły w ciągu kolejnego kwadransa, najlepiej będzie zaciągnąć zasłonę milczenia. Potem jednak lekarz wyszedł, zapewniając, że wszystko będzie w porządku.

— *Mon ami*, Hastings — powiedział Tommy ciepło. — Jak się cieszę, że żyjesz.

— Czy schwytaliśmy numer 16?

— Po raz kolejny zmiażdżyłem go jak skorupkę od jajka. Innymi słowy, Carter go ma. Małe szare komórki! A propos, podnoszę pensję Albertowi.

— Opowiedz mi o wszystkim.

Tommy opowiedział jej z ożywieniem, starannie omijając niektóre szczegóły.

— Czy dostawałeś obłądu ze strachu o mnie? — zapytała Tuppence słabym głosem.

— Nie za bardzo. Rozumiesz, trzeba zachować zimną krew.

— Łgarz! — odrzekła Tuppence. — Nadal jesteś roztrzęsiony.

— No cóż, możliwe, że nieco się niepokoiłem, kochanie. Słuchaj, teraz już damy sobie z tym spokój, prawda?

— Oczywiście, że tak. Tommy odetchnął z ulgą.

— Miałem nadzieję, że będziesz rozsądna. Po takim szoku...

— Nie chodzi mi o szok. Wiesz, że szoki mi nie przeszkadzają.

— Niezniszczalna, jak gumowa kość — mruknął Tommy.

— Mam coś lepszego do roboty — ciągnęła Tuppence. — Coś o wiele bardziej podniecającego. Coś, czego jeszcze nigdy nie robiłam.

Tommy spojrział na nią, mocno zaniepokojony.

— Zabraniam ci tego, Tuppence.

— Nie możesz. To jest prawo natury.

— O czym ty mówisz?

— Mówię o Naszym Dziecku — odrzekła Tuppence. — W dzisiejszych czasach żony nie szepczą. Krzyczą pełnym głosem. NASZE DZIECKO! Tommy, czy wszystko nie jest cudowne?